

RAPORT „DO RZECZY”

A jednak w Polsce imigrantów przybywa
– ostrzegają Ziemkiewicz i Żyszkiewicz

108
stron

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 38/290 17-23 WRZEŚNIA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Afera FOZZ: Kim pan jest,
panie Przywieczerski

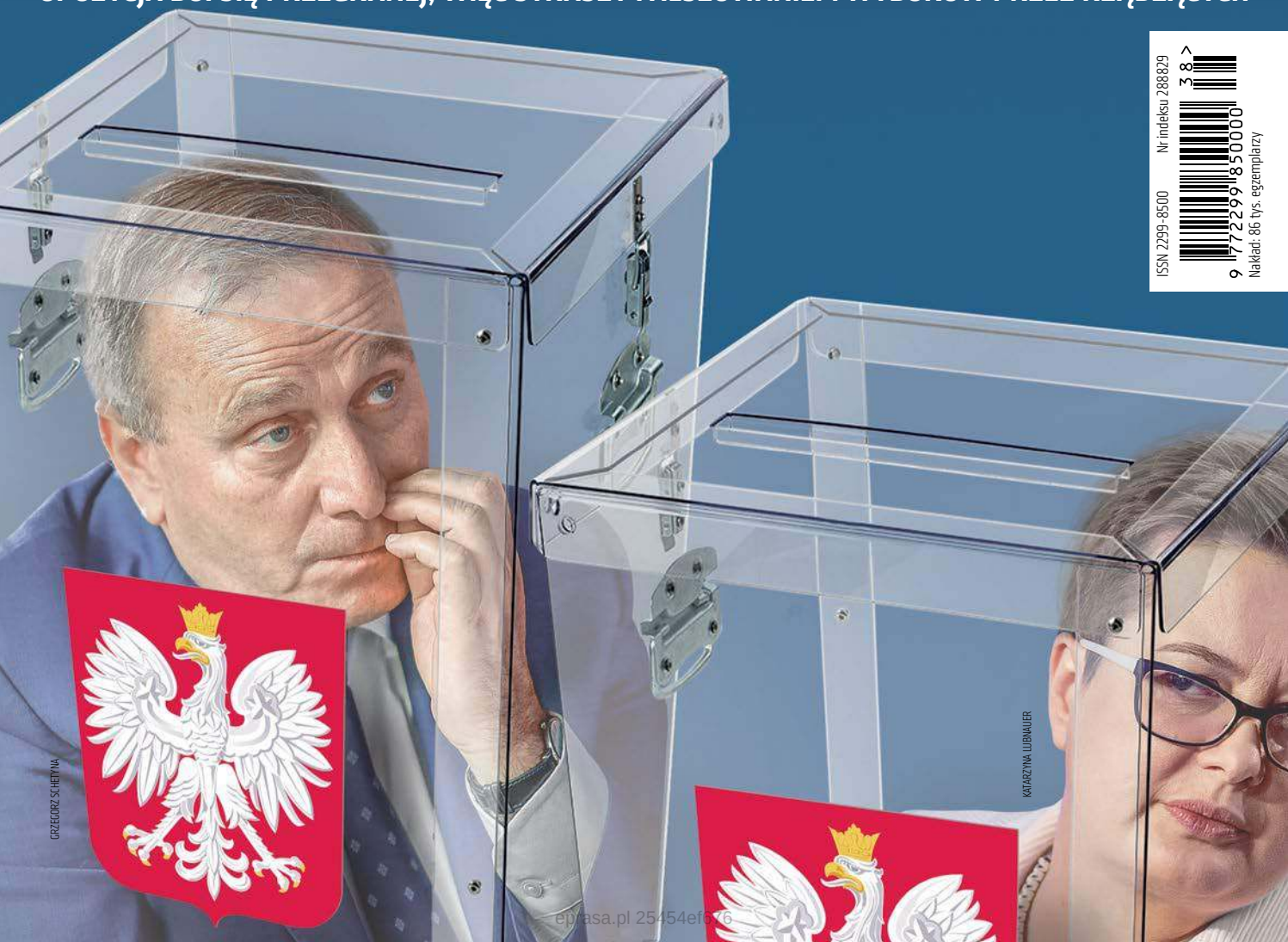
**DODATEK
SPECJALNY:
ŻYDZI UCIEKALI
Z ZACHODU EUROPY
DO POLSKI**



Co mordercy robią
na przepustkach z więzień

Intryga anti-PiS-u

OPOZYCJA BOI SIĘ PRZEGRANEJ, WIĘC STRASZY FAŁSZOWANIEM WYBORÓW PRZEZ RZĄDZĄCYCH



Nr indeksu 288829



Nakład: 86 tys. egzemplarzy



butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl 25454ef676



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Atak na Węgry

Stało się to, co stać się musiało i co się dzieje zawsze, gdy ideologia i radykalizm zwyciężają ze zdrowym rozsądkiem i z poczuciem umiaru: Parlament Europejski wszczął przeciw Węgrom procedurę o naruszenie praworządności. Głównym powodem, dla którego większość europosłów zagłosowała za tym rozwiązaniem, była prowadzona przez Viktora Orbána polityka wobec imigrantów. Najkrócej mówiąc, sprowadza się ona do prostej zasady obrony przed napływem muzułmańskich przybyszów nad Dunaj. Przyjęty przez rząd Orbána pakiet ustaw chroni Węgry nie tylko przed niepożądanymi przybyszami, lecz także przed proimigracyjną propagandą.

Głosowanie w Parlamencie Europejskim to swoiste przekroczenie Rubikonu. Wcześniej podobną decyzję podjęła w związku z rzekomym naruszeniem praworządności przez Polskę w grudniu 2017 r. Komisja Europejska. Teraz za wszczęciem procedury opowiedziała się większość frakcji parlamentarnych. Takie zachowanie ma kilka konsekwencji.

Po pierwsze, oznacza to faktyczne naruszenie zasady suwerenności poszczególnych członków Unii.

Ochrona przed napływem imigrantów była głównym punktem programu wyborczego Fideszu. W wolnych i demokratycznych wyborach za takimi rozwiązaniami opowiedziała się przytłaczająca większość Węgrów. Teraz Parlament Europejski rości sobie prawo, żeby tę demokratyczną decyzję zakwestionować, a polityków, którzy reprezentowali naród, ukarać.

Po drugie, Węgry poparli, kolejny raz zresztą, Viktora Orbána, bo tak jak w przypadku innych narodów Europy Środkowej w znacznie większym stopniu niż przedstawiciele wielkich narodów Zachodu są wyczuleni na zachowanie własnej kulturowej tożsamości. Udało im się ją ocalić mimo długiego okresu komunistycznej urawniłowki. Na tym polega unikatowość i oryginalność polskiego, węgierskiego, czeskiego czy słowackiego doświadczenia: wszystkie te narody wiedzą dobrze, do czego prowadzi uniwersalna antynarodowa ideologia. Teraz się okazuje, że część polityków unijnych, socjalistów, zielonych, różowych i czerwonych, ma podobną wizję jedności jak byli towarzysze komunistyczni. Różnice narodowe, kulturowe, religijne powinny zostać zatarte, a zamiast

dawnych tożsamości opartych na ciągłości pamięci i przekazywaniu sobie przez kolejne pokolenia dziedzictwa ma pojawić się nowa, paneuropejska, jednolita tożsamość. Żeby tę wizję zrealizować, potrzebny jest napływ imigrantów – sama ich obecność, kulturowa inność ma rozsadzić dawne narody i ich charakter.

Po trzecie, coraz wyraźniej widać, że ideologowie nowej lewicy nie wahają się używać siły do realizacji swego planu. Wykorzystują chwilową przewagę polityczną i posługują się środkami dyscyplinującymi niesfornych. Jest to niebываły wręcz przejaw pychy i ślepoty. Przecież skutkiem podobnych działań musi być wzrost nastrojów antyunijnych w całej Europie. Kto chce się godzić na to, żeby traktowano go jak niegrzeczne dziecko? Jakim prawem Bruksela rości sobie prawo do występowania w roli nauczyciela, który zna przyszłość i zamierza zmusić wszystkich opornych do posłuszeństwa? Groźby sankcji, próby lekceważenia i dezawuowania mogą przynieść tylko wzrost poparcia dla premiera Orbána. A także skłonić do jeszcze większej mobilizacji te wszystkie ruchy polityczne, które mają dość dyktatu mędrców z Brukseli.

„Państwo chcą wydać wyrok na nasz naród” – mówił dzień przed głosowaniem w parlamencie premier Węgier. Miał całkowitą rację. Można mieć jedynie nadzieję, że ta próba rzucenia na kolana kolejnych państw się nie powiedzie. Pewne jest jedno – tak jak wcześniej na poparcie Węgier w swoim sporze z Unią mogła liczyć Polska, tak Budapeszt może liczyć na Warszawę. A po wyborach w maju 2019 r. do tej grupy państw broniących wizji Europy ojczyzn dołączy następni.

Jeśli tak się nie stanie i jeśli wygrają znowu lewicowi ideolodzy, to trudno będzie wierzyć w przetrwanie Unii. ©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

18 MACIEJ PIECZYŃSKI

WYBORCZA INTRYGA ANTY-PIS

Totalna opozycja wietrzy fałszerstwo

22 ROZMOWA

Z PROF. KRYSZTYNĄ PAWŁOWICZ

OPOZYCJA BĘDZIE KWESTIONOWAĆ WYBÓR POLAKÓW



KRAJ

26 PIOTR SEMKA

KANDYDAT NA BAKIER

O co walczy Jan Śpiewak

30 ROZMOWA Z KACPREM PŁAŻYŃSKIM

SKOŃCZYMY Z DYKTATEM DEWELOPERÓW

32 ŁUKASZ WARZECHA

REWOLUCJA A PAŃSTWO

34 MACIEJ PIECZYŃSKI

BŁOKADA DLA POLAKÓW

36 ADAM CHMIELECKI

KIM PAN JEST, PANIE PRZYWIECZERSKI?

40 ŁUKASZ ZBORALSKI

ZABÓJCY MIĘDZY NAMI

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

CZYSTY OJCZYSTY

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK

TWARZ WIEDZMINA

To się dzieje naprawdę:
kinowy Superman zagra Gerta
w serialu Netflixa

48 ROZMOWA Z EMILEM MARATEM

„KOLUMBA” REJS PRZEZ ŻYCIE

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 WALDEMAR ŻYSKIEWICZ

PIS 2.0 ŁAMIE OBJETNICE

Przybywa imigrantów



58 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

TRZEBA MIEĆ SVOJĄ WYSPĘ ELLIS

60 JAN HLEBOWICZ

BITWA O WESTERPLATTE

62 FILIP MEMCHES

STALIN – PATRON OBROŃCÓW DEMOKRACJI

65 GABRIEL MICHALIK

GDZIE WĄŻ MA OGON?

DODATEK HISTORYCZNY

67 POLSKA – OJCZYZNA ŻYDÓW

- Wywiad z prof. Antonym Polonskim
- Kazimierz Wielki i Żydzi
- Historia krakowskiego Kazimierza
- Żydzi na ziemiach Rzeczypospolitej



ŚWIAT

86 ROZMOWA Z MATTHEW TYRMANDEM

TRUMPA NIE JEST ŁATWO ZŁAMAĆ

„Strach” Boba Woodwarta zaszkodzi prezydentowi USA?

88 TERESA STYLIŃSKA

OD RUCHU PROTESTU DO RZĄDÓW

EKONOMIA

92 STEFAN SĘKOWSKI

POWTÓRKA Z OFE

Oszczędzanie czy dokapitalizowanie spółek państwowych?

O ZDROWIU

98 ROZMOWA

Z PROF. WOJCIECHEM MŁYNARSKIM

WYLECZYĆ NIEWYLECZALNE

Nowotwór częsty u dzieci, rzadki u dorosłych

Dieta zapobiega nowotworom

Odpowiedni sposób odżywiania zmniejsza ryzyko wystąpienia chorób cywilizacyjnych, także nowotworów. Warto postawić na piramidę zdrowego żywienia.

W ostatnich 25 latach ok. 313 tys. osób prawdopodobnie uniknęło zachorowania na raka, dlatego że zmieniło nawyki żywieniowe i zaprzestało palenia tytoniu – mówi prof. Mirosław Jarosz, dyrektor Instytutu Żywności i Żywienia. Korzystne zjawiska to m.in. zmniejszenie spożycia soli i tłuszczów zwierzęcych, częstsze sięganie po warzywa i owoce. Choć dieta Polaków jest dziś inna niż 25 lat temu, to ekspertów niepokoi to, że nadal jemy za mało produktów, które chronią przed chorobami cywilizacyjnymi, w tym przed rakiem.

NIE ZA DUŻO

Związek pomiędzy nadwagą, otyłością a ryzykiem powstawania wielu nowotworów został już udowodniony. Odkładająca się tkanka tłuszczowa zwiększa produkcję estrogenów, insuliny i czynników prozapalnych, które sprzyjają rozwojowi nowotworów. Dlatego podstawą powinien być umiar w jedzeniu, połączony z aktywnością fizyczną.

Szpeciallynie niebezpieczna jest otyłość brzuszna, której przyczyny to: spożywanie nadmiernej ilości żywności wysokokalorycznej, wysoko przetworzonej, siedzący tryb życia i mała aktywność fizyczna.

JEDZ ZDROWO

Za najkorzystniejsze w profilaktyce chorób cywilizacyjnych, w tym nowotworowych, uznawane są diety: śródziemnomorska oraz DASH. W obydwo szczególnie poleca się jedzenie warzyw i owoców (z przewagą warzyw), zbożowych produk-

tów pełnoziarnistych, niskotłuszczowych produktów mlecznych, ryb, nasion roślin strączkowych, orzechów, niewielkiej ilości mięsa (chudego, drobiowego).

Szpeciallynie dużo składników antynowotworowych zawierają warzywa i owoce. Karotenoidy (obecne np. w marchwi, morelach, dyni, sałacie), sulforafan (zawarty m.in. w brokułach) utrudniają podziały komórek nowotworowych. W cebuli, czosnku, porach znajdują się związki organosulfonowe niszczące komórki rakowe. Likopen zawarty w pomidorach, a zwłaszcza w przetworach z pomidorów, może hamować wzrost komórek we wczesnej fazie raka prostaty. Kapsaicyna w papryczkach chili hamuje wzrost komórek raka płuca, pęcherza moczowego i czerniaka. Właściwości przeciwnowotworowe mają też polifenole, jak kwas elagowy (obecny np. w jagodach, jeżynach, borówce amerykańskiej), resweratrol (ciemne winogrona, borówki, żurawina) oraz katechiny (zielona herbata).

Aktywność przeciwnowotworową ma też sezamina, występująca w ziarnach sezamu i oleju sezamowym. Związki przeciwkancerogenne znajdują się też w grzybach, i to nie tylko egzotycznych jak reishi i shiitake, ale też polskich pieczarek i bocznikach. Warto dużo przyprawiać, szpeciallynie kurkumą, która hamuje angiogenezę, czyli powstawanie naczyń krwionośnych odżywiających nowotwór. Podobnie działa imbir, rozmaryn, szafran oraz czosnek.

Katarzyna Pinkosz,
konsultacja med.:

prof. dr n. med. Mirosław Jarosz



Wystarczy przestrzegać piramidy

Wyniki badań wskazują na ogromną rolę żywienia w prewencji nowotworów.

Nie trzeba stosować szpeciallynie skomplikowanej diety, wystarczy przestrzegać zaleceń zawartych w opracowanej przez ekspertów Instytutu Żywności i Żywienia Piramidzie Zdrowego Żywienia i Aktywności Fizycznej oraz towarzyszących jej zasad zdrowego żywienia. Są one zgodne z założeniami diety śródziemnomorskiej i diety DASH, rekomendowanych przez międzynarodowe grupy ekspertów jako najskuteczniej przeciwdziałające rozwojowi chorób cywilizacyjnych. Dieta oparta na warzywach i owocach, zawierająca pełnoziarniste produkty zbożowe, niskotłuszczowe produkty mleczne, ryby, z niewielkim dodatkiem olejów roślinnych, uzupełniona nasionami roślin strączkowych i orzechami, może być pomocna w zapobieganiu rozwojowi większości nowotworów złośliwych. Trzeba pamiętać o ograniczeniu spożycia mięsa czerwonego i przetworzonych produktów mięsnych, cukru, słodczy, soli i zawierających ją produktów oraz o unikaniu picia alkoholu. Jednak sama dieta nie wystarczy. Musi jej towarzyszyć większa aktywność fizyczna i niepalenie tytoniu.

prof. dr n. med. Mirosław Jarosz,
dyrektor Instytutu
Żywności i Żywienia

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu opinia dotycząca poruszonego ostatnio przez Łukasza Warzechę tematu dostępności broni w Polsce, a także głosy dwóch czytelników w polemice z Uberem w tle. E-maile do redakcji prosimy przysyłać na adres: listy@dorzeczy.pl

„Strzelanie w zaścianku” – Łukasz Warzecha, „DRz” 36/2018

Szanowni Państwo,
znamienne i dziwne jest to, że naród, który ma za sobą tak krwawą i okrutną historię, nadal – o dziwo! – ma najbardziej restrykcyjne prawo dostępu do broni w całej Europie. Polakom przez lata wmawiano, że jesteśmy narodem nieodpowiedzialnym i niedojrzałym do osobistego posiadania broni. Kto jeszcze dzisiaj taką tezę popiera i dlaczego? Bo już zaborcy przez 200 lat zaborów dbali o to, aby w polskich domach nie było broni. Od tamtej pory niewiele się zmieniło w tym temacie. Znamienne. Nawet Czesi mają więcej broni w swoich domach. A jeśli Czech kupi broń produkcji czeskiej, to ma prawo nawet do dwóch sztuk broni palnej. Ciekawe, na jak duże poparcie społeczne mogłaby liczyć partia, w której to programie byłby projekt szerokiego, ale i sensownie kontrolowanego dostępu Polaków do broni?

Z wyrazami szacunku
Juliusz Rzepczyński

„Strach przed wolnością?” – Jacek Przybylski „DRz” 37/2018

Dzień dobry,
chciałbym bardzo podziękować panu redaktorowi Przybylskiemu za jego artykuł „Strach przed wolnością”, w którym bardzo celnie wypunktował słabość argumentów Rafała A. Ziemkiewicza dotyczących w szczególności aplikacji Uber. Przyznam, że jako wierny czytelnik RAZ-a (jestem szczęśliwym posiadaczem większości jego książek, wielu z nich z autografem autora) byłem zaskoczony sposobem, w jaki w swoim artykule „Na przykład Uber” bronił on korporacji taksówkarskich. Zawsze uważałem pana redaktora za „wolnościowca”. Dlatego brawo dla pana Przybylskiego za świetną polemikę.

Pozdrawiam
Łukasz Wojtas

Szanowna redakcjo,
odnosząc się do polemiki Jacka Przybylskiego z Rafałem A. Ziemkiewiczem, chciałbym dodać jeszcze swoje dwa słowa. Nie możemy patrzeć na ekonomię XXI w. przez okulary po przelocie z przełomu wieków XIX i XX. Moje dwa słowa w dyskusji to „ekonomia współdzielenia”. To na razie trend, ale wszystko wskazuje na to, że w najbliższych latach będzie się dynamicznie rozwijał. Wykorzystanie prywatnych rzeczy (np. samochodów) jako dodatkowych źródeł zarobku stanie się coraz bardziej powszechne. Płacz korporacji niewiele tu pomoże. I dobrze.

Serdecznie pozdrawiam
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

NEKROLOG

„Spieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą” (Ks. Jan Twardowski)

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o nagłej śmierci

Śp. Anny Hejki

Założycielki i Prezes Heyka Capital Markets Group,
energicznej, przedsiębiorczej i charyzmatycznej Kobiety,
silnie zaangażowanej we wsparcie polskiej i europejskiej sceny startupowej,
życzliwej i niezawodnej Przyjaciółki.

Piotrowi – Mężowi Anny oraz Jej Najbliższym
składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Michał M. Lisiecki z zespołem PMPG Polskie Media SA



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
i zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, **Piotr Gociek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłowski**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemkiewicz**
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cenciewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Coś (*Bruszel*), **Krzysztof Czabański**, **Roman Graczyk**,
Piotr Gursztyn, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk**
(*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Makowski, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memmes, **Agnieszka Niewińska**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**,
Witold Repetowicz, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sekowski**,
Teresa Stylińska, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torasiński**,
Matthew Tymand, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczek**, **Marcin Wolski**,
Tomasz Wróblewski, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata**
Puzyr, **Damian Cygan**, **Karol Gac**, **Przemysław Harczuk** (także SuperExpress),
Magdalena Złotnicka (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Mikoszewski**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieszka-Wójcisz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotobrydla: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olas**, **Anna Zalewska**,
Mazena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**
Okładka: **Karolina Misztal/REPORTER**, **Jakub Walasek/REPORTER**,
oprac. graf. JAN

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 86 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adustacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



DODAJ MI SKRZYDEŁ...



W program wsparcia dla uczniów z ubogich rodzin mogą się zaangażować firmy i osoby prywatne, które poprzez podpisanie deklaracji mogą się zobowiązać do objęcia opieką ucznia przez 1 lub 2 semestry szkolne. Dzięki stypendium uczeń ma zapewnione m.in. materiały edukacyjne, odzież zimową i letnią, dojazdy do szkoły, korepetycje, a nawet zajęcia pozalekcyjne czy wycieczki szkolne.

www.skrzydla.caritas.pl





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kopniak w kostkę

W sprawie udzielenia przez władze RFN wizy na wjazd do Niemiec Ludmile Kozłowskiej powiedziano już wiele mocnych słów. Usłyszeliśmy nawet o wypowiedzeniu nam wojny przez Niemcy, nowym pakcie Ribbentrop-Mołotow. Jedne media wskazywały prorosyjskie nastawienie Franka Schwabego, posła SPD, który zajął się zorganizowaniem wystąpienia Kozłowskiej w Bundestagu na temat stanu praworządności w Polsce. Inne zauważały, że na wystąpienie aktywistki z Ukrainy przyszło niewielu deputowanych i tylko niektóre niemieckie media, np. „Die Welt”, odnotowały sprawę.

Ja wolałbym się zająć kwestią podstawową.

Kozłowska mogła przybyć do Berlina, używając wizy, której udzielił jej ambasador niemiecki w Kijowie. Trudno przypuszczać, by zrobił to bez zgody kierownictwa niemieckiego MSZ. Tym samym rząd w Berlinie, wiedząc o polskim nakazie wydalenia jej ze strefy Schengen, złamał ustalenia europejskie. Ustalenia nakazujące honorowanie zakazu wjazdu wydane przez jakiś kraj.

Obrońcy decyzji niemieckich władz spekulują, że Niemcy najwidoczniej uznali, iż polskie zarzuty wobec Kozłowskiej są niewiele warte.

Nie wiemy do końca, czy doszło do jakichś konsultacji służb polskich i niemieckich w sprawie Kozłowskiej. Niemiecka strona twierdzi, że tak, ale w chwili oddania tekstu do druku polskie MSZ do tego się nie odniosło. Pytanie, na jakim szczeblu były konsultacje, bo przy takiej drażliwości sprawy winny one odbywać się na szczeblu najwyższym. Dotychczasową praktyką było uznawanie, że jeśli inny kraj uważa kogoś za persona non grata, to inni dostosowują się do takiej decyzji. Inaczej w każdej takiej sprawie trwać musiałyby żmudne spotkania, na których jeden kraj musiałby ujawnić wszystkie swoje dane operacyjne, a potem przekonywać sąsiadów do wsparcia zakazu wjazdu.

Niemiecka samowola oburzyła Polaków, tym bardziej że nieco wcześniej do Berlina bez problemów przybył umieszczony na liście unijnych personae non grata szef sztabu rosyjskiej armii, Walerij Gierasimow.

Dostaliśmy więc za wiedzą Auswärtiges Amt i Bundestagu (Kozłowską zaprosiło troje deputowanych z SPD, CDU i FDP) kopniaka w kostkę. Nie pierwszego.

Gdy Małgorzata Gersdorf została zaproszona na wykład do Karlsruhe (siedziby Niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego) – jak prostopadłościan nie wyjaśnił burmistrz – zwrócono się do MSZ w Berlinie z pytaniem, jak tytułować gościa z Polski. Otrzymało odpowiedź, że Gersdorf nadal jest I prezesem SN. Działo się to, gdy prezydent RP jasno wskazywał, że tak nie jest.

Co rusz czytam kolejne wezwania do dyplomatycznego resetu na linii Warszawa – Berlin. Konstrukcja takich tekstów jest dość podobna. Najpierw słusznie przypomina się, że RFN to nasz najważniejszy partner gospodarczy, potem wskazuje się na nieprzewidywalność Ameryki Donalda Trumpa, zmiany w UE i na koniec wezwanie, że coś z tym trzeba zrobić.

Tyle że trudno myśleć o resecie, gdy dostaje się kopniaki w kostkę. I to jest w całej sprawie najistotniejsze i najbardziej zasmakujące. © © (luz)

FLORENCE STRASZY STANY

W obawie przed huraganem Florence ze wschodnio-południowych wybrzeży Stanów Zjednoczonych ewakuowano w ubiegłym tygodniu ok. 1,5 mln mieszkańców. Stan wyjątkowy wprowadzono w: Karolinie Północnej, Karolinie Południowej, Georgii i Wirginii. Docierając do brzegów, żywioł stracił na sile (ekspertzy zmienili jego kategorię z 4 na 1), i uderzył najpierw w miasto Wrightsville Beach. Woda wdzierała się na ulice, wyrwane znaki drogowe latały w powietrzu. © © (luz)



FOT. COVER IMAGE/NASA/ESA/FORMA



Polskie Koleje Państwowe to ponad 90 lat tradycji. Historia PKP i polskich kolejarzy nierozdzielnie łączy się z walkami o wolność i niepodległość naszego kraju.

Fundacja Grupy PKP wspiera i koordynuje działania mające na celu propagowanie wiedzy historycznej o zasłużonych pracownikach kolei.

FUNDACJA GRUPY PKP

INSTYTUCJA UŻYTECZNOŚCI PUBLICZNEJ

- ▶ **WSPIERAMY** rozwój zawodowego szkolnictwa kolejowego
- ▶ **EDUKUJEMY** w zakresie bezpiecznych zachowań
- ▶ **DBAMY** o kolejowe dziedzictwo
- ▶ **PRZECIWDZIAŁAMY** wykluczeniom i wspieramy potrzebujących

Fundacja Grupy PKP

ul. Szczęśliwicka 62
00-973 Warszawa
+48 22 474 91 90
fundacja@pkip.pl



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Siostry hipokrytki

Przejrzałem lewicowe portale i profile, ze szczególnym uwzględnieniem tych feministycznych. Robię to co jakiś czas, ale tym razem nie chodziło o tzw. bekę – tym razem szukałem komentarzy na temat wnuczka Wałęsy. Wszyscy pewnie znają sprawę, ale na wszelki wypadek przypomnę – wnuczek, skądinąd kontynuując chuligańskie tradycje

mierzył młodocianemu bandycie równie mało dotkliwy wyrok prac społecznych i symboliczną grzywnę. I, oczywiście, niech nikt nie waży się sugerować, że na ten wyrok jakkolwiek wpływ miało pokrewieństwo chuligana czy to, iż orzekł sąd w Gdańsku, które to miasto, dzięki pracom komisji Amber Gold, dało się już poznać „jako polskie Palermo”.

Wydawałoby się – sprawa wręcz stworzona dla obrończyn kobiecej godności.

Osoby, organizacje, media, które od lat bronią kobiety przed przemocą, powinny krzyczeć i protestować wielkim głosem.

I co? Pewnie państwa nie zdziwię, ale protestów feministek przeciwko temu skandalicznemu wyrokowi znalazłem... zero. Nie ma tematu. Panie, które wrzeszczą od lat, że kobiety w Polsce każe bić Kościół i wynika to wprost z religii, panie entuzjazmujące się akcją „Me

Too”, domagające się wściekle ratyfikowania „konwencji antyprzemocowej”, atakujące mnie swego czasu wściekle, gdy fanatycznie zionącej nienawiścią do „zdeformowanych płodów” odważyłem się odpowiedzieć, że sama jest zdeformowana, urządzające histerie, jakim to strasznym poniżeniem kobiet i seksualną przemocą było, gdy na Twitterze zamieściłem zdjęcie modelki w czarnej bieliźnie z komentarzem, że jeśli „czarny protest” tak będzie wyglądać, to sam go poprę, ani pobicia, ani skandalicznego wyroku nie odnotowały.

Cóż, seksistowska teza o „wrodzonym masochizmie kobiet” okazuje się prawdziwa, choć z zastrzeżeniem. Panie feministki nie mają nic przeciwko, by być nazywane tak, jak nazywał przyjaciółki literat Rudnicki, i podrywane tak, jak to zwykł robić wnuczek Wałęsy z kumplami – ale tylko wtedy, gdy czyni to ktoś z właściwego „towarzystwa”. ©©

Sąd, po wnikliwym rozpatrzeniu sprawy, uznał czyn wnuczka za mało szkodliwy społecznie

rodu, wraz z kolegami pobił do nieprzytomności dziewczynę za to, że miała czelność wzgardzić końskimi zalotami jednego z nich. Sąd, po wnikliwym rozpatrzeniu sprawy, uznał czyn wnuczka za mało szkodliwy społecznie i wy-



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

„Pan da” Janda

Klimat się nam zmienił. Wiosną brak deszczu, latem za dużo upalnego słońca, zimą – nie ma śniegu. Za to cały rok, piątek czy świątek, piękną nadwiślańską ziemię nawiedzają gównoburze kręczone przez środowiska bliskie gazecie z Czerskiej, w tym grupkę artystów, których najpierw Polska Ludowa, a później III RP przekonywała, że są tak wybitni, że czy się stoi czy się leży, forsa im się należy. A jak pan nie da, to... No właśnie... burza. Ot, taka, jaką próbował wywołać Wojciech Malajkat, skarżąc się, że przez organizowane w Warszawie spotkanie z Donaldem Trumpem

straci, bo na jego spektakle przyjdzie mniej widzów. „Do Rzeczy” ujawniło wówczas, że aktor dostał wcześniej od państwa i samorządu ponad 600 tys. zł.

Właśnie spadła kolejna – sami wiecie co – rozkręcona przez Krystynę Jandę, Jerzego Stuhra i spółkę. Że niby PiS-owskie państwo na czele z ministrem Glińskim jest paskudne, bo – jak podkreślała temat „GW” – nie dało pieniędzy Fundacji Sztuki Współczesnej – In Situ na festiwal „Hommage à Kieślowski”.

Tymczasem okazało się, że publiczna kasa do owej fundacji płynęła szerokim strumieniem, np. tylko

w 2018 r. z Ministerstwa Kultury dostała 915 tys. zł dotacji, w tym 210 tys. zł na Archiwum Twórczości Krzysztofa Kieślowskiego.

Iw zasadzie całą sprawę można by zamknąć cytatem z ponadczasowego utworu Kazika: „Wszyscy artyści to prostytutki, w oparach lepszych fajek, w oparach wódki [...]. Czy ty to widzisz, czy się nie wstydzisz”, ale byłoby to zbyt uproszczenie. Skoro fundacja nie ma pieniędzy na organizację niszowego festiwalu, mimo że otrzymała łącznie prawie „bańkę” z pieniędzy podatnika, to może warto, by instytucje uprawnione do kontroli sprawdziły, jak je wydawano? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

ACTA 2 to nie armagedon

Zdyrektywą o prawach autorskich na jednolitym rynku cyfrowym wydarzyło się to, co zawsze ostatnimi czasy w Polsce: stała się pałąk w politycznym sporze. Tymczasem wcale nie mamy do czynienia z takim armagedonem, jak sądzą niektórzy, ale żeby to zrozumieć, trzeba poczytać coś więcej niż krzykliwe nagłówki.

O dyrektywie pisałem w „Do Rzeczy” już kilka miesięcy temu, gdy sprawa dopiero stawiała się głośnie. Pisałem raczej krytycznie, ale wniknąwszy w temat, nie znajdowałem uzasadnienia dla paniki. Dzisiaj tym bardziej

blemem. Ba, oznacza realne straty. Zatem unijny przepis odpowiada na faktyczny, a nie wymaginowany problem. Absurdem jest twierdzenie, że to prawo powstałe na zamówienie wielkich zagranicznych wydawców. Przeciwnie – jeśli kogoś takie praktyki naprawdę dotyczą, to raczej mniejsze i niekoniecznie zagraniczne media.

Nie znaczy to, że dyrektywa nie niesie ze sobą żadnych zagrożeń, ale – jak to w przypadku dyrektyw jest – wymaga ona implementacji w postaci, której szczegółowy kształt zależy od poszczególnych państw członkowskich. I tu może być kłopot. Jeśli za probierz wziąć całą paradę nonsensów, które wynikły z RODO, to można się bać, zwłaszcza że dyrektywa posługuje się nieprecyzyjnymi pojęciami. Na przykład głośny art. 13 mówi, że jeśli właściciel internetowego medium pozwoli użytkownikom na umieszczenie materiału, który podlega prawu autorskiemu, nie mając na to licencji, to może być pociągnięty do odpowiedzialności, chyba że dowiedzie, iż przedsięwziął „odpowiednie i proporcjonalne” środki, aby temu zapobiec. Co to są środki „odpowiednie i proporcjonalne” – nie wiadomo. Jednak właśnie tutaj otwiera się pole dla krajowej legislacji. Jeśli zatem schrzaniimy implementację dyrektywy w Polsce, to pretensję będziemy mogli mieć już tylko do siebie, nie do UE. ©©

Dla wydawców kopiowanie ich treści bez pozwolenia jest problemem

go nie widzę. Warto bowiem dostrzegać argumenty zwolenników przepisu oraz zmiany, jakich dokonano w toku prac. Skrócono np. czas, przez jaki cytowany materiał ma być objęty ochroną z 20 lat do roku – to znaczące ustępstwo. PE zdołał wprowadzić jeszcze kilka podobnych zmian przed zeszlotygodniowym głosowaniem. Ostateczny kształt przepisom nada zresztą Rada UE.

Przy wszystkich obawach związanych z dyrektywą trzeba pamiętać, że dla wielu wydawców korzystanie z ich pracy przez innych na zasadzie kopiowania treści bez powołania się na źródło jest pro-



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wojny antracytowe

O ile łatwiejsze było życie posła, zanim wynaleziono Twitter. Błyszczano się w mediach, znało zawsze i na wszystkim. A potem wredni dziennikarze zaczęli wtykać szpilki. „Tym razem poseł Witold Zembaczyński z Nowoczesnej mówi w TVN24, że »węglem z Donbasu palimy w kopciuchach«. Panie posle, nie palimy w kopciuchach, bo antracytem się w nich nie pali. Wykorzystujemy go w przemyśle i wysyłamy dalej za granicę” – napisał Michał Potocki.

Niestety, poseł ruszył do kontrataku. „Panu może się podobać gospodarka oparta na węglu, mi nie musi” – odparł. „Pan chyba nie rozumiał. To ja z Karoliną Bacą-Pogorzelską ujawniliśmy proceder eksportu antracytu z Donbasu do Polski. Tyle że nie jest on palony w piecach, wbrew temu, co opowiadał pan w TVN24. Słyszał pan, że gdzieś dzwonią, ale nie do końca wie, w którym kościele” – rzucił Potocki.

Przyparty do muru Zembaczyński postanowił skorzystać ze swoich zdolności erystycznych. „Słyszał pan słowo »piece«?” – zapytał. Odpowiedź przyszła błyskawicznie. „Słyszałem słowo »kopciuchy«. Serio, trzeba nie mieć instynktu samozachowawczego. Walnąć bzdurę i brnąć”.

A ponieważ w tej sytuacji można było już tylko brnąć, członek komisji ds. Amber Gold zastosował unik, zwany „podejściem do tematu od d...y strony”. „Sugeruje Pan, że rosyjski węgiel nie jest spalany w Polsce?”

„A dlaczego pan zmienia temat?” Powiedział pan, że palimy w kopciuchach węglem z Donbasu. Nie, nie palimy” – zwrócił uwagę dziennikarz, na co do dyskusji włączył się jeden z internautów, z komentarzem następującej treści: „Antracytem w kotłach C.O. ;) I zamiast położyć uszy po sobie, brnie”. Na to dictum poseł Zembaczyński bez komentarza wkleił link do hasła „antracyt” na Wikipedii.

„Różnica między nami polega na tym, że ja po roku pracy nad tematem antracytu z Donbasu nie muszę sprawdzać w Wikipedii, co to właściwie jest antracyt” – odpisał dziennikarz. „Różnic między nami jest więcej” – odparł polityk. „Owszem – ja po popełnieniu błędu staram się w niego nie brnąć” – stwierdził Potocki. „Musi Pan jeszcze popracować nad tematem, bo nie ma pełnej wiedzy” – zamknął dyskusję Zembaczyński. I tak sobie panowie pogadali. ©©

Bohater bez mogiły

Walcząc, był gotów oddać życie za Polskę, został skazany na śmierć wyrokiem stalinowskiego sądu. Za tydzień z „Do Rzeczy” płyta DVD z filmem o rtm. Witoldzie Pileckim

Jego życiorys to gotowy scenariusz na znakomity film. Witold Pilecki urodził się 13 maja 1901 r., w Wojsku Polskim służył od 1918 r., czyli od czasu odzyskania przez Rzeczpospolitą niepodległości. Walczył w wojnie z bolszewikami, został dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. Podczas II wojny światowej, po kampanii wrześniowej, przeszedł do konspiracji, był współtwórcą Tajnej Armii Polskiej i żołnierzem Armii Krajowej.

Dał się pojmać Niemcom i trafił do obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie tworzył ruch oporu i jako pierwszy raportował o ludobójstwie. Po ucieczce z obozu włączył się w walki podczas Powstania Warszawskiego. Po wojnie miał stworzyć sieć wywiadowczą w Polsce Ludowej. Przez komunistyczny sąd został skazany na śmierć. Wyrok wykonano strzałem w tył głowy.

Bohater został zrehabilitowany po latach. W 2006 r. prezydent Lech Kaczyński odznaczył go Orderem Orła Białego, a w 2013 r. Pileckiego pośmiertnie awansowano do stopnia pułkownika. Brytyjski historyk, prof. Michael Foot, zaliczył Witolda Pileckiego do sześciu najodważniejszych ludzi ruchu oporu w czasie II wojny światowej.

Komuniści pochowali rotmistrza po cichu w kwaterze na „Łączce”. Brak grobu był elementem planu – chcieli pozbyć się nie tylko Pileckiego, lecz także pamięci o nim. Częściowo im się to udało. W sondażu Polskiego Radia 24 przeprowadzonym w 2017 r. aż 66 proc. osób nie wiedziało, kim był rtm. Witold Pilecki. Choć środowiska patriotyczne starają się to zmienić, m.in. organizując marsze pamięci.

Historię polskiego bohatera przypomina też film „Pilecki”, który w przyszłym tygodniu będzie można kupić z „Do Rzeczy”. To fabularyzowany dokument pokazujący niesamowitą historię patrioty, który był gotów oddać życie za Polskę i stracił je za sprawą stalinowskiego sądu. W części dokumentalnej filmu o rotmistrzu opowiada jego syn – Andrzej Pilecki. Jest to zatem okazja do poznania wielkiego bohatera jako człowieka, widzianego oczami najbliższych. Tym bardziej warto 24 września wybrać wydanie „Do Rzeczy” z filmem. ©©

(raw)



Za tydzień z „Do Rzeczy” DVD z filmem „Pilecki”





Wejdź już teraz
na www.jamam.pl

MAM Ci coś do opłacenia...

Poznaj MAM – platformę do obniżania rachunków

Kupujesz z MAM
np. ubrania, elektronikę,
produkty spożywcze
lub rezerwujesz wyjazd.

Po każdym zakupie
część złotych wraca
na Twoje Konto
w MAM.

Na koniec **opłacasz**
Złotówkami MAM
rachunki.

25 Złotówek
MAM na start

Do 176 sklepów
w 11 kategoriach

Niższe opłaty
za media



JAK ŻYĆ BEZ GOSPOSI?

Aktorka Krystyna Janda, po raz nie wiadomo który, postanowiła poużalać się na to, jak źle jej się żyje we własnym kraju, odkąd rządy przejęła partia, której Janda nie znosi. Przy tej okazji postanowiła powiedzieć o tym, co myśli o ludziach, którym się w życiu mniej udało niż jej. „Co to znaczy: wygrani transformacji? Każdy mógł sobie z tą wolnością zrobić, co chciał. To był raptownie kraj wielkich, oszałamiających możliwości. Mogli sobie na to zapracować” – oburza się w „Gazecie Wyborczej”. Na uwagę, że nie wszyscy mieli taką możliwość, odpowiada: „Wszyscy”. I dalej narzeka, że Polacy są zwyczajnie leniwi. „W Polsce nie ma pozytywnego snobizmu na pracę, wiedzę, lepsze życie, przesuwanie się wyżej w hierarchii społecznej. Szkoda” – mówi. I zdradza, z jakimi problemami się to wiąże. „Przez 45 lat dorosłego życia mam problem ze znalezieniem gosposi. Wolę zagrać w teatrze i w nim zarobić pieniądze, żeby dobrze zapłacić gosposi. Ale nie ma takich osób” – skarży się. Nie chcemy wiedzieć, jak wygląda dom pani Jandy po tych 45 latach. To wszystko przez was, Polacy!



FOT. MARUSZ GRZELAK/REPORTER

KARIERA NA SŁOIKU WISI

Maryla Rodowicz w rozmowie z „Faktem” ujawniła, że ma bardzo oddanych fanów, którzy troszczą się o nią, jak mogą. Dbają na przykład, aby się dobrze odżywiała. – Robienie przetworów nie jest moją pasją, na szczęście dostają je regularnie tuż po koncertach od moich fanów – mówi Rodowicz. – Mam kompoty, grzybki, przeciery pomidorowe, ogórki. Te przetwory są fantastyczne i bardzo smaczne. Fani raczą mnie też miodami i konfiturami. Mam już tego niezłą kolekcję – zdradza. To już wiadomo, dlaczego Maryla tak nieśpieszno do zakończenia kariery. Życie bez słoików ze wsi byłoby nie do zniesienia.

ŻYCIE NIE JAK NOWELA

Bożenka z „Klanu”, czyli Agnieszka Kaczorowska, wzięła ślub. I to nie w serialu, ale naprawdę, w życiu. Miała być skromna uroczystość gdzieś pod Warszawą, ale okazało się, że para dostała propozycję nie do odrzucenia ze strony jednego z magazynów i jednego z biur podróży. Tak więc ślub był w Toskanii, a w podróż poślubną para udała się na Seszele. – Początkowo planowali

skromną uroczystość pod Warszawą, ale gdy tuż po wieczorze panieńskim do Agnieszki zgłosiła się gazeta wraz z jednym z największych biur podróży w Polsce i zaproponowali eleganckie wesele w Toskanii, oczywiście z pokryciem kosztów, od razu się zgodziła – zdradza informator jednego z plotkarskich portali. Od początku liczyła, że ktoś się zgłosi. Kto to widział, by taka gwiazda miała brać zwykły i jeszcze na dodatek skromny ślub? Jak w jakimś „Klanie”.

SKĄD SIĘ BIORĄ DZIECI

O tym, że modelka Anja Rubik postanowiła wziąć się do edukacji seksualnej Polaków, już pisaliśmy. Niedawno informowaliśmy o jej nowym pomysle – napisania książki-podręcznika o wychowaniu seksualnym. Książka niebawem ma się ukazać i Anja teraz skupia się na jej promowaniu. Oczywiście poprzez udzielanie wywiadów. „Nie rozmawiałam z matką o seksie. Bo skąd ona miała osiąść tę umiejętność? Jej rodzicie z nią nie rozmawiali, temat był tabu. Za to mama opowiadała mi, że w tamtych czasach, kiedy dziewczyna zachodziła w ciążę, wzbudzała wstyd” – opowiada w „Vivie!“. W tej samej rozmowie modelka opowiada też, jak namówiła jedną ze znanych blogerek, Maffashion, by ta podzieliła się w Internecie historią swojego pierwszego razu. „Oczywiście natychmiast pojawiły się komentarze, między innymi taki wpis: »Prześcieńcie mąciw w głowach młodym ludziom, skupcie się na wartościach rodzinnych«” – mówi Anja. „No, przepraszam bardzo, ale co to znaczy? Przecież te rodziny jakoś powstają. Do tego trzeba aktu seksualnego!” – tłumaczy modelka Rubik. Jak dobrze, że mamy Anję Rubik. Gdyby nie jej podręcznik (i wywiady), w tej ciemnej Polsce nigdy nie dowiedzielibyśmy się, skąd się biorą dzieci!

EKSPERT OD UPADKU

Kamil Durczok, ten sam, który wyleciał z TVN po tekstach tygodnika „Wprost” sugerujących, że miał molestować swoje podwładne, podczas jednego z paneli dyskusyjnych na Forum Ekonomicznym w Krynicy postanowił wypowiedzieć się na temat – uwaga! – upadku mediów. – Rynek medialny w Polsce przypomina obraz bitwy pod Grunwaldem. Walczymy na różne narzędzia, najmniej w tym wszystkim jest niestety dziennikarstwa. Rzetelnego, misyjnego. Jestem pod wrażeniem tego, że ciągle jeszcze w tym zawodzie misja jest przynależna do pewnych nazwisk, redakcji, grup, ale na pewno nie do środowiska. Jesteśmy świadkami absolutnego upadku obyczajów dziennikarskich – stwierdził. Świadkami? Pan Redaktor wyjątkowo skromnie o swojej w tym roli. ©©



FOT. PAMEL GROHMALA

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, jaka żenada. Jak wiecie, w wyborach samorządowych obowiązują parytety, które nam zapewniła kiedyś Platforma, a tymczasem wiele komitetów ma problem, iżby znaleźć wymaganą liczbę waginoosób, a jeśli nie

po prostu za dużo mężczyzn pcha się po władzę i stąd też potrzeba więcej waginoosób na listach. A one w tym szowinistycznym świecie są bite kablami od żelazka i wykorzystywane do rodzenia dzieci pod „500+”, więc nie mają czasu na aktywność społeczno-polityczną.

Sami więc widzicie, iż gdyby tylko mniej mężczyzn wykazywało takie tradycyjne podejście do ról społecznych, odpuściło, znalazło sobie alternatywne hobby, to zarazem łatwiej byłoby znaleźć odpowiednią liczbę waginoosób do startowania w wyborach.

A kolejnym krokiem równościowym powinno być liczenie głosów oddanych na nie razy dwa.

Politycy Platformy Obywatelskiej w toku kampanii wyborczej poczuli potrzebę „normalności”, więc skorzystali z komunikacji miejskiej. Skasowali nawet bilety.



ce z ery kryzysowa biopubliczności

Strach pomyśleć, do czego presja związana z kampanią może jeszcze pchnąć polityków i jak na normalne, ludzkie zachowanie polityków PO zareagują inne partie.

Może dostaniemy więc instastory z wizyty w Biedronce? Może znajdziemy relację posta z korzystania z publicznej toalety (z poszanowaniem kolejki) albo wstrząsający stream z samodzielnego opłacania rachunków?

Dobrze dopóty, póki posłowie fokusują się na własnych aktywnościach. Gorzej, jak młody hipster z Warszawy będzie wracał z ekotorbą z delikatesów, ktoś zacznie mu ją wyrwać, a to się okaże, że Jaki z Trzaskowskim będą chcieli mu pomóc zanieść zakupy do domu.

Premier Morawiecki mówi, że chce oprzeć gospodarkę tego kraju na rosnących pensjach.

Dlatego podnosi płacę minimalną, ale tylko do wysokości 2250 zł. My, przypominamy, od dawna postulujemy, żeby zrównać płacę minimalną ze średnią krajową.

A wracając do premiera. Ciekawe, kiedy w końcu odkryje kolejną rzecz, o której mówimy od dawna: wystarczy dodrukować pieniędzy albo dopisać do każdego rachunku on-line dwa zera. Przecież pieniądze to tylko cyferki. ©©

Podróżujący komunikacją miejską politycy PO obserwują dzikich w ich naturalnym środowisku



f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

Awięc wojna! Kancelaria premiera Mateusza rzuca wyzwanie Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana! Tydzień po tym, jak prezydent weźmie udział w tradycyjnych dożynkach w Spale, odbędą się konkurencyjne dożynki, w których dla odmiany udział brać będzie premier Mateusz. Dożynki dla niepoznaki będą nazywały się inaczej – dziękczynienie za plony wsi polskiej czy coś takiego – ale cała reszta będzie zupełnie dożynekowa. I premier Mateusz też będzie przemawiał. Zobaczymy, kto bardziej kocha rolników! Podajemy miejsce akcji: gościnna ziemia lubelska, okolice pewnego sanktuarium.

Dwa słowa o wewnętrznych sondażach PiS na temat sejmików wojewódzkich. Sytuacja na dziś wygląda tak: pięć wziętych z samodzielną większością, w trzech losy się waży i pewnie będą ważyć aż do końca. Przypominamy o celu postawionym nieoficjalnie przez Kaczora-Dyktatora przed partią: wziąć osiem sejmików.

Ludzie małej wiary wątpili, kiedy zapowiadaliśmy w naszej wpływowej rubryce program pomocy dla polskiej piłki kopanej. No to teraz odszczekają, bo wiadomość jest już oficjalna. Na początek 1,5 mld, kryte boiska treningowe, nowy system szkolenia, akademie piłkarska z 16 oddziałami regionalnymi. A wszystko wysiłkiem pospołu Totalizatora Sportowego i PKO BP, spiritus movens całości jest zaś premier Mateusz. Zapowiadamy niedowiarkom: to jeszcze nie koniec.

Mecenas, zwany Koniem, planuje podobno przepisanie swej słynnej kancelarii prawnej na małżonkę, tak się bowiem składa, że wietrzy kłopoty ze strony wymiaru sprawiedliwości

Nie do wiary. W PiS trwają heheszki. W dodatku ich przedmiotem jest sugerowaną przez naczelnika państwa pomoc w formie nowego świadczenia dla emerytów. Na własne uszy słyszeliśmy, jak ważne figury z Nowogrodzkiej zasta-

nawiają się, czy zamiast „emerytura plus” nie używać nazwy „jarkowe”. Obrzydliwość! Dystansujemy się!

Zżycia koni. Jak rozpowiadają źli ludzie z Warszawy, największy polski mecenas... Wróć, najdłuższy polski mecenas, zwany Koniem, planuje podobno przepisanie swej słynnej kancelarii prawnej na małżonkę, tak się bowiem składa, że wietrzy kłopoty ze strony wymiaru sprawiedliwości. A konie, jak wiadomo, mają dobry węch. Oczywiście nie wierzymy w te ohydne plotki i odrzucamy je ze wzgardą.

Nie uwierzycie, gdzie jeszcze można spotkać złych ludzi – w Krakowie! Otóż narzekają oni, że Gośka Wassermann to wprawdzie dobry kandydat do pokonania Starego Majchra, znanego też jako Jacek Majchrowski, ale wskazują, że na razie zawartość Gośki w kampanii Gośki jest niska. A w porównaniu z zawartością Patryka w kampanii Patryka – wręcz znikoma. Narzekania te poddajemy pod uwagę wszystkim kandydatom na wszelkie fotele prezydentów czy burmistrzów z całej Polski. Zwyczajowo przyjęło się, że drogą do wygrania wyborów w jakimś mieście jest osobiste prowadzenie aktywnej kampanii w tym właśnie mieście.

Wiewiórki potwierdzają inną plotkę – tak, to Gośka Wassermann jest liderem nieformalnego wyścigu do fotela marszałka Sejmu, kiedy już Marek Kuchta Kuchciński przeniesie się do Brukseli. Zauważają też inną ciekawą rzecz. Układający listy w wyborach samorządowych Kaczor-Dyktator nie zamierza czekać z wielką zmianą pokoleniową w PiS do eurowyborów. Zmiany dokonuje już, a słynny edykt nakazujący wybierać PiS-owcom ze spółek Skarbu Państwa „albo posady, albo miejsce na listach” jest elementem tego procesu. Udanego, bo większość zainteresowanych odrzekła: „posady”.

Zżycia Łapki. Jak wiadomo, Krzysiek Łapka Łapiński odszedł z Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana, żeby sprawdzić się w biznesie. Wszyscy zachodzą w głowę, z kimże to będzie się sprawdzał. Nie trzeba zachodzić, już ujawniamy, że z niejakim Marcinem Mastalerkiem, ale na razie plan jest taki, że zamiast zakładać nową firmę, obaj będą działać jako wolne elektrony.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

panowie



Drobna, acz znacząca informacja o następcy Łapki u Andrzeja Sebastiana. Ludzie, którzy pamiętają czasy, kiedy Błażej Spychalski pełnił rozmaite funkcje w PiS, opowiadają, że ze względu na wrodzoną ostrość i twardość dorobił się wtedy ksywy „Błażejek”. Zatem wymyślanie mu nowej ksywy na potrzeby nowej posady nie jest potrzebne.

Będziemy szczerzy. Trochę nas niepokoi zarost Błażejka. Nie ufamy ludziom noszącym brody „na Dubienieckiego”. Za bardzo przypominają nam działaczy SLD z lat 90., a to przecież fatalne skojarzenia.

Ze względu na wrodzoną ostrość i twardość dorobił się ksywy „Błażejek”. Zatem wymyślanie mu nowej ksywy na potrzeby nowej posady nie jest potrzebne

Jeszcze o kancelarii Andrzeja Sebastiana. Trwają poszukiwania. Zagubiono gdzieś 20 kg. Zgubił je prezydencki minister Paweł Mucha, i to w ciągu paru miesięcy. Jest na diecie i podobno je co cztery godziny. Też jemy co cztery godziny, ale nam przybywa. Widać, życie dziennikarza jest mniej stresujące od życia w kancelarii.

Wieści od Eichhörnchen. Do wydawcy „Faktu”, czyli Ringier Axel Springer, trafiło już pismo przedsądowe Leszka Millera w sprawie odszkodowania za nieładny tytuł tekstu o samobójstwie jego syna. Kwota, której dochodzi były premier, to okrągły milion złotych, a beneficjentami mają być Miller, żona Millera oraz Monika, wnuczka Leszka, córka zmarłego Leszka juniora. Na miejscu Germańców zapłacilibyśmy bez szemrania, bo to i tak niewiele. Aha, „Eichhörnchen” to po niemiecku „wiewiórka”.

Tymczasem w Warszawie. Rafcio Trzaskowski bardzo cierpi. Taką hობową wieść usłyszeliśmy od wiewiórek z wnętrza sztabu. Cytując dokładnie: „Co rano Rafcia trzeba żyłką z materaca zdrapywać, żeby mu się chciało chcieć”. Członkowie sztabu zaczynają się jednak obawiać (zwłaszcza po klejeniu drzwi taśmą), że aby zaktywizować Rafcia,



będą potrzebne radykalniejsze środki. W tym kontekście pada słowo „harvester”. Nie wiecie, co to jest. My też nie, ale sprawdziliśmy. Urządzenie do masowej wycinki drzew w Puszczy Białowieskiej.

Jedni już cierpią, inni będą cierpieć. Na przykład pewien bardzo duży miś od deweloperki polskiej związany od lat z czerwonymi braćmi. Podobno okazało się, że na korzyść tego misia dwa zupełnie różne sądy w dwóch zupełnie różnych sprawach wydały korzystne wyroki z uzasadnieniem identycznym nawet co do błędów interpunkcyjnych. Całkiem jakby chłopaki zrzucali z tego samego pendive’a czy coś. No i szykuje się draś. Gdy już zaczną o tym trąbić media głównego ścieku, pamiętajcie, że podaliśmy tę wiadomość pierwsi.

Sprawa będzie miała wymiar polityczny i entertainmentowy. Polityczny, bo szaniepokojone rekiny czerwonego biznesu próbują już przemówić dużemu misiowi do rozsądku z obawy, że jego mały geszeft zepsuje im naprawdę duże interesy. Jeden zielony rekin, znaczy taki bardziej kojarzony z peezelem, też się niepokoi. To polityka. A elementy entertainmentowe są związane z tym, że wspomniany misio kręci też z wykształceniem. Opowiada, że ma wyższe, tak jak Kwaśniewski, a sprawa jest raczej średnia. Kupujcie popcorn razem z nami!

Wprawym Internecie ekscytacja – wreszcie ktoś dał odpór PR-owcom totalsów, którzy wymyślili chwytliwe plakaty i koszulki z hasłem „konsTYtucJA”. Odpowiedzią są koszulki z hasłem „dekoMUnizacJA”. Chłopaki, jesteście spóźnieni, w tak zwanym międzyczasie karierę zrobiły już T-shirty z ułożonym w podobne logo słowem „desTYlacJA”. Nie ukrywamy, że budzą naszą sympatię.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Pieczyński

Gdy cztery lata temu działali się prawdziwe cuda nad urnami, obóz „racjonalnej Polski” wyśmiewał PiS-owskie protesty wyborcze. Dzisiaj zakłada swój „ruch kontroli” i prorokuje: „PiS sfałszuje wybory!”

Prawo stworzone przez PiS ułatwia fałszowanie wyborów samorządowych – orzekli niedawno Grzegorz Schetyna i Katarzyna Lubnauer. Chodzi o przepis, który zdaniem przywódców opozycji został skonstruowany specjalnie w taki sposób, aby PO i Nowoczesna nie miały swoich przedstawicieli w obwodowych komisjach wyborczych. „To z kolei może prowadzić do nadużyć i fałszerstw” – czytamy na portalu Gazeta.pl, który obszernie opisał podejrzenia opozycyjnych polityków.

Zgodnie z nowym prawem wyborczym gwarantowane miejsca w komisjach obwodowych mają przedstawiciele tych partii czy koalicji, z których list w ostatnich wyborach zostali wybrani radni do sejmiku województwa lub posłowie do Sejmu. Tego warunku nie spełnia Koalicja Obywatelska – a właśnie pod tą nazwą, a nie pod partyjnymi szyldami, w wyborach startują PO i Nowoczesna. Dlatego też o ewentualnym wejściu w skład komisji przedstawicieli tych partii zadecyduje losowanie [w losowaniu wyłaniani są brakujący członkowie komisji, jeśli liczy ona mniej niż dziewięć osób – przyp. red.].

Przewodnicząca Nowoczesnej wietrzy spisek również w nowych zapisach dotyczących znaku X na kartach do głosowania. Według niej nowelizacja „ułatwia fałszowanie wyborów”, a to „każe pytać się o intencje. Każe się pytać, czy intencją twórców takiego prawa, czyli Prawa i Sprawiedliwości, nie było sfałszowanie tych wyborów”.

– Nie pozwolimy na to, żeby te wybory odbyły się poza kontrolą – zapowiedział z kolei Schetyna, cytowany przez Gazetę.pl. – Będziemy umawiać się z Polskim Stronnictwem Ludowym, które ma stałego przedstawiciela w komisji, weźmiemy także udział w losowaniu.



Ale najważniejsze to mężowie zaufania i jak najwięcej ludzi, którzy patrzeć będą na ręce w tej sprawie – dodał.

ŚWIAT NA OPAK

„Aby pracować w komisji, trzeba mieć rekomendację komitetu wyborczego, któremu udało się zarejestrować

kandydata [...]. Jeden komitet może zgłosić jednego członka komisji. Jeśli chętnych na osiem krzeseł w komisji będzie więcej, decyduje losowanie. I już tu – jak słyszymy na szkoleniu – zaczynają się fałszerstwa [...]. Ale zaplanowanych fałszerstw ze świecą szukać. Żadne oficjalne wyjaśnienia, wyroki sądów



FOT. JAN BIELECKI/FAKSTNEWS

borczych ze strony władzy. Tyle że wówczas w opozycji był PiS, a u władzy PO. Dzisiaj jest odwrotnie. I dziś tygodnik „Polityka” nawołuje: „Zgłaszajmy się do komisji wyborczych. Wybory samorządowe coraz bliżej, a w komisjach wciąż potrzeba ludzi”. I publikuje miniprzewodnik, jak się do nich zapisać.

Już w lipcu zeszłego roku Adam Szostkiewicz na swoim blogu zastanawiał się: „Czy następne wybory będą wolne?”. „Jedno wiemy: jeśli PiS ma utracić władzę, to w wyniku wolnych wyborów. I tu zaczyna się realny, polityczny, systemowy problem. Bo przecież nie ma pewności, że PiS pozwoli na wolne i uczciwe wybory” – pisał publicysta „Polityki”. Wyraził też nadzieję, że większość Polaków woli demokrację niż autorytaryzm. Jeśli jest inaczej, to znaczy, że „rośnie przyzwolenie dla demokracji w wydaniu PiS-owskim, czyli narodowej, a zatem nie dla wszystkich, a jeśli nie dla wszystkich, to już nie demokracji”. Czyżby więc demokratyczne zwycięstwo PiS miało oznaczać klęskę demokracji? Szostkiewicz najwyraźniej nie dopuszcza do siebie myśli, że Kaczyński mógłby uczciwie wygrać: „Znajdą się PiS-owskie ręce do liczenia głosów i PiS-owscy komisarze wyborczy, którzy ogłoszą, że czarne jest białe”. A zatem strach przed fałszerstwami PO-PSL był niesłuszny, zaś strach przed fałszerstwami PiS jest słuszny...

KONTROLOWAĆ!

Powstały trzy lata temu u boku PiS Ruch Kontroli Wyborów należało wówczas obśmiać jako sektę prawicowych wyznawców teorii spiskowych. Tymczasem kilka miesięcy temu u boku PO zawiązała się grupa Wolontariusze Wolnych Wyborów. Hasło RKW to: „Pilnujemy prawidłowego przebiegu głosowania i liczenia głosów”. WWW z kolei nazywają siebie „akcją obywatelską skupiającą organizacje, którym zależy na prawidłowości przeprowadzenia wolnych wyborów w Polsce”. Nawet antypisowski portal NaTemat.pl zauważa: „PO poszła w ślady PiS i tworzy swój »Ruch Kontroli Wyborów«. Armia wolontariuszy będzie pilnować przebiegu głosowania”.

Powstanie RKW było odpowiedzią na „cuda nad urnami” podczas wyborów samorządowych. Półtora tysiąca protestów wyborczych, kosmiczne wyniki PSL – to wszystko było przyczyną, a zrzeszenie się zwolenników opozycji,

by patrzeć władzy na ręce, to był skutek. WWW jest odpowiedzią na zmiany w Kodeksie wyborczym, czyli tylko na podejrzenia opozycji, że władza może do „cudów nad urnami” dopuścić.

Na stronie Gazety.pl widnieje autoreklama o treści: „Nasi dziennikarze są na miejscu. Pilnujemy wyborów samorządowych w całej Polsce. Skorzystaj z tego”. Nie od dziś wiadomo, że „GW”, zazwyczaj wyśmiewająca prawniczy patos, sama przejęła tę stylistykę. „Cały naród obserwuje wybory” – to tytuł reportażu „Wyborczej”, w którym – co trzeba uczciwie odnotować – wzięto pod uwagę „ruchy kontroli wyborów” z obu stron polityczno-medialnej barykady, w tym zarówno RKW, jak i WWW.

„PiS może sfałszować wybory. Jest aż osiem argumentów za i nie ma żadnego przeciw” – pisze Jakub Bierzyński, socjolog i publicysta, w ramach prowadzonej na łamach portalu Gazeta.pl debaty pod hasłem: „Suma waszych strachów”. Jakie to argumenty? Po pierwsze, „prawica straciła według nas [czyli antypisu – przyp. red.] wiarygodność jako uczestnik demokratycznego ładu politycznego i społecznego”. Po drugie, „styl sprawowania rządów napawa nas najwyższym niepokojem”. Po trzecie, „pełzający zamach stanu, z którym mamy w Polsce do czynienia, spowodował całkowite upartyjnienie państwa”. Po czwarte, „prawica robi wiele, żeby nas w [...] lęk utrzymywać. Kapitał zaufania społecznego, do tej pory w Polsce bardzo słaby, został teraz całkowicie zniszczony. Zarzuty fałszerstw wyborczych formułowane przez Kaczyńskiego cztery lata temu to był dopiero początek”. Oczywiście zarzuty fałszerstw wyborczych, formułowane przed wyborami (sic!) przez przeciwników Kaczyńskiego, absolutnie się do zniszczenia kapitału zaufania społecznego nie przyczyniają, skądże... Po piąte, „wypowiedzi partyjnych prominentów i narracja rządowych mediów od początków sprawowania rządów do dzisiaj konsekwentnie utożsamiają rządzącą partię z państwem i narodem. Opozycja, protestując, dopuszcza się zdrady przeciw narodowi i ojczyźnie”. Po szóste, „niepokój narasta, dlatego że nie potrafimy zrozumieć celu, w jakim zmienia się ordynację wyborczą i regulamin głosowania”. Po siódme, „partia rządząca ma wielokrotnie większą motywację do utrzymania się u władzy za wszelką cenę. Na szali następnych wyborów leży bowiem nie tylko kariera polityczna jej działaczy, lecz także [...] lęk przed odpowiedzial-

czy spójne argumenty nie są w stanie uspokoić piewców mitu o fałszerstwach. Dlatego zgodnie uznali, że [...] wyborów i kolejnych muszą sami przypilnować. Tego będą uczyć na szkoleniach” – tak trzy lata temu pisała ironicznie Anna Dąbrowska z „Polityki”. Wtedy partia opozycyjna obawiała się fałszerstw wy-

nością”. To swoją drogą typowy przykład przejmowania PiS-owskiej stylistyki, retoryki, argumentacji, a nawet aksjologii przez anty-PiS: w końcu światło, europejskie środowisko zwolenników „grubej kreski” wyśmiewało partię Kaczyńskiego nie tylko za skłonność do teorii spiskowych, lecz także za inkwizycyjną pasję do rozliczeń... Po ósme wreszcie, pisze Bierzyński, „nie wierzę [...] że większość prawicy nie zgodzi się na sfalszowanie wyborów”.

MIĘDZYNARODOWO

W maju w rozmowie z „Dziennikiem” cuda nad urną prorokował kolejny przedstawiciel obozu (dotychczas) racjonalnej Polski, były wicepremier w rządzie PO-PSL. „Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że PiS w jakimś momencie sfalszuje wybory. Inaczej po co zmienia skład Sądu Najwyższego i izby, która będzie rozpatrywać wyborcze protesty?” – mówił Jacek Rostowski, przestrzegając dodatkowo, że „kraj, w którym sfalszowano wybory, na pewno nie będzie mógł pozostać w Unii Europejskiej”.

„Świat od początku obserwuje poczynania PiS-u. Międzynarodowi eksperci w dziedzinie polityki są więcej niż pewni, że PiS sfalszuje wybory” – napisała na Facebooku Bogna Czałczyńska, działaczka feministyczna, pełnomocniczka marszałka województwa zachodniopomorskiego (marszałek z PO) ds. kobiet i równego traktowania. Pod komentarzem, na potwierdzenie swoich słów, umieściła link do anglojęzycznego artykułu pt. „Polska partia Prawo i Sprawiedliwość powinna być zdelegalizowana”, opublikowanego na stronie think tanku Emergenceurope. Jednak autorem tekstu jest... Piotr Misiło. Poseł Nowoczesnej przekonuje anglojęzycznych czytelników, że w Polsce demokracja już upadła, a niebawem upadnie jeszcze bardziej. A to dlatego, że wybory samorządowe zostaną sfalszowane. PiS „zmieni wyniki w protokołach okręgowych komisji wyborczych, przed ogłoszeniem ostatecznych wyników wyborów”. „Jeśli sądzicie, że pokonamy PiS, zdobywając 20 proc. głosów, nawet w połączeniu z 30-procentowym wynikiem Koalicji Obywatelskiej, to chciałbym sprowadzić was z powrotem na ziemię” – dramatyzuje Misiło. Jego zdaniem PiS nie odważy się sfalszować wyborów tylko wówczas, gdy PO wespool z Nowoczesną zdobędą ponad 50 proc. głosów. W takim bowiem przypadku „ludzie wyjdą na ulicę” w obronie antypisowskiej koalicji i „poleje się krew”.

<https://emerging-europe.com/voices/polands-law-and-justice-party-should-be-banned/>

Poland's Law and Justice party should be banned

August 29, 2018 | Piotr Misiło



Piotr Misiło

When I said in my interviews two years ago that the Law and Justice party (PiS) was a threat to democracy, many journalists took the position of symmetry and, in a mocking tone, asked me whether democracy was coming to an end. I replied at the time that democracy would not end in one day, explaining that it was a process that PiS had just begun. But today I have very bad news for you: yes, this is the end of democracy in Poland. If yesterday was the parliamentary elections of 2015, when the votes of Poles began this process, then today is the middle, and tomorrow (the parliamentary elections 2019), may end with the death of the free Republic of Poland as we know it.

If we lose, we will win anyway.

NEWEST



Let's all be happy
September 12, 2018 | Craig Tapp



Dowodem niepokoju o Polskę za granicą mają być artykuły w zagranicznej prasie... Takie jak ten napisany przez posła Piotra Misiłę z Nowoczesnej



Polish start-ups use know-how learnt abroad
September 12, 2018 | Shazli Shih

FOLLOW US

Connect with us through social media.

Artykuł Misiło to kolejne potwierdzenie tego, że Zachód często „troszczy się” o demokrację nad Wisłą ustami polskich polityków, publicystów, komentatorów. W czerwcu o swoich obawach opowiedział w rozmowie z „Deutsche Welle” Adam Bodnar. Rzecznik praw obywatelskich zasugerował, że nie wiadomo, jak skończą się kolejne wybory parlamentarne. „Stawianie tu prognoz byłoby równoznaczne z wróceniem z fusów. Dlatego powiem tylko, że w 2007 r. istniały stabilne mechanizmy kontroli procesu wyborczego w formie niezależnych sądów i PKW. Dziś sytuacja jest inna i nie wiemy, jakie decyzje podejmie rząd” – mówił.

Nieuznanie wyników wyborów (akurat w tym przypadku parlamentarnych i europejskich) przez nowe składki sądów sugeruje również Wojciech Hermeliński, szef Państwowej Komisji Wyborczej. „Może powstać problem, czy osoby, które będą orzekały o ważności wyborów, zostały właściwie obsadzone. No i czy rozstrzygnięcia tych sędziów będą mogły być traktowane jako orzeczenia sądowe [...] Nawet nie czysto teoretycznie, ale praktycznie, jestem w stanie sobie wyobrazić, że mogą być próby podważenia decyzji Sądu Najwyższego w kwestii ważności wyborów. Zależy od tego, kto wygra wybory. Strońska, która przegra, komitety czy osoby fizyczne, być może będą próbowały to podważyć” – powiedział w rozmowie z Radiem RMF FM szef PKW. Miał

na myśli wybory parlamentarne i do europarlamentu, bo to o ich ważności decyduje SN. Z kolei protesty wyborcze w sprawach wyborów samorządowych rozpatrują sady okręgowe i apelacyjne, a tam – jak zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy” Krystyna Pawłowicz (wywiad na str. 22), „PiS nie może liczyć nie tylko na przychylność, lecz także nawet choćby na sprawiedliwe traktowanie”.

I tu dochodzimy do sedna problemu: w sondażach wciąż utrzymuje się pewna przewaga PiS. Na tę chwilę trudno sobie wyobrazić, by partia rządząca miała znaczące problemy w wyborach ogólnopolskich: czy to parlamentarnych, czy to europejskich. Nawet w wyborach samorządowych, gdzie do tej pory ugrupowaniu Kaczyńskiego szło najgorzej, bardzo dobry wynik PiS jest niezwykle prawdopodobny. Według sondaży może liczyć na zdobycie większości głosów w większości sejmików wojewódzkich. Trudno się dziwić, że wielu działaczy anty-PiS, który od samego początku podważając legitymację obecnej władzy (w podobny, ale o wiele dalej idący, a jednocześnie mniej uzasadniony sposób co kilka lat temu znajdujący się w opozycji PiS), nie chce przyjąć do wiadomości realnie wysokiego poparcia społecznego przeciwników. Obóz „racjonalnej Polski”, próbując „zracjonalizować” sobie przyczyny nadchodzących wyborczych porażek, paradoksalnie sięga po irracjonalne teorie spiskowe, przed którymi zawsze przestrzegał.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKO

STRAŻNIK PAMIĘCI

2018

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Jan Pilsudski



VI EDYCJA NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie
w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła,
które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje,
organizacje, które w minionym roku podjęły nowe
inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które
w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość
o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 30.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl
lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PATRONAT HONOROWY



niepodległa | POLSKA
RODZIMY WYSTĘP
NIEPODLEGŁOŚCI



WSPÓŁORGANIZATOR



PARTNER STRATEGICZNY



SPONSOR



PARTNERZY



eprasa.pl 25454ef676

Opozycja będzie kwestionować wybór Polaków



Z prof. Krystyną Pawłowicz, posłanką PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Szef Państwowej Komisji Wyborczej Wojciech Hermeliński zasugerował niedawno: „Może powstać problem, czy osoby, które będą orzekały o ważności wyborów, zostały prawidłowo obsadzone. No i czy rozstrzygnięcia tych sędziów będą mogły być traktowane jako orzeczenia sądowe”.

PROF. KRYSZYNA PAWŁOWICZ: Problem jest bardzo złożony. Po pierwsze, Sąd Najwyższy nie orzeka o ważności wyborów samorządowych, więc straszenie Polaków, że ich głosy zostaną zmarnowane „nielegalnością” sędziów SN, jest nie na miejscu. Mogą jednak pojawić się pewne problemy, tyle że na poziomie sądów okręgowych i sądów apelacyjnych, czyli tam, gdzie PiS nie może liczyć nie tylko na przychylność, lecz także choćby na sprawiedliwe potraktowanie. A to właśnie te instancje rozpatrują protesty wyborcze w wyborach samorządowych. Po drugie, jeśli chodzi o Sąd Najwyższy, który z wyborami samorządowymi nie ma wiele wspólnego, to obecna władza wybiera tylko część sędziów SN, ale to jest zupełnie odrębny problem.

Zdaniem Hermelińskiego SN może zakwestionować wynik wyborów europejskich i parlamentarnych.

Pan sędzia Hermeliński już w przeszłości, po zwyciężkach dla PiS w wyborach, co najmniej kilka razy dawał dowód swojej stronnictwa, wypowiadając się po stronie zbuntowanego środowiska sędziowskiego, a przeciw rządowi Zjednoczonej Prawicy. W swoich medialnych komentarzach lekceważąc wypowiadał się o ustawodawcy. Nasze propozycje reformy Kodeksu wyborczego kwitował niegodnym sędzię stwierdzeniem: „Mały Kazio usiadł i zaczął pisać”. O zmianach nie chciał nawet z nami rozmawiać. Zrezygnował z udziału w pracach sejmowej komisji nad projektem nowelizacji Kodeksu wyborczego, kontestował potem nasze rozwiązania. Jako sędzia Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku nie powinien tak ostentacyjnie prezentować swoich sympatii politycznych. Trudno się jednak dziwić – pan Hermeliński został do składu PKW powołany przez prezydenta Komorowskiego, a wskazany przez prezesa TK Rzepliń-

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

skiego. Trzeba pamiętać, że większość składu SN to wciąż sędziowie orzekający tam od dawna, a dziś w większości zbuntowani przeciwko nowym władzom. Dzisiaj pan sędzia Hermeliński, podważając legalność obecnego wyboru sędziów wskazanych przez KRS i prezydenta Dudę oraz sugerując, że będą oni mieli decydujący wpływ na orzeczenia całego SN, nie obraża PiS, ale w większości dotychczasowych sędziów SN.

Opozycja uważa ustawy reformujące sądownictwo za niekonstytucyjne. Nie obawia się pani, że będzie podważać legalność wyborów?

Na pewno będzie podważać. Totalna opozycja podważa wszystko, co robi rząd. Pytanie tylko, jakimi procedurami i środkami będą tym razem kwestionować demokratyczny wybór Polaków. Sondaże nie zawsze się sprawdzają, ale pokazują pewną tendencję. Patrząc na wyniki badań, jest więc duże prawdopodobieństwo, że w wyborach samorządowych PiS wygra w większości okręgów. Nie weźmie jednak chyba władzy we wszystkich miastach ani sejmikach. Bastiony Platformy najpewniej pozostaną w rękach tej partii. PSL, jeśli przetrwa, też będzie miało szansę utrzymać tylko część wyborczych zdobywców sprzed czterech lat. Dlatego opozycja dobrze przemyśli, czy opłaca się jej podważać prawidłowość wyborów. Ja natomiast uważam, że opozycyjne środowiska polityczne będą z pewnością kwestionować wyniki. Dla nich każdy krok poszerzający władzę PiS to powód do hysterii. Niedawno znaleźli sobie zręczny instrument prawny w postaci tzw. pytań prejudycjalnych, którymi zamęczają europejskie instytucje. W każdej najdrobniejszej sprawie odwołują się do trybunałów unijnych, które ani z mocy traktatów, ani z mocy prawa unijnego nie są uprawnione do decydowania o ustroju, wymiarze sprawiedliwości ani o wyborach w Polsce. Z pewnością dalej będą korzystać z tego narzędzia, zaskarżając „naruszenie w Polsce praworządności” (art. 7 traktatu). Poza tym jestem przekonana, że zarówno PO, jak i PSL zrobią wszystko, co w ich mocy, by zapewnić sobie korzystne wyniki wyborów...

W jaki sposób?

Trzeba pamiętać, że wybory samorządowe są organizowane przez organy samorządu terytorialnego. Czyli na wsi głównie przez działaczy PSL, w mieście w dużej części przez działaczy Platformy,

SLD oraz ich lokalne przybudówki. Może być pan pewien, że Hanna Gronkiewicz-Waltz, Jacek Jaśkowiak, Paweł Adamowicz czy Rafał Dutkiewicz zadbają o to, by te wybory przebiegły po ich myśli.

Sugeruje pani, że to właśnie antypisowska opozycja będzie próbować te wybory sfałszować? Poważne oskarżenie.

Nie. Ja tylko sugeruję, że na pewno zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby zapewnić sobie korzystny wynik. Mogą zrobić wiele, by ułatwić głosowanie swoim zwolennikom. Na przykład nagle zainteresują się lokatorami domów opieki, więźniami, a także osobami starszymi, które będą dowozić do punktów głosowań. Na pewno będą mocno mobilizować swój elektorat. Będzie to ułatwione szczególnie na wsi, gdzie bardzo silne jest PSL. A dla tej partii nadchodzące wybory to kwestia politycznego życia lub śmierci. Samorządy dysponują połową środków publicznych. To będzie ostra walka o pieniądze. Mam nadzieję, że nie będzie takich cudów nad urnami jak w poprzednich wyborach samorządowych. Wszyscy pamiętamy, jak PSL

ciwko obecnej władzy. I to ci upolitycznieni sędziowie mogą wypaczyć wynik wyborczy na naszą niekorzyść. Jestem przekonana, że jeżeli tylko będzie taka możliwość, to sądy będą wydawać orzeczenia raczej wygodne dla opozycji. Takie nastawienie sądów do obecnej władzy widać już dziś w tym, w jaki sposób sądy traktują ataki naszych przeciwników politycznych na obecną władzę. Myślę tu o umarzaniu postępowań, niezwykle łagodnych wyrokach lub wprost uniewinnianiu z tłumaczeniem, że każdy może korzystać szeroko z wolności zgromadzeń, wolności słowa itp. Z kolei pan poseł Gawłowski, pomimo niezwykle poważnych zarzutów, które na nim ciąży, został niezwykle wyrozumiale potraktowany i chadza sobie na wolności, zwolniony z koniecznego, jakby się zdawało, aresztu tymczasowego. Sądy są skandalicznie pobłażliwe dla KOD-ziarzy, Obywateli RP, uwalnianych aferzystów... Sędziowie wykorzystają wszystkie swoje kompetencje dla wsparcia opozycji. Z pewnością, podobnie jak cztery lata temu, ewentualnie nasze protesty wyborcze będą też masowo

Pan Bodnar jest stroną w otwartym, gorącym sporze politycznym, w nieskrępowany sposób wspiera opozycję, kłamliwie przedstawiając sytuację Polski za granicą

zdobywało kosmiczne liczby głosów, jak dorzucano worki z głosami, jak wiele głosów uznawano za nieważne... To wszystko zostało przecież upublicznione.

Nie zapadł jednak wyrok potwierdzający, że doszło wówczas do fałszerstw wyborczych.

To, co pan mówi, nie jest ścisłe. W ostatnich wyborach została zgłoszona ogromna, niespotykana wcześniej liczba ok. 1,5 tys. protestów wyborczych. I tylko nieliczne z nich zostały uwzględnione. W tych nielicznych sprawach orzeczenia sądowe, uznające naruszenia prawa wyborczego, zapadły. Jednak sądy nie uznały, by miało to wpływ na wynik wyborów w danym okręgu. Dlatego nie mam zaufania do sędziowskiej „nadzwyczajnej kasty”, która w ostatnich wyborach działała bardzo wyrozumiale wobec ówczesnych władz. Uważam, że sądy w większości biorą dziś udział w walce politycznej prze-

odrzucając lub nawet, przy stwierdzeniu nieprawidłowości, uzasadniane brakiem wpływu tych nieprawidłowości na ogólny wynik wyborów w danym okręgu.

Obawy co do wyniku wyborów miał już w czerwcu Adam Bodnar. Rzecznik praw obywatelskich w rozmowie z „Deutsche Welle” sugerował, że PiS może sfałszować wybory.

Proszę mi go nawet nie cytować! Pan Bodnar jest stroną w otwartym gorącym sporze politycznym, w nieskrępowany sposób wspiera opozycję, kłamliwie przedstawiając sytuację Polski za granicą. Już na zapas mówił niemieckim mediom, przygotowując je na ewentualny lament, o rzekomo sfałszowanych przez PiS wyborach. Niechętni zmianom sędziowie, politycy opozycji totalnej i sprzyjające jej media na wypadek zwycięstwa obozu Zjednoczonej Prawicy szykują już teraz grunt pod podważanie wyników wyborów oraz pod przyszłe

protesty do organów unijnych na rzekome fałszerstwa.

Grzegorz Schetyna i Katarzyna Lubnauer na wspólnej konferencji prasowej stwierdzili, że nowe prawo wyborcze, uchwalone przez PiS, ułatwia fałszowanie wyborów samorządowych.

Jakim cudem?! A ja uważam, że fałszowanie wyborów może być ułatwione raczej przez uchwałę PKW z maja, która doprowadziła do zmiany Kodeksu wyborczego. A konkretnie: do usunięcia obowiązku monitoringu w lokalach wyborczych podczas głosowania, a zwłaszcza podczas obliczania głosów.

WWW piszą o sobie tak: „Obywatelska akcja kontroli wyborów Wolontariusze Wolnych Wyborów powstała w odpowiedzi na zmiany wprowadzone w Kodeksie Wyborczym [...]. Będziemy kontrolować proces wyborczy i udaremniać władzy próby wywierania wpływu czy manipulowania wynikiem wyborczym. Nie dajmy sobie odebrać wolnych wyborów w Polsce!”

A czy przykłady jakichś naszych fałszerstw wyborczych z przeszłości podali?! Nikt o nich do tej pory nie słyszał.

Rzeczywiście, przykładów nie podali, ale jak piszą: „Większość parlamentarna zmieniła ordynację wyborczą, stwarzając sobie możliwość

Platforma lubi przedstawiać się jako reprezentacja „Polski racjonalnej”. Dlaczego dziś głosi to, co jeszcze kilka lat temu uważała za irracjonalną „teorię spiskową”? Może np. już się pogodziła z porażką i próbuje jakoś wytłumaczyć swoim wyborcom, dlaczego przegra z tak pogardzanym PiS?

Teoria spiskowa Platformy nie jest przeznaczona na użytek wewnętrzny. Wyborcy PO, Nowoczesnej i PSL, i tak, jeszcze przed wyborami, są święcie przekonani, że „ten zły PiS” sfałszuje wybory. Ta cała narracja adresowana jest raczej do unijnych trybunałów, do Komisji Europejskiej, Parlamentu Europejskiego i różnych międzynarodowych organizacji. Totalna opozycja w ten sposób pisze ciąg dalszy opowieści o tym, jak to w Polsce panują dyktatura i faszyzm. Nietrudno przewidzieć, że Bruksela uwierzy w te oskarżenia i wykorzysta je do ponownego uderzenia i do osłabiania obecnych władz Polski. Uważam jednak, że nasi przeciwnicy mogą się przeliczyć w swoich rachubach. Niedługo nowe wybory do PE, zmiana władzy w organach unijnych i w całym tym zamieszaniu nikt już nie będzie myślał o „faszyscie” Kaczyńskim ani o naszych wyborach, tylko o tym, czy znajdzie się na dobrze opłaconym stołku w Brukseli.

Opozycja próbuje też w pewien sposób zakwestionować wyniki wyborów w 2015 r., szukając „rosyjskiego śladu”. Radosław Sikorski do spółki z Jackiem Żakowskim forsują narrację, że za aferą taśmową stał Putin, a zatem że to Rosji PiS zawdzięcza zwycięstwo.

Rosyjski ślad to ja widziałam na molo w Sopocie... Spacerzy Tuska z Putinem, przyjazne spotkania Sikorskiego z Ławrowem, podziękowania Grasia po rosyjsku, dla rosyjskich milicjantów, skrajnie niekorzystna dla Polski, nie do przyjęcia nawet dla Brukseli, umowa gazowa z Rosją, podpisana przez Pawlaka za zgodą rządu Tuska... Jedyne „rosyjski ślad” pozostawiony na rządach PiS to odpowiedzialność Kremla – moim zdaniem oczywista – za śmierć śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Opozycja myśli, że ludzie, tuczeni na nienawiści do PiS, lykną każdą bzdurę, która stawia nas w złym świetle. Schetyna, Sikorski czy Lubnauer, kwestionując wyniki wyborów, które jeszcze się nie odbyły, udowadniają swoją złą wolę. Oni zwyczajnie nie są w stanie zrozumieć demokratycznych reguł funkcjonowania państwa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Nietrudno przewidzieć, że Bruksela uwierzy w oskarżenia opozycji i wykorzysta je do ponownego uderzenia oraz do osłabienia obecnych władz Polski

Schetynie i Lubnauer chodzi – jak myślę – o to, że przedstawicielom ich partii trudniej będzie dostać się do komisji wyborczych. Według nowych zapisów miejsca w komisjach są zagwarantowane tym ugrupowaniom, z których list w ostatnich wyborach wybrano radnych do sejmiku lub posłów do Sejmu. Tymczasem PO i Nowoczesna połączyły się w Koalicję Nowoczesną, zmieniając nazwę. Według PKW ich przedstawiciele nie wejdą więc automatycznie do komisji, będą za to uczestniczyć w losowaniach.

To trzeba było się nie łączyć w koalicję!

Opozycja i wspierające ją media budują atmosferę strachu. Tygodnik „Polityka” nawoływał do masowego zgłaszania się do komisji wyborczych, by „patrzeć władzy na ręce”.

I dobrze, niech sobie nawołują. My nigdy nie fałszowaliśmy wyborów, za to zawsze udowadnialiśmy fałszerstwa lewakom, PSL, PO. Jedyne, co im teraz pozostało, to podważanie uczciwości wyborów, w których najpewniej przegrają, co sami, jak widać, czują.

Platforma werbuje aktywistów do nowej akcji pod hasłem Wolontariusze Wolnych Wyborów. Słyszała pani o niej?

Nie. Ja nie śledzę lewackich inicjatyw. Działają już Ruch Kontroli Wyborów Ewy Stankiewicz, który również moim zdaniem będzie miał do odegrania dużą rolę w obecnych wyborach, pamiętając o tym, kto wybory organizuje i kto w tych lokalach, zwłaszcza na wsi, liczy głosy.

wpływania na wynik wyborczy. Niekorzystne zmiany objęły nie tylko organy wyborcze, ale przede wszystkim sposób ustalania wyników głosowania czy definicję znaku »X«, który stawiamy na karcie wyborczej”.

Nowe zapisy w sprawie znaku X pochwalił nawet przewodniczący PKW! Sam przyznał, że „celem projektodawców jest zapobieżenie fałszowaniu wyborów”. O czym my mówimy?! Właśnie poprzednie przepisy były nieprecyzyjne i powodowały masowe, dowolne unieważnianie głosów przez komisje wyborcze opanowane przez PSL i PO.

Nawet opozycyjny portal NaTemat.pl zauważył, że Platforma, powołując Wolontariuszy Wolnych Wyborów, skopiowała ideę wspomnianego Ruchu Kontroli Wyborów, który powstał przecież u boku PiS. Tyle że cztery lata temu politycy PO wyśmiewali RKW, twierdząc, że obawy o fałszerstwa wyborcze to PiS-owska teoria spiskowa.

Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Skąd jednak ta zmiana podejścia do tematu?

My mieliśmy poważne podejrzenia co do uczciwości poprzednich wyborów samorządowych, parlamentarnych i prezydenckich, w których startował Jarosław Kaczyński. Zmiany w Kodeksie wyborczym wprowadziliśmy właśnie po to, by zapobiec kolejnym cudom nad urnami. To był jeden z postulatów, z którymi szliśmy do władzy.

Ruszaj przed siebie z Rentis.

Dokąd tylko zechcesz.



RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 309 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307



Piotr Semka

Jan Śpiewak po nagłośnieniu afer reprivatyzacyjnych sprawia wrażenie, jakby chciał odkleić od siebie łatkę sojusznika PiS. I prawie ze wszystkimi siłami politycznymi mu nie po drodze

Jan Śpiewak dba o strój. Jednak to elegancja akcentująca pewną nonszalancję. Nosi hipsterską cyklistówkę, ale jednocześnie niezłej jakości brązowe, markowe buty.

Ma łobuzerski uśmiech i styl kojarzący się z pl. Zbawiciela – mekką warszawskich modnych kawiarenek na świeżym powietrzu. Mimo łysiny zachowuje jakiś młodzińczy wdzięk – w końcu jako 30-latek jest najmłodszym kandydatem w wyścigu o stołeczną prezydenturę. Wystawia go Komitet Wyborców Jana Śpiewaka – Wygra Warszawa ze wsparciem partii Razem.

Przeglądam się, jak w poniedziałek 10 września rozdaje ulotki w znacznie mniej modnym miejscu niż pl. Zbawiciela – pod warszawską Halą Mirowską. Tutaj zakupy robią mniej zamożni, zazwyczaj wiekowi warszawiacy. Na tle wielkich ekip sztabowców Patryka Jakiego i Rafała Trzaskowskiego jego akcja wygląda skromnie. Śpiewak w towarzystwie rapera Wujka Samo Zło i jednego sztabowca rozdaje swoje ulotki wprost do rąk przechodniów.

Pytany przez ludzi o podstawowe punkty programu – powtarza trzy kwestie. Pierwsza to budowa 20 tys. mieszkań przez miasto – 10 tys. komunalnych i 10 tys. na wynajem za czynsz nie większy niż 1,4 tys. zł miesięcznie. Co jeszcze? Warszawski Central Park zamiast pl. Defilad – „symbol prawa warszawiaków do zieleni w centrum miasta”. Trzeci postulat to walka o transparentność w działaniach prezydenta Warszawy i w radzie miasta, rozliczenie afer, wynagrodzenie krzywd ofiarom machlojek i wypalenie korupcji żywym ogniem.

Jak zwykle zdarzają się przechodnie, którzy zaczynają zamęczać kandydata swoimi sporami ze spółdzielnią mieszkaniową lub urzędami. Jakiś starszy pan upomina się o odbudowę historycznej fabryki Kamlera zburzonej w 2010 r. Są i panie, które od razu reagują pretensją: „Wszystko



Kandydat

pan u mnie stracił, obiecując, że »Tęcza« powróci na pl. Zbawiciela».

Jan Śpiewak część krytyki ignoruje, część łagodzi, a niekiedy grzecznie ucina: „Zostaniemy przy swoim zdaniu”.

Jeden ze spotkanych emerytów od razu zaznacza, że jest zwolennikiem PiS, ale ściska dłoń kandydata: „Dobrze, dobrze, że pan startuje. Zawsze »Trzaskiemu« trochę głosów pan skradnie”. Tutaj, pod Halą Mirowską, widać, że ci, którym lewica chce pomagać w niezamierzonym wiązaniu końca z końcem, nie mają ochoty na żadne „Tęcze”.

Sam Śpiewak zachowuje się jednak naturalnie i bez zadęcia. I to łagodzi

kontrowersje. Każdy widzi, że jego kampania jest nieco amatorska i „partyzanka”. I wielu pamięta, że to on naruszył zmoję milczenia wokół czyszczenia kamienic. To jednak raczej sympatia niż chęć oddania nań głosu w dzień wyborów.

TRZECI, KTÓRY JEST PIĄTY

W marzeniach ruchów miejskich miał być „tym trzecim”. Miał wbić się między rządzącą Warszawą Platformę a PiS. Mało kto wierzył, że przejdzie do drugiej tury, ale jego pula głosów miała dać pozycję do negocjowania z obiema stronami.



Tyle że tamci mają sporo pieniędzy, a on nie. I dlatego kampania wygląda, tak jak wygląda.

W SZOKU

Działacze komitetu Wygra Warszawa i partii Razem wciąż żywo komentują przejście Barbary Nowackiej do obozu Koalicji Obywatelskiej. Mają do niej żal, że zwodziła ich długo obietnicami współtworzenia w Warszawie silnego komitetu wyborczego lewicy. Dzisiaj podejrzewają, że zwołanie z decyzją przez Nowacką było grą na czas. „Lwica lewicy” podbiła swoją stawkę w targach z Grzegorzem Schetyną.

„Jestem naprawdę zniesmaczony. Barbara Nowacka zachowała się nielojalnie wobec swoich kolegów i koleżanek z Inicjatywy Polskiej – mówił niedawno Śpiewak w wywiadzie dla Onetu. – Od Barbary Nowackiej oczekiwałem czegoś więcej”.

Śpiewak sprawia wrażenie, jakby obojętnie został oszukany. „Najwyraźniej podpisała jakiś kontrakt z Grzegorzem Schetyną i teraz musi go wypełnić, żeby dostać miejsce do parlamentu. [...] Barbara Nowacka chce nas przekonać, że ten zgniły kompromis, który zawarła, ma sprawić, że więcej ludzi zgłasza na zjednoczoną opozycję. Śmiem wątpić: ludzie chcą wiarygodności, chcą uczciwości, a Platforma Obywatelska im tego nie daje” – wskazuje Śpiewak.

Ogłoszenie przez Biedronia prac nad własną partią i „zdrada” Nowackiej – zbliżyło do siebie partię Razem i komitet Wygra Warszawa. Oba dostały gorzką lekcję brutalności w polityce.

Tych, którzy demonstrują swoje zniesmaczenie, nie ma zbyt wielu. Jeden z nich to publicysta lewicowy dr Tomasz Markiewka. Komentując twitterowe spory Tomasza Lisa z Romanem Giertychem o to, czy Nowacka powinna jako twarz Komitetu Obywatelskiego demonstrować swoją lewicowość, czy wręcz na odwrót – kpiąco pisał w sieci: „A wy wolicie lewicę pod dyktando obywatela Giertycha czy może pod dyktando obywatela Lisa?”. Jeszcze mocniej zabolął lewicę spod znaku Zandberga artykuł w „Gazecie Wyborczej” o nazwie „Plac Zbawiciela Polski nie zbawi”. Jak pisze Karolina Kijek, autorka tekstu: „Na pokaz akrobatów przyszło w Oleśnicy 1,5 tys. osób. Na spotkanie z partią Razem – nikt”.

Tekst skwitował na Twitterze Mateusz Mirys, członek władz partii Razem: „W dzisiejszym tekście w @gazeta wyborcza autorka spotyka chłopaka, który studiuje u Adriana Zandberga i wsiada do

na bakier

Dlaczego w Warszawie nie wystartował Adrian Zandberg? Na to pytanie wszyscy w sztabie Śpiewaka udzielają wymijających odpowiedzi. „Ważne, że wystartował Janek!” – słyszę od jednego z działaczy ruchów miejskich. Jednak aktywiści od Zandberga ponoć nie uchylają się do udziału w kampanii Śpiewaka.

Aktywiści Razem stanowią ok. jednej trzeciej wszystkich osób aktywnych w kampanii – tłumaczy mi Karol Perkowski, kandydat komitetu Wygra Warszawa.

Ludzie ze sztabu Śpiewaka szczerzą się autentycznością kampanii „bez wiel-

kiej forsy i wielkich partii”, ale wyniki w sondażach nie porażają. Badania IBRiS z 30 sierpnia dają Śpiewakowi tylko 3,1 proc. Miała być silna trzecia pozycja – jest piąta, za Andrzejem Rozenkiem z SLD (4,9 proc.) i za Jackiem Wojciechowiczem – byłym wiceprezydentem Warszawy w ekipie Hanny Gronkiewicz-Waltz (4,6 proc.), którego pani prezydent rzuciła na pożarcie, dymisjonując go po wybuchu afery prywatyizacyjnej w 2016 r. Postkomunistami Śpiewak się brzydzi, a Wojciechowicza uważa za osobę odpowiedzialną za rozkwit szwindli reprivatyzacyjnych.

pendolino w Oleśnicy. Tyle że @Zan- dbergRAZEM nie wyklada od dwóch lat, a w Oleśnicy nie zatrzymuje się pendolino. Pozostałe wypowiedzi i ich autorzy też są zmyśnione?”

Traktowani dotąd z atencją młodzi lewicowcy odkrywają nagle, że „GW” wali tekstami jak maczugą i ma swoją taktykę w kreowaniu układu sił po lewej stronie.

W środę 12 września Jan Śpiewak zwołuje konferencję prasową pod ratuszem warszawskim. Z dumą prezentuje na dużej planszy spis 18 procesów z politykami, prawnikami i deweloperami, z którymi zмага się na salach sądowych od paru lat. „Osiemnaście pozwów jak osiemnaście dzielnic Warszawy” – żartuje.

Jednak najwięcej uwagi skupia na dwóch sprawach sądowych. Pierwszą wytoczył mu Jerzy Szaniawski, który – jak podkreśla Śpiewak – „korzystał na dzikiej reprivatyizacji”, a teraz jest „kandydatem PiS do Sądu Najwyższego”. Drugi proces, na który zwraca uwagę dziennikarzy

„Trudno nie ulec wrażeniu, że w PiS wali pan znacznie mocniej i częściej niż w Platformę” – pytam Jana Śpiewaka w kawiarni w Błękitnym Wieżowcu.

„Naprawdę?” – dziwi się kandydat na prezydenta. „Chyba głośniejszy jest wydzwitek, jak nawalam w PiS. W Platformę grzeję bardzo często, ale nikogo to nie obchodzi. Jaki i Trzaskowski mają za sobą silne media tożsamościowe. Ja nie mam nic”.

Gdy pytam, czy wierzy w przejście do drugiej tury, przytakuje, ale po chwili dodaje: „Najważniejsze to stworzenie w radzie miasta klubu, który będzie patrzył każdej władzy na ręce. Ale wiem, że to będzie niełatwe – realny próg wejścia do rady to 7–8 proc. głosów”.

Czy nie zrobił błędu z obietnicą odbudowy „Tęczy” na pl. Zbawiciela? Przecież wielu warszawiaków nie jest wrogo nastawionych do homoseksualistów, a jedynie drażni ich nachalność takiej demonstracji ideologicznej. „Obietnica odtworzenia »Tęczy«? Na pewno przedtem powinny odbyć się kon-

obozy III RP a świadomością potrzeby głębokiej reformy państwa po dekadzie rządów Aleksandra Kwaśniewskiego i aferze Rywina. Kto dziś pamięta, że na początku 2004 r. wzywał do stworzenia IV RP? Tyle że niedługo potem, po klęsce idei PO-PiS, cofał się wskutek obaw, że zbyt dalekie zmiany otworzą drogę prawicowemu radykalizmowi. Było i jest w tym wiele lęków warszawskiego liberalnego inteligenta przed wizją rządów prawicy jako czasu łysych łbów i antysemitów.

Tylko daleko idącej neurozie politycznej Śpiewaka seniora można przypisać jego niedawne wypowiedzi, że „PiS prowadzi wojnę z polską inteligencją”.

W lipcu br. Paweł Śpiewak zmieszał z błotem Patryka Jakiego, nazywając go „analfabetą z wyższym wykształceniem”.

Sam wyczulony na najmniejszą dra- styczność języka w obozie prawicy Śpie- wak senior chętnie przyznaje sobie prawo do ostrego oceniania innych. Tym bardziej że jego krytycyzmowi daleko do symetrii. Pytany o Trzaskowskiego krytykuje go nieporównanie łagodniej – jako „kandy- data, który czuje się lepiej w towarzystwie książek i dyplomatów niż zwykłych war- szawiaków”.

Coś z tej ostrości ojca, jak się zdaje, prze- szło na syna. Iwona Szpala, dziennikarka „Gazety Wyborczej”, kreśląc portret Jana Śpiewaka, nazwała swój tekst: „Chłopak, który wali na odlew”. Ta cecha pomagała mu w nagłośnieniu afer, ale skłóciła go z częścią środowiska ruchu miejskiego Miasto Jest Nasze. Jednocześnie w war- szawskim salonie liberalnym wciąż snują się za nim podejrzenia o jakąś grę z PiS.

Sam Śpiewak nie ukrywa, że kiedyś wierzył w PO i głosował na platformer- sów w latach 2005 i 2007. Na kogo oddał głos w wyborach w latach 2010 i 2011? Py- tany twierdzi, że już nie pamięta. Deklaruje, że w 2015 r. oddał głosy nieważne.

Po ogłoszeniu ambitnych planów Biedronia i akcesie Nowackiej do obozu Schetyny „Wyborcza” straciła zaintere- sowanie Janem Śpiewakiem. Przypomni sobie o nim zapewne, jeśli Jaki przejdzie do II tury. Czy kandydat Wygra Warszawa wezwie do wsparcia Trzaskowskiego? Na pewno lewica stanie wówczas przed niełatwym dylematem. „Wyborcza” roz- poczyni historyczną kampanię pod hasłem: „Zatrzymać brunatnego kandydata”.

Posypie się lawina apeli o „jeden front”. Co wtedy zrobi kandydat, który niemal ze wszystkimi jest dziś na bakier? A co zrobią jego wyborcy? © Wszelkie prawa zastrzeżone

W warszawskim salonie liberalnym za Śpiewakiem wciąż snują się podejrzenia o jakąś grę z PiS. Sam nie ukrywa, że kiedyś wierzył w PO

Śpiewak, to pozew Edmunda Świderskie- go, radnego PiS z Bielna, który w opinii kandydata komitetu Wygra Warszawa w 2004 r. jako przedstawiciel Zarządu Budynków Komunalnych „nie zadbał o to, aby decyzja o przekazaniu kamienicy rzekomym spadkobiercom została po- twierdzona notarialnie”. Śpiewak apeluje: „Mam nadzieję, że PiS nie wystawi w naj- bliższych wyborach pana Świderskiego i odetnie się od niego”.

Parokrotnie podkreśla: „Układ rzą- dzący Warszawą jest ekumeniczny – to układ zarówno Platformy, jak i PiS”. Wiele miejsca poświęca też krytyce apelu Patryka Jakiego, by inni kandydaci wycofali się z wyborów i wsparli kandydata PiS, aby zablokować Trzaskowskiego. „Do kogo ta propozycja? Do Jacka Wojciechowicza, który odegrał najbardziej ponurą rolę w stołecznych aferach reprivatyzyacyjnych? To dowód, że w razie wyboru Patryka Ja- kiego nie będzie żadnej zmiany”. Zapowia- da tego samego dnia konferencję prasową w tej sprawie pod Jaki Cafe. Cios jest celny – „konfa” pod sztabem rywala wyszydza- jąca wizerunek „szeryfa” Jakiego to coś, co PiS musi zabołec.

sultacje z mieszkańcami dzielnicy. Jak więk- szość będzie przeciw – nie będę się upierał” – deklaruje. Jak to miarodajnie sprawdzić? – pytam. „Można zadać pytania w tej sprawie losowo wybranej grupie ankietowanych na próbie równej 10 proc. liczby mieszkańców Śródmieścia” – wyjaśnia.

ŚLADEM OJCA

Jan Śpiewak ma za sobą krótką, ale burzliwą karierę polityczną w Warszawie. Wykazał się odwagą, podnosząc i nagła- śniając sprawę afer reprivatyzyacyjnych. Dzisiaj jednak sprawia wrażenie, jakby chciał odkleić od siebie łatkę politycznego sojusznika PiS. Być może stąd liczne ostre ataki na tę partię, zrażające tych, którzy nie podzielają jego opinii, że za machlojki w Warszawie PiS jest niemalże tak samo odpowiedzialny jak Platforma.

Trudno oderwać osobę Jana Śpiewaka od jego ojca Pawła, byłego kandydata z list Kongresu Liberalno-Demokratycz- nego w 1993 r. i posła klubu PO w latach 2005–2007, a obecnie szefa Żydowskiego Instytutu Historycznego.

On też długo się szarpał między towarzyskimi więzami z intelektualistami

The background of the advertisement is a photograph of a modern, white building with a large, rectangular infinity pool. The pool's edge is on the right, and the water extends to the horizon, where a coastal town and the sea are visible under a blue sky with light clouds. The building's architecture is clean and contemporary, with large glass panels and white panels. The pool has a blue border on the left side.

Radisson **BLU**
RESORT, ŚWINOUJŚCIE

#BluView
NA MORZE

REZERWUJ

+48 91 40 40 700, reservations.swinoujscie@radissonblu.com

HOTELS DESIGNED TO SAY YES!



Z Kacprem Płażyńskim,
kandydatem PiS
na prezydenta Gdańska
rozmawia Wojciech Wybranowski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Skończymy z dyktatem deweloperów

WOJCIECH WYBRANOWSKI: W polityce rzucił się pan od razu na głęboką wodę – do walki o fotel prezydenta Gdańska. Do tej pory, jeśli chodzi o miejskie sprawy, był pan tam znany chyba tylko z walki ze strefą płatnego parkowania.

KACPER PŁAŻYŃSKI: To rzeczywiście poważne wyzwanie i od samego początku wiedziałem, że droga będzie wyboista. Gdańsk jest miastem rządzonym od 20 lat przez tę samą ekipę, z której wywodzą się zarówno obecny prezydent, jak i drugi

z kandydatów PO, Jarosław Wałęsa. Nikomu, kto nie jest z tą grupą związany, nie jest tu łatwo. Ja jednak nie boję się rywalizacji oraz ciężkiej pracy i gdybym nie miał wiary w zwycięstwo, tobym się nie decydował na start w tych wyborach. Nie przesadzałbym też z teorią, że gdańszczanie nie znali mnie przed kampanią. Skuteczna walka z tzw. aferą parkingową przebiła się do mediów, ale było też kilka innych spraw, lokalnie dość dobrze znanych.

Lokalnie, ale nie w skali ogólnopolskiej. Jakie to sprawy?

Wspólnie z mieszkańcami Wrzeszcza bronię terenów Gedanii, najstarszego polskiego klubu piłkarskiego działającego w Gdańsku. Bronimy oczywiście przed wpływowym deweloperem, który chce tam zbudować kolejne blokowisko. Nasza praca przyniosła efekt, planowana inwestycja nie doszła do skutku i myślę, że nie dojdzie. Warto przypomnieć, że

Gedania to nie jest zwykły obiekt sportowy. Nie był to bowiem zwykły klub. Gedania była ostoją polskości w Wolnym Mieście Gdańsku. Wokół klubu skupiona była gdańska Polonia, ludzie, którzy w strasznych czasach rządów niemieckich nazistów w WMG z dumą wznosili biało-czerwoną flagę. Potem Niemcy mordowali ich za to w Stutthofie i Lesie Piaśnickim. Gedania musi być jednym z miejsc, gdzie czci się ich pamięć. A przy okazji służyć mieszkańcom, którzy będą tam uprawiali sport i odpoczywali. Od lat pomagam środowisku kombatanckiemu, to dla mnie bardzo ważne. Z racji wykształcenia angażuję się także w sprawy ludzi, którzy po prostu nie potrafią bronić się przed niesprawiedliwością. To, słusznie zresztą, nie jest nagłaśnianie. Robię swoje.

Prześledziłem pana dotychczasową kampanię, bardzo ostro krytykuje pan w niej urzędującego prezydenta Pawła Adamowicza. Wcześniej krytykował go pan także jako dziennikarz jednego z portali...

Nie nazwałbym tego ostrą krytyką. Mówię o sprawach, które są w Gdańsku znane i które się gdańszczanom nie podobają. Nadmierna zdaniem wielu życzliwość pana prezydenta w stosunku do deweloperów skutkuje tym, że Gdańsk rozwija się bez ładu i składu, a po każdym większym deszczu część miasta tonie. Gdańscy przedsiębiorcy skarżą się, że są nierówno traktowani. Mówią, że ci z kręgu Adamowicza i jego znajomych mogą robić biznes szybko oraz bez problemów, inni zaś wolno i z problemami. Jest też sprawa potężnego majątku prezydenta. Słyszymy, że jego źródłem są m.in. pieniądze przywiezione przez dziadków pani prezydentowej z robót przymusowych w III Rzeszy. Trudno, żebym się temu nie dziwił, gdańszczanie się dziwią dość powszechnie. Polakom przymusowa praca w III Rzeszy kojarzy się jednak z cierpieniem i śmiercią, a nie z gromadzeniem majątku. Jednak każdy, kto obserwuje kampanię w Gdańsku, widzi, że prowadząc ją, nie ograniczam się tylko do krytykowania. Przede wszystkim spotykam się z ludźmi i proponuję bardzo konkretne rozwiązania. O nich chciałbym w kampanii dyskutować.

Mówi pan też dużo o wsparciu Gdańska dla lokalnego biznesu i proponuje np. utworzenie Rady Przedsiębiorców przy prezydencie miasta. Mam wrażenie – znając w praktyce funkcjonowanie takich „rad” – że mowa o kolejnych martwych

fuchach, na które będą marnowane miejskie pieniądze.

Nie rozumiem. Jakie „fuchy”? Przecież radę będą tworzyli przedsiębiorcy, a nie urzędnicy opłacani przez miasto. Koszt obsługi takiego ciała będzie znikomy. Chodzi po prostu, żeby mały i średni biznes był blisko centrum decyzyjnego w mieście. Żeby tym bardzo ciężko pracującym ludziom nikt nie robił łaski, że się spotka i wysłucha ich opinii o tym, jak najsprawniej rozwiązywać ich problemy. Bardzo mi też zależy, by przedsiębiorcy pomogli urzędnikom w wytyczeniu odpowiedniej ścieżki rozwoju gdańskiego szkolnictwa zawodowego. Oni najlepiej wiedzą, jakich potrzebują pracowników, na jakie specjalności i zawody powinni stawiać samorząd. Dzisiaj często tych pracowników nie mogą u nas znaleźć, bo szkolnictwo zwija się, zamiast rozwijać.

Czytam, że ma pan projekt powołania urzędnika asystenta dla każdego właściciela małego lub średniego przedsiębiorstwa, który miałby pomagać mu w kontaktach z urzędem. To projekt idący bardziej w kierunku rozwoju biurokracji niż przedsiębiorczości.

Wręcz przeciwnie. Biurokracja jest faktem, ona zawsze będzie, choć oczywiście im jej mniej, tym lepiej. Asystent będzie po to, by przełamywać dość naturalny opór biurokracji w sytuacjach nieszablonowych, nieoczywistych. Często jest np. tak, że poszczególne wydziały urzędu mają problem z uznaniem wzajemnych kompetencji. Papiery krążą z biurka na biurko, a przedsiębiorca traci. Urzędnik pełniący funkcję asystenta przedsiębiorcy będzie miał za zadanie zidentyfikować problem i po prostu pomóc doprowadzić sprawę do końca. Projekt zaczniemy od pilotażu i na pewno nie będziemy na jego potrzeby zatrudniać dodatkowych urzędników.

Pana kampania w Gdańsku to bardzo wiele obietnic. Nowe mieszkania komunalne, niższe w czynszach w lokalach komunalnych dla biznesu, budowa wielu nowych obiektów sportowych. Obiecać można wszystko. Pytanie tylko: Skąd wziąć na to pieniądze? Budżety miast nie są z gumy.

To przemysłane propozycje, a każda złotówka, którą na nie przeznaczymy, ma konkretne, rzeczywiste źródło. Mówimy oczywiście o kwotach uwzględniających wsparcie rządu i rządowych agend oraz dofinansowaniu unijnym. Sam Gdańsk jest stosunkowo bogatym miastem, ma budżet w wysokości ponad 3 mld zł,

z czego 200 mln idzie na inwestycje. My nie proponujemy wcale jakichś gigantycznych wydatków, chodzi raczej o to, by działać roztropnie. W Gdańsku jest np. mnóstwo komunalnych pustostanów, a jednocześnie na komunalne lokum czekają tysiące rodzin. Dlatego proponujemy, by w ciągu pięciu lat 800 takich mieszkań wyremontować i oddać ludziom. To samo z lokalami użytkowymi. Kilkaset takich lokali stoi pustych, bo nie opłaca się ich wynająć. Gdy przedsiębiorcy otrzymają proponowaną przez nas ulgę, mogą się na to zdecydować. Zarejestrują biznes w Gdańsku, odprowadzą tu podatki. Wszyscy zyskają. No i jest kwestia priorytetów inwestycyjnych. Na pływaliń olimpijską – Pomorze to jedyne województwo, które takiej nie ma – dwa spore kompleksy sportowo-rekreacyjne na południu miasta, cztery pełnowymiarowe boiska piłkarskie w dzielnicach, osiem obiektów wielofunkcyjnych, kameralne lodowisko, cztery korty tenisowe i kilka mniejszych obiektów do wypoczynku potrzeba w sumie nieco ponad 104 mln zł. To oczywiście znaczna kwota, ale za te pieniądze można dokonać prawdziwego przełomu w ważnej dla mieszkańców dziedzinie życia. Chcemy to zrobić.

Jakie są najważniejsze problemy Gdańska, które – jeśli wygra pan wybory – będzie chciał pan rozwiązać?

Proponujemy nową oś komunikacyjną miasta, szybki tramwaj łączący dzielnicę na południu Gdańska z położonym centralnie Wrzeszczem. Trzeba też natychmiast rozwiązać doraźne problemy transportu zbiorowego. Dzisiaj wiele pojazdów w ogóle nie wyrusza w trasę, bo z powodu niskich pensji brakuje nie tylko kierowców, lecz także mechaników, którzy mogliby naprawiać średniej jakości tabor. Dzięki Bogu mamy w Gdańsku nieźle wskaźniki dzietności – pilnie potrzeba więc nowych żłobków i przedszkoli. Chcemy rozpędzić politykę senioralną i udostępnić starszym gdańszczanom 10 dziennych domów opieki. Trzy tysiące mieszkań komunalnych to remonty pustostanów, o których już mówiłem, nowe inwestycje gminy i udział w programie „Mieszkanie Plus”. Skończymy też z przestrzennym dyktatem deweloperów w Gdańsku: zamiast upychanych jedno koło drugiego blokowisk proponujemy gdańszczanom 170 ha nowych terenów zielonych.



Łukasz Warzecha

Piotr Semka wskazał trafnie na rosnącą rolę środowisk konserwatywnych, przekonujących, że istnieje życie poza PiS i PO

Mój redakcyjny kolega w „Liście Konserwatysty Zmiany do Konserwatysty Umiaru” opublikowanym w „Do Rzeczy” (36/2018) sam siebie pozycjonuje jako konserwatystę zmiany, ja zaś czuję się wywołany do tablicy jako konserwatysta umiaru. Swoją odpowiedź muszę zacząć od zajęcia się definicjami tych pojęć. Często bywa tak, że już definicje wskazują na punkty sporne. W tym przypadku także tak jest.

Piotr uważa, że konserwatyści zmiany opowiadają się za „konserwatywną rewolucją”, zaś konserwatyści umiaru to „symetryści”. W obu przypadkach jego definicja jest jednak błędna. Uzasadniając użycie oksymoronu „konserwatywna rewolucja”, Semka pisze o zmianie, która musiała się dokonać w momencie wychodzenia z PRL. „Konserwowanie” PRL-owskich mechanizmów nie miało oczywiście sensu i nie powinien się za nim opowiadać żaden konserwatysta – we właściwym sensie tego słowa – ideowiec.

Tyle że teraz nie żyjemy w latach 90., ale kończymy trzecią dekadę III RP. Mamy państwo, które – czy to się komuś podoba czy nie – okrzepło. Rewolucja zaś, jak to rewolucja, wiąże się z brakiem namysłu, niesprawiedliwością, stosowaniem drastycznych i populistycznych podziałów, brakiem szacunku dla instytucji. Trudno uznać, że takie podejście jest zasadne po blisko trzech dekadach III RP.

„NIE” DLA WALCA

Mimo to jest mocno wpisane w sposób działania i retorykę PiS – bo jest bardzo wygodnym uzasadnieniem różnych nieciekawych posunięć oraz pozwala stworzyć w dużym stopniu fałszywą narrację: my – prawi rewolucjoniści, oni – żli i skorumpowani obrońcy „dawnego porządku”. Skoro przyjmuje się, że kraj wymaga rewolucji, to nie trzeba kalkulować skutków działań, słuchać apeli o umiar. Jest rewolucja, więc morda w kubeł!

Tymczasem w roku 2018 pojęcie „konserwatywnej rewolucji” nie powinno



Rewolucja a państwo

mieć racji bytu. Polskie państwo wytworzyło przez 28 lat swojego suwerennego istnienia wiele wadliwych, patologicznych nawet mechanizmów, które wymagają naprawy, czasem zastąpienia nowymi, czasem jedynie dostrojenia – ale na pewno nie rozjechania walcem. Reforma sądownictwa jest najlepszym przykładem. Jeśli wliczyć konflikt o Trybunał Konstytucyjny, sprawa sądów jest głównym wątkiem rządów PiS po 2015 r. Zarazem każdy, kto rozumie, jak sądy działają, wie, że nie zmienia ona niczego tam, gdzie właśnie zmiana jest potrzebna: na poziomie klientów wymiaru sprawiedliwości, przeciętnych poszkodowanych czy przedsiębiorców dochodzących swoich praw. Ba, ci ostatni mogą nawet dostać po głowie za sprawą skargi nadzwyczajnej, gdy okaże się, że obalanie za jej pomocą prawomocnych od lat wyroków niesie dla nich niekorzystne konsekwencje finansowe. Walec zatem przejechał, mamy sytuację trudną do ogarnięcia chaosu i potężne wątpliwości

dotyczące sprawności wyłaniającego się systemu – a zarazem nic się nie zmieniało tam, gdzie powinno.

Podsumowując: nie ma „konserwatystów zmiany” – są po prostu zwolennicy rewolucji z patriotycznym, czasem wręcz tandetnie hurrapatriotycznym obliczem, której nie da się pogodzić z konserwatywnym myśleniem o państwie. Nie ma też konserwatystów umiaru – są po prostu konserwatyści i taką terminologię będę dalej stosował. PiS partią konserwatywną w wymiarze myślenia o państwie nie jest – ma jedynie elementy umiarkowanego konserwatyizmu obyczajowego.

W błąd wprowadza też termin „symetryzm”, sugerujący, że konserwatyści szukają prawdy zawsze pośrodku, podczas gdy przecież leży ona tam, gdzie leży. Jeśli już używać słowa „symetryzm”, to oznaczałoby ono nieutożsamianie interesu partii z interesem państwa. Takie utożsamienie swego czasu forsowała Platforma; dzisiaj PiS robi dokładnie to samo. Symetryzm to również ocenianie wszystkich uczest-



rozwiązania, która nie szanuje instytucji, ale jest zafiksowana na personaliach, nigdy nie zmieni sposobu myślenia.

Po co krępować się samemu jakimiś procedurami, kalkulacjami, regułami? Niechęć do takiego widzenia państwa – jako mechanizmu dostrojonego w identyczny sposób dla każdej władzy – widać w każdej wypowiedzi Kaczyńskiego.

Zjawisko uciekającego horyzontu zawiera w sobie jeszcze jedno zagrożenie,

najważniejsze, a zamknięte w następującym paradoksie: żeby sytuacja kiedyś stała się normalna, musimy najpierw uporządkować państwo; a żeby je uporządkować, musimy pozostać przy władzy; a żeby pozostać przy władzy, musimy wciąż stosować nadzwyczajne środki. Nie możemy z nich zrezygnować, bo wtedy nie doprowadzimy do normalizacji, a dopóki je stosujemy, dopóty nie będzie normalnie. Paragraf 22.

Państwo ma być dostosowane do potrzeb partii – bo przecież partia musi pozostać przy władzy, żeby kiedyś (nie wiadomo, kiedy) osiągnąć cel. W ten sposób, jeśli w ogóle coś się buduje, to buduje się mechanizmy wygodne dla konkretnej siły politycznej, a nie służące państwu. I na to konserwatyści się nie godzą. W dodatku znacznie częściej nie buduje się niczego, ale po prostu przejmują się to, co istnieje od dawna, i obsadza swoimi.

W ten sposób utrzymanie władzy staje się stopniowo celem samym w sobie, zaś aparat partyjny obrasta pasażerami na gapę, karierowiczami, kombinatorami. Sytuacja robi się jeszcze trudniejsza, gdy partia nie ma normalnych mechanizmów awansu, kariery, weryfikacji, bo jedyną instancją jest wódz, który przecież fizycznie nie jest w stanie wszystkiego kontrolować. Tak to dziś wygląda w przypadku PiS.

Proponuję Piotrowi Semce prosty eksperyment: poczekajmy na listy PiS do PE i sprawdźmy, ilu wśród nowych kandydatów będzie osób, o których uczciwie będziemy mogli powiedzieć, że dzięki swoim kompetencjom, wiedzy, rozumieniu procesów europejskich będą mogły skutecznie zadbać o polski interes – a ilu będzie zasłużonych towarzyszy partyjnych, którzy dostaną od wodza ciepłą posadę w nagrodę za

wierną służbę. To będzie miara patologii obecnego układu.

Konserwatyści dostrzegają, że polityczny oligopol, a może nawet duopol, odpowiada znakomicie obu stronom: PiS i anty-PiS. Mnóstwo wysiłku wkłada się w przekonanie wyborców o bezalternatywności tego układu. Przy czym nie ma to nic wspólnego z dwupartyjnym systemem amerykańskim, bo oba obozy nie są szerokimi ideowo konglomeratami. Nieprawo- myślni są z nich błyskawicznie wypływani.

Jeśli Piotr Semka pisze, że próby powołania alternatywy się nie powiodły, nie może zapominać, że PiS, PO, PSL, SLD są finansowymi beneficjentami fatalnego systemu subwencjonowania partii, który pozwala im akumulować fundusze bez końca. Zmieńmy system, każmy partiom oddawać co roku to, czego nie wydadzą na cele statutowe, a wtedy zobaczymy, jak długo utrzyma się dominacja duopolu.

Nie jest też prawdą, jak pisze Piotr, że konserwatyści uważają, iż problem ma naturę pokoleniową. Diagnoza konserwatystów jest inna: uważają oni, że scenę polityczną zdominowali gracze, cynicznie i z wyrachowania wciskający swoich sympatyków w dawno już nieoddający istoty sprawy schemat, wzięty wprost z PRL. Młodzi działacze PiS ten schemat powielają, plotąc o tym, że głównym problemem Polski jest postkomunizm i wystarczy z nim skończyć, żeby było pięknie – ale robią to z czystego koniunkturalizmu. Taki jest partyjny przekaz, trzeba więc go powtarzać.

Konserwatyści, o których pisze Semka, są jak Morfeusz w „Matriksie”: podają czerwoną pigułkę tym, którzy widzą, że coś nie gra. Mówią: nie jesteście skazani na tę grę pozorów. Jednak przekonywanie, że warto połknąć pigułkę czerwoną, a nie niebieską, może potrwać. Co imponuje w środowiskach konserwatywnych, to upór i gotowość do pracy organicznej. Zadaniem jest wyrwanie polskiej polityki z niszczącego, jałowego chocholego tańca z dwoma wodzirejami na czele.

Wśród rewolucjonistów jest zapewne wielu ludzi zacnych, z dobrymi intencjami, którzy wciąż łudzą się, że zmierzają ku jakiemuś wyrazistemu celowi. Oby nie zbudzili się dopiero na słowa: „... ostatek ci się ino sznur”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst Piotra Semki „List Konserwatysty Zmiany do Konserwatysty Umiaaru” wywołał szeroką dyskusję. Za tydzień w „Do Rzeczy” polemika Kamili Baranowskiej.

ników gry politycznej wedle tych samych kryteriów. Nepotyzm nie jest w mniejszym stopniu naganny, gdy stosują go „nasi”. Arogancja nie jest mniej arogancka, kiedy jest udziałem „naszych”.

Diagnostując błąd konserwatystów, Piotr Semka wspomina o książce Stefana Sękowskiego „Żadna zmiana”. Krytykuje frazę „PiS – PO, jedno zło”. Piotr nie dostrzega zjawiska, określanego przeze mnie jako uciekający horyzont, które u dziś rządzących widoczne jest wyraźnie. Do horyzontu, jak wiadomo, nigdy nie da się dotrzeć. Można do niego iść dowolnie długo, a on zawsze pozostaje daleko. PiS, gotując się do przejścia władzy w 2015 r., obiecywał głęboką zmianę w sposobie myślenia o państwie, w podejściu do konfliktu politycznego, do sposobu rozmowy z obywatelami. Jednym słowem – obiecywał zmianę systemową, która miałaby szansę przetrwać rządy ugrupowania Kaczyńskiego. Symbolem tych obietnic był pakiet demokratyczny – zestaw zmian w sposobie funkcjonowania władzy ustawodawczej, mający ułatwić działalność opozycji. Uchwalenia pakietu domagał się PiS za rządów Platformy i obiecywał go wprowadzić, gdy przejmie władzę. Kiedy to jednak nastąpiło, pakiet oczywiście szybko został zapomniany. Uzasadnienie było takie, że obecna opozycja „nie dojrzała”. Tutaj właśnie mamy klasyczny uciekający horyzont: owszem, mamy plan, żeby ucywilizować życie polityczne, ale jeszcze nie teraz, bo na razie trwa sytuacja nadzwyczajna. A kiedy się skończy – nie wiadomo.

WŁADZA REWOLUCYJNA

Łatwo oczywiście na to pytanie odpowiedzieć: nigdy. Władza, która od początku stawia na nadzwyczajne, rewolucyjne



Maciej Pieczyński

Wydłuża się lista polskich ekspertów od krajów byłego ZSRS, objętych zakazem wjazdu do Rosji. Ostatnio na czarną listę trafił wicedyrektor Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia

Doktor Łukasz Adamski, wicedyrektor CPRDiP, jest politologiem i historykiem. Zajmuje się m.in. sprawami Ukrainy FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Blokada dla Polaków

Doktor Łukasz Adamski, wicedyrektor Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, otrzymał zakaz wjazdu na teren Federacji Rosyjskiej, obowiązujący do marca 2021 r. Dowiedział się o tym, próbując przekroczyć granicę z obwodem kalininogradzkim. Wybierał się do Swietłogorska, gdzie miał być gościem na współorganizowanym przez CPRDiP dziecięcym turnieju piłkarskim. Pomimo ważnej wizy został zatrzymany na granicy. Pogranicznik wręczył mu dokument wydany przez FSB: powiadomienie o nieudzieleniu zgody na wjazd do Rosji.

Jako podstawę prawną podano par. 1 art. 27 ustawy o trybie wjazdu do i wyjazdu z FR. Zgodnie z nim obcokrajowiec może zostać niewpuszczony, jeśli jego przyjazd zagraża „zdolności obronnym lub bezpieczeństwu państwa, lub porządkowi społecznemu, lub bezpieczeństwu ludności”.

CPRDiP jest nadzorowaną przez resort kultury instytucją, powołaną do inicjowania i wspierania działań podejmowanych w Polsce i poza jej granicami na rzecz dialogu polsko-rosyjskiego w sferze kultury i nauki. Centrum organizuje konferencje, debaty, seminaria, szkoły letnie, przyznaje pieniądze publiczne w ramach konkursów na aktywność związaną z relacjami polsko-rosyjskimi.

Doktor Adamski jest historykiem i politologiem, specjalizującym się w historii i sprawach bieżących krajów Europy Wschodniej. Spora część jego dorobku naukowego i działalności publicystycznej poświęcona jest Ukrainie. Centrum, zgodnie z linią polskiej dyplomacji, stoi na stanowisku, że niezbędnym warunkiem uregulowania relacji między Warszawą a Moskwą jest zakończenie wojny na Ukrainie. – Wydaliśmy w języku angielskim książkę poświęconą problemom aneksji Krymu w świetle prawa międzynarodowego. Zebraliśmy grono autorów z wielu krajów, również z Rosji. Właściwie wszyscy, poza częścią prawników rosyjskich, byli zgodni co do tego, że Krym jest terytorium okupowanym – mówi dr Adamski. – Także wielu przedstawicieli rosyjskiej nomenklatury w prywatnych rozmowach przyznaje, że w końcu Kreml będzie musiał przełamać izolację na forum międzynarodowym, a nikt na poważnie z Rosją nie usiądzie do rozmów, jeśli nie zostanie uregulowana kwestia Krymu i Donbasu – dodaje. – Dialog polsko-rosyjski nie może polegać na potakiwaniu rosyjskiemu imperializmowi,

bo wówczas wróciłibyśmy do czasów PRL. Dialog, który my proponujemy, to nie jest dążenie do zgniłego kompromisu za wszelką cenę, ale uczciwa intelektualnie, twarda prezentacja naszych argumentów.

Wicedyrektor CPRDiP nie jest pierwszym polskim naukowcem, którego w ostatnim czasie władze Federacji Rosyjskiej uznały za persona non grata. Pod koniec lipca Michał Patryk Sadłowski, doktorant prawa na Uniwersytecie Warszawskim, został zatrzymany w Moskwie przez FSB i zmuszony do wyjazdu z kraju pod groźbą deportacji. Do Rosji przyjechał na zaproszenie Centrum Rosyjsko-Polskiego Dialogu i Porozumienia, aby wziąć udział w konferencji naukowej i wygłosić wykład o prawnych możliwościach współpracy pomiędzy UE a Eurazjatycką Unią Gospodarczą. Sadłowski jest współzałożycielem i członkiem zarządu fundacji Instytut Prawa Wschodniego im. Gabriela Szerszeniewicza, zajmującej się m.in. „upowszechnianiem znajomości zagadnień ustrojowych obszaru poradzieckiego”. Dopiero na początku września otrzymał za pośrednictwem ambasady FR w Warszawie oficjalną informację o przyczynach wydalenia

z Rosji. Okazuje się, że był to element działań odwetowych. Sadłowski został wydany w odpowiedzi na deportację w maju „obywatelki Federacji Rosyjskiej” (cytat z rosyjskiego komunikatu) przez władze RP. Chodzi konkretnie o Katarzynę (Jekaterinę) Cywilską, zatrzymaną przez ABW za prowadzenie antypolskich działań hybrydowych oraz za podsycanie polsko-ukraińskich animozji. – W Polsce, z kim nie rozmawiam na temat mojego zatrzymania przez FSB, słyszę, że po prostu Rosja walczy z niezależnymi polskimi naukowcami. Nie zawsze jest to prawda, skoro w moim przypadku były to działania odwetowe. Jednak wystarczy nagłówek: „Polak zatrzymany w Moskwie” i już i tak fatalny obraz tego kraju nad Wisłą się pogarsza – mówi Sadłowski „Do Rzeczy”. – Brakuje w Polsce ekspertów, którzy znają, rozumieją Rosję (w tym język), którzy często do Rosji jeżdżą. Teraz będzie ich jeszcze mniej. Rosjanie niszczą jedno z ostatnich mostów politycznego, eksperckiego, naukowego, gospodarczego pośrednictwa pomiędzy naszymi krajami. Takie mosty długo się buduje.

W maju do Rosji nie wpuszczono dr. Sławomira Dębskiego. Szef Polskiego

Instytutu Spraw Międzynarodowych (a zarazem, były dyrektor CPRDiP) został zatrzymany na lotnisku w Moskwie. Dostał trzyletni zakaz wjazdu. Ambasador FR w Warszawie zapewniał wtedy w rozmowie w agencji TASS, że Rosja zasadniczo stosuje tego typu sankcje tylko w ramach działań odwetowych – w tym przypadku miała to być odpowiedź na niewypuszczenie, na wniosek Polski, do strefy Schengen Olega Bondarenki i Aleksieja Martynowa.

W listopadzie 2017 r. w stolicy Rosji zatrzymany został dr hab. Henryk Głębocki z IPN. W swojej działalności naukowej zajmował się m.in. operacją polską NKWD.

Jak wynika z nieoficjalnych ustaleń „Do Rzeczy”, zakaz wjazdu w przypadku Dębskiego i Adamskiego mógł zostać wydany na prośbę ambasadora Federacji Rosyjskiej w Warszawie. Siergiej Andriejew znany jest ze swoich neostalinowskich interpretacji historycznych, a wewnątrz rosyjskiej nomenklatury promuje „jastrzębie” podejście do Polski. To on miał zabiegać w FSB o wpisanie obu dyrektorów na czarną listę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

WSTAJE
DZIEŃ

Poniedziałek-piątek 6:30

TVP INFO



Kim pan jest, panie Przywieczerski?

Sprawa działalności Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego wydaje się zamknięta w kontekście prawno-karnym. Wyrokiem Sądu Okręgowego w Warszawie z marca 2005 r. dyrektor funduszu Grzegorz Żemek został skazany na dziewięć lat pozbawienia wolności i karę grzywny w wysokości 750 tys. zł, jego zastępczyni Janina Chim na sześć lat więzienia i 500 tys. zł grzywny, a Dariusz Tytus Przywieczerski na 3,5 roku więzienia (już po „zsumowaniu” wyroków przez sąd drugiej instancji) i 380 tys. zł grzywny. Ten ostatni będzie miał teraz okazję odsiedzieć zasądzoną karę.

Pomijając to, że wymieniona trójka z pewnością nie powinna zamykać katalogu osób skazanych za różnego rodzaju przestępstwa związane z działalnością FOZZ, istotny jest też kontekst naukowo-poznawczy i polityczny. Nie poznamy w pełni kulisy transformacji ustrojowej i gospodarczej PRL w III RP bez wyjaśnie-



Adam Chmielecki

Afera FOZZ wybuchła, gdy inspektor Michał Falzmann wpadł na ślad podejrzanych transakcji Uniwersalu. Czy nagła ekstradycja byłego prezesa tej spółki ze Stanów Zjednoczonych do Polski zwiększy naszą wiedzę o ostatniej aferze PRL i jednocześnie „matce wszystkich afer III RP”?

nia sprawy FOZZ, a to z kolei nie uda się bez odpowiedzi na pytanie o rolę w całym procederze Dariusza Przywieczerskiego.

Jako pierwszy takie pytanie zadał śp. Michał Falzmann, niestrudzony tropiciel afery FOZZ. Chociaż zasłynął jako dociekliwy inspektor Najwyższej Izby Kontroli, to trzeba pamiętać, że opinia publiczna po raz pierwszy dowiedziała się o istnieniu funduszu i nieprawidłowościach w jego działalności, gdy Falzmann w październiku 1989 r. przeprowadzał

kontrolę skarbową w Uniwersalu, jeszcze jako komisarz Izby Skarbowej w Warszawie. Falzmann publikował później swoje wnioski w niskonakładowej prasie.

W jednym z kilku artykułów pisał: „Decydent moskiewski każe łączyć pieniądze z Polski ze swoimi i płacić na odpowiednie konta. Każe dokonywać operacji polegających na ukryciu transakcji Funduszu poprzez innych kontrahentów. I tak prezes Funduszu, pan Żemek, podpisuje umowę z panem Przywieczerskim,



FOT. ROMAN KOTOWICZ/FORUM

i patologiczną prywatyzacją w klimacie dzikiego postkomunistycznego kapitalizmu politycznego pierwszych lat III RP.

Dariusz Tytus Przywieczerski urodził się 8 maja 1946 r. we Włocławku w – jak sam pisał – „rodzinie inteligencji pracującej”. Maturę zdał w 1965 r., przy czym wykazał się nie tylko dojrzałością edukacyjną, lecz także „socjalistyczną” – w tym samym roku zapisał się do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (był członkiem do 1989 r.). Wcześniej już, od 1963 r., należał do Związku Młodzieży Socjalistycznej. Pozostawał gorliwym socjalistycznym aktywistą. W latach 60. i 70. był zastępcą kierownika Wydziału Organizacyjnego i członkiem Zarządu Głównego ZMS oraz inspektorem w Komitecie Centralnym PZPR. W 1976 r. miał być oddelegowany do Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Radomiu w celu przeprowadzenia „czystek” w tamtejszych zakładach pracy po zakończeniu protestów społecznych Radomskiego Czerwca '76. Socjalistyczna ojczyzna doceniła później jego wierność licznymi odznaczeniami, w tym kompletem odznak im. Janka Krasickiego oraz Brązowym i Srebrnym Krzyżem Zasługi.

NA PLACÓWCE

Takie zaangażowanie oraz praca jego ojca Edmunda Przywieczerskiego w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego Universal (co ciekawe, w jeszcze innej centrali handlu zagranicznego – Polservice – pracował brat Przywieczerskiego Przemysław) sprawiły, że szybko piął się po szczeblach kariery zawodowej, którą zaczął od razu od stanowiska kierownika w CHZ Paged, zajmującej się eksportem drewna. Po przerwie na etatową pracę w ZMS i PZPR pod koniec lat 70. Przywieczerski powrócił do Pagedu już jako zastępca dyrektora naczelnego. Był zdolny, obrotny i sprawny organizacyjnie, znał dobrze języki rosyjski i angielski.

W międzyczasie nadrobił zaległości edukacyjne. W 1974 r. ukończył Szkołę Główną Planowania i Statystyki, kuźnię gospodarczych kadr PRL (zwłaszcza w atrakcyjnym sektorze handlu zagranicznego), a także łowisko, na którym chętnie zarzucali sieci oficerowie z cywilnych i wojskowych tajnych służb. Absolwentami SGPiS była większość zamieszanych w działalność FOZZ osób z Grzegorzem Żemkiem na czele.

Wąskie grono członków uprzywilejowanej kasty absolwentów SGPiS niemal w każdym jednostkowym przypadku

rotowało zawodowo, skacząc z jednej intratnej posady na drugą w centrach handlu zagranicznego, Banku Handlowym, placówkach handlowych i instytucjach finansowych PRL. Dorabiali się tam, zacieśniali wzajemne kontakty i zdobywali kolejne kompetencje ekonomiczne niedostępne dla zwykłych obywateli PRL, które potem wielu z nich „skomercjalizowało” przy okazji transformacji.

Nie inaczej było w przypadku Przywieczerskiego. W 1980 r. wyjechał – jak się okazało, aż na pięć lat – do Ambasady PRL w Kenii. W Nairobi pełnił funkcję radcy handlowego. Już na samym początku jego pobytu doszło do ważnego incydentu. W grudniu 1981 r. rezydent CIA w Kenii miał podjąć próbę werbunku Przywieczerskiego. Rzecz miała się dziać kilka dni po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, Amerykanie liczyli zatem pewnie na szok i osłabienie więzi polskich dyplomatów z socjalistyczną ojczyzną. Nie wiadomo, jak cała sprawa się zakończyła. Część badaczy utrzymuje, że Przywieczerski dał się zwerbować CIA, dzięki czemu po latach mógł przez długi czas spokojnie i jawnie funkcjonować w USA. Jednak w dokumentach Departamentu II MSW (kontrwywiad) znajduje się informacja o odmowie Przywieczerskiego Amerykanom. Niezależnie od tego, jak było naprawdę (Przywieczerski był na tyle obrotny, że mógł podjąć grę na dwa fronty), oficjalna wzorcowa postawa radcy handlowego PRL w Kenii musiała zwrócić na niego większą uwagę wywiadowców PRL.

Czy to właśnie wówczas funkcjonariusze tajnych służb PRL postanowili rozpocząć współpracę z tak ideowo nastawionym i mającym duże możliwości działania obywatelem PRL? Tego nie wiemy. Departament II MSW zainteresował się ponownie Przywieczerskim w 1984 r., po zdobyciu informacji, że ten zostanie wkrótce odwołany do kraju. Faktem pozostaje, że Dariusz Przywieczerski w latach 1987–1989 był rejestrowany właśnie przez Departament II MSW (a konkretnie jego Wydział I) jako tajny współpracownik o pseudonimie Grabiański (żona Przywieczerskiego, która także była z nim na placówce, a wcześniej pracowała jako dziennikarka w agencji Interpress, nazywała się Zofia Grabiańska-Przywieczerska).

PAN NA WŁOŚCIACH UNIVERSALU

Wywiadowcy PRL byli dobrze poinformowani, ponieważ Przywieczerski rzeczywiście w 1985 r. wrócił do Polski, gdzie

dyrektorem przedsiębiorstwa Universal, o tym, że nie będą dokonywali wymaganej prawem dokumentacji umów na piśmie. Następnie Fundusz udziela pożyczek, udziela gwarancji, udziela poręczeń, a Universal zaciąga długi, płaci zobowiązania i ekspediuje pieniądze [...] na prywatne konta poza granicą Polski. Proceder ten jest ukryty za parawanem tajemnicy państwowej, a faktycznie jest co najmniej pomaganiem złodziejowi w kradzieży państwowe go mienia”. Pójdźmy tym tropem Michała Falzmanną.

WZORCOWY AKTYWISTA

Z punktu widzenia badacza zakulisowych wymiarów transformacji PRL Przywieczerski miał wręcz wzorcowy życiorys, aby stać się ważną postacią wydarzeń z przełomu lat 80. i 90. XX w. nad Wisłą, łącząc doświadczenia żerowania komunistycznej nomenklatury na państwowym majątku z późniejszym uwłaszczaniem się

■ został dyrektorem naczelnym Uniwersalu, jednej z największych i najważniejszych instytucji w systemie handlu zagranicznego PRL. Universal powstał w 1959 r. jako centrala handlu zagranicznego zajmująca się zarówno eksportem, jak i importem wyrobów różnego asortymentu: elektroniki, AGD, sprzętu sportowego i turystycznego, a nawet zegarów i budzików. To wyróżniało tę centralę spośród pozostałych, które najczęściej miały swoją specjalizację i obsługiwały handel zagraniczny PRL-owskich przedsiębiorstw z danej branży.

W 1983 r. Universal przekształcono w spółkę z o.o., w której udziały posiadało 45 przedsiębiorstw państwowych zaangażowanych w handel zagraniczny. Co ciekawe, jednym z udziałowców było PHZ Universal, które samo rok później zostało postawione w stan likwidacji! Można więc stwierdzić, że Universal stał się pierwszą sprywatyzowaną centralą handlu zagranicznego, w dodatku częściowo przez samą siebie. Takie były realia i możliwości uwłaszczania się nomenklatury w warunkach totalitarnego państwa przygotowującego grunt pod transformację.

Takiego monopolistę na wielu rynkach branżowych PRL, handlującego z państwami socjalistycznymi, kapitalistycznymi i rynkami Trzeciego Świata, de facto jednoosobowo przejął w 1985 r. Dariusz Przywieczerski. Universal posiadał na całym świecie udziały w 17 spółkach, które na lokalnych rynkach prowadziły jego interesy. Organizował stoiska na zagranicznych targach i liczne wyjazdy służbowe dla swoich pracowników. Można się tylko domyślać, jakie możliwości legendowania i przykrycia działalności funkcjonariuszy oraz osobowych źródeł informacji służb specjalnych PRL dawały taka specyfika i skala działalności.

Dariusz Przywieczerski nie zasypiał gruszek w popiele. Pod jego rządami pozycja Uniwersalu w strukturach polskiego handlu zagranicznego i całym systemie nomenklaturowym rosła. Przywieczerski szybko wyczuł również ducha czasów. Pod koniec lat 80. Universal w coraz mniejszym stopniu skupiał się na handlu realnymi towarami, a w coraz większym na transakcjach kapitałowych. W jednym ze sprawozdań władz spółki czytamy: „Rok 1989 unaoczniał, iż dominującą cechą aktywności gospodarczej będą aspekty finansowe i to zarówno w zakresie potencjału kapitałowego oraz efektywnego jego wykorzystania, jak również różnicowanych form i technik finansowych”.

I właśnie owo skupienie się na „różnicowanych formach i technikach finansowych” doprowadziło do współpracy Uniwersalu z FOZZ.

UNIVERSALNY FOZZ

Aby zrozumieć mechanizm tej współpracy, trzeba przedstawić cele i sposób funkcjonowania Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. W lutym 1989 r. Sejm PRL uchwalił ustawę o FOZZ, a minister finansów nadał mu status i osobowość prawną. FOZZ miał dysponować ogromnymi środkami na „obsługę” zadłużenia zagranicznego PRL. W praktyce chodziło głównie o wykupywanie polskiego długu po zaniżonych cenach przez podstawione osoby i podmioty gospodarcze. Była to praktyka nielegalna, ale stosowana wcześniej przez niektóre państwa, co bacznie obserwowali specjaliści od biznesu w cywilnych i wojskowych służbach PRL. Pieniądź na działalność FOZZ miały pochodzić z budżetu państwa, działalności NBP i Banku Handlowego oraz legalnych i nielegalnych (tzw. czarnych pieniędzy) central handlu zagranicznego. W praktyce mechanizm wyprowadzania pieniędzy z FOZZ ograniczał się przede wszystkim do okradania CHZ z ich środków (a więc pieniędzy publicznych) poprzez łańcuszki transakcji między nimi, FOZZ i prywatnymi firmami, najczęściej zarejestrowanymi w rajach podatkowych. Udziały w tych firmach posiadali członkowie kierownictwa FOZZ i central handlowych oraz zaprzyjaźnieni „biznesmeni”.

Jedno z najważniejszych ogniw w tym FOZZ-owskim łańcuszku stanowił Universal. Dariusz Przywieczerski znał dyrektora funduszu Grzegorza Żemka i jednocześnie tajnego współpracownika Zarządu II Sztabu Generalnego LWP o ps. Dik. Zastępcą Żemka była bliska znajoma Przywieczerskiego Janina Chim, z którą pracował wcześniej zarówno w Pagedzie, jak i Uniwersalu. FOZZ i Universal zawarły między sobą blisko 80 różnego rodzaju porozumień i transakcji finansowych. Podobne działania podejmowała prywatnie cała wymieniona trójka, załatwiając przy okazji biznesy swoje i swoich znajomych, w większości z kręgów postkomunistycznych. Oto kilka przykładów.

Universal pożyczył 2,5 mln dol. firmie Altex, założonej w 1989 r. na Wyspach Dziewiczych przez pośrednika FOZZ Krzysztofa Pochręsta. Firma swojego długu nie spłaciła. Na szczęście pożyczkę poręczał FOZZ...

W 1990 r. Przywieczerski, Żemek i Chim pożyczili jako osoby prywatne pół miliona dolarów w Bank of Scotland, za które założyli spółkę Trast. Pożyczkę ponownie spłacono ze środków FOZZ. W 1989 r. Universal i sam Przywieczerski jako osoba fizyczna zostali udziałowcami postkomunistycznego Banku Inicjatyw Gospodarczych (BIG Banku). Wkrótce swój rachunek w BIG Banku, szukającym pilnie depozytów, otworzył FOZZ.

Firma Trast miała powiązania z założoną przez m.in. Komitet Centralny i komitety wojewódzkie PZPR, a później należąca do SdRP firmą Transakcja. Transakcja również miała 10 proc. udziałów w BIG Banku, które w 1991 r. sprzedała... Uniwersalowi. A Universal posiadał środki dzięki kredytowi udzielonemu oczywiście przez BIG Bank. Kółko się zamykało, a pieniądze krążyły. Swoją drogą, w tym czasie Universal był już spółką akcyjną, której Przywieczerski był prezesem. W przekształceniach formalnoprawnych i finansowych Uniwersalu w 1990 r. pomagał BIG Bank.

Dariusz Przywieczerski kontrolował w tamtym okresie liczne spółki, w tym Ad Novum (wydającą m.in. „Trybunę”), Dukat (której FOZZ poręczył jeden z kredytów zaciągniętych w BIG Banku) i Doltę (w jej radzie nadzorczej zasiadał także Żemek).

Powiązań Przywieczerskiego z postkomunistycznymi elitami pierwszych lat III RP można znaleźć więcej. W 1994 r. szef Głównego Urzędu Cei Ireneusz Sekuła odkupił od Uniwersalu tereny po dawnych zakładach im. Róży Luksemburg w Warszawie, produkującej lampy i żarówki. Miała tam powstać nowa siedziba urzędu, co okazało się niemożliwe ze względu na zbyt duże stężenie rtęci wykorzystywanej przez lata do produkcji lamp. Sekuła został za to oskarżony o celową niegospodarność.

Jak widać, Dariusz Przywieczerski umiał odnaleźć się zarówno w realiach biznesowych ostatnich lat PRL, jak i nieróżniących się wcale zbytnio od nich pierwszych lat III RP. Czy to wystarczy, by uznać go za „mózg” operacji FOZZ, jak chcą niektórzy? W mojej ocenie Przywieczerski był tylko i aż obrotnym nomenklaturowym aparaczką, który – gdy pojawiła się taka możliwość – potrafił wykorzystać swoją uprzywilejowaną pozycję szefa jednej z najważniejszych central handlu zagranicznego. Jego droga życiowa z pewnością skrywa jeszcze jednak niejedną tajemnicę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest politologiem i publicystą, autorem książek. Zajmuje się m.in. badaniami nad politycznymi i gospodarczymi aspektami transformacji ustrojowej w Polsce.

Nowa godzina!



DZISIAJ
GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie
18:30



Zapraszam
Ryszard Gromadzki

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl



Łukasz Zboralski

Po ulicach chodzi dziś pół tysiąca zabójców na przepustkach. Prawie co piątą dostaje taką możliwość. To dyrektorzy więzień podejmują decyzje. Czy właściwe?

Artur K. odsiadywał karę 15 lat więzienia. Z nieoficjalnych informacji wynika, że za zabójstwo swojej dziewczyny. W Oddziale Zewnętrznym więzienia Warszawa-Bemowo na Białłęce spędzał końcówkę kary. W sierpniu złożył wniosek o przedterminowe zwolnienie. Od dwóch lat wychodził na przepustki. Dyrekcja zakładu pozwalała mu na to przez ten czas ok. 90 razy, czasem mógł spędzić poza kratami nawet kilka dni naraz.

W sobotę 8 września znów wyszedł na wolność. Tym razem nie wrócił na czas do zakładu karnego. W mieszkaniu w Śródmieściu w Warszawie rodzina odkryła zwłoki 35-letniej kobiety i jej trzyletniego synka. Zostali uduszeni. To kobieta, z którą związał się Artur K. Planowali we wrześniu ślub. Po ogłoszeniu jego poszukiwania 40-latek w końcu sam zgłosił się na policję. Prokuratura postawiła mu zarzut podwójnego morderstwa „w warunkach wcześniejszego skazania za przestępstwo zabójstwa”.

Przedstawiciele służby więziennej twierdzą, że ludzie zajmujący się w więzieniu resocjalizacją Artura K. są „zszokowani”. Że nic nie zapowiadało tragedii. Że nigdy nie nadużywał zaufania, którym go obdarzali. Że przepalił się jakiś bezpiecznik w jego psychice.

Nikt nie powiedział jednak nic o tym, czy system pozwalający wypuszczać groźnych przestępców na przepustki – zostawiający wszystko w rękach dyrektorów zakładów karnych – jest dziś właściwie zorganizowany i w pełni kontrolowany. I czy nie należy go zmienić.

ILU WYPUSZCZAJĄ

Skazani za najcięższe przestępstwo, czyli pozbawienie kogoś życia (art. 148 kk) – tacy jak Artur K. – często puszczani są na wolność w trakcie odbywania kary. Swego czasu TTV emitowała nawet program „Przepustka”, w którym

Zabójcy między nami

kamera towarzyszyła przestępcom wychodzącym zza krat. Nierzadko byli to mordercy. Równie często z rozmów z nimi wynikało, że choć pogodzili się z tym, co zrobili, to do dziś wypierają winę i szukają jej w zrządzeniu losu, otoczeniu, wychowaniu.

Jak ustaliło „Do Rzeczy”, na koniec sierpnia skazanych z tego paragrafu było w polskich więzieniach 4642. Z przepustek i zezwoleń na opuszczenie zakładów karnych korzystało ponad pół tysiąca – czyli ponad 10 proc.

Średnio w ciągu roku zza krat na przerwy wypuszczany jest znaczny odsetek zabójców. Oto, jak wyglądało to przez ostatnich pięć lat. W ubiegłym roku na wolności przebywało 776 osób (16,5 proc. wszystkich osadzonych z art. 148 kk), w 2016 r. – 802 (17,2 proc.), w 2015 r. – 895 (16,5 proc.), w 2014 r.

– 900 (18,9 proc.), w 2013 r. – 900 (19,2 proc.).

O tym, kto wyjdzie na przepustkę, decyduje szef zakładu karnego lub aresztu. W przypadku więźniów mogą o to się ubiegać ci – także spośród zabójców – którzy odsiedzieli co najmniej połowę kary (ale w praktyce okazuje się, że to nie jest twarda reguła) i rokują dobrze na przyszłość, czyli że ich resocjalizacja przynosi skutki.

System przewiduje, że osadzony w zakładzie karnym typu otwartego może wyjść nie częściej niż raz w miesiącu i nie dłużej niż w sumie na 28 dni w roku. W zakładzie półotwartym przepustek można udzielić nie częściej niż raz na dwa miesiące i łącznie nie na więcej niż 14 dni w roku. O wszystkim decyduje komisja penitencjarna złożona z funkcjonariuszy i pracowników zakładu karnego. To ona



żadnych przesłanek”, by sądzić, że coś takiego zrobi. Że pracował nieodpłatnie w szpitalu. Jedno tylko zgrzytało – Porada korzystał z setek wyjść, ale z drugiej strony sąd za każdym razem odrzucał jego wniosek o przedterminowe zwolnienie.

W 2016 r. głośno było też o zbrodni dokonanej przez Roberta K. Recydywistę, który od 2013 r. odsiadywał 13-letni wyrok za gwałt ze szczególnym okrucieństwem, na jednodniowy zabieg operacji jaskry dostał trzymiesięczną przepustkę. Porwał i brutalnie zgwałcił 22-latkę w Zabrzu. Dziewczyna, nad którą pastwił się kilka godzin w zamkniętym mieszkaniu, wyskoczyła w końcu przez okno, by się ratować – uszkodziła sobie kręgosłup i miednicę.

RPO BRONIŁ PRZEPUSTEK

Politycy dobrze wiedzą, że system dotyczący przepustek dla groźnych przestępców wymaga naprawy. Po gwałcie dokonanym przez Roberta K. w 2016 r. zdymisjonowano szefostwo więzienia w Kluczborku. Minister sprawiedliwości powiedział wówczas, że doszło do „poważnych nieprawidłowości” zarówno w działaniu dyrekcji, jak i sądu penitencjarnego. Zbigniew Ziobro zapowiedział też, że resort będzie chciał zaproponować zmiany tak, by groźny przestępca wychodzący na przepustkę lub przerwę w odbywaniu kary był objęty systemem monitoringu elektronicznego i by czuwać nad tymi sprawami kuratorzy sądowi. W razie leczenia groźni przestępcy mieli by być konwojowani do szpitala i przewożeni potem z powrotem do więzienia. Do tej pory zmiany w tych sprawach jednak nie nastąpiły.

W ubiegłym roku ograniczono jedynie niebezpiecznym przestępcom udział w programie pracy więźniów. Interweniował wówczas RPOb. Adam Bodnar pytał w piśmie Dyrektora Generalnego Służby Więziennej o więźniów skazanych z art. 144 kk [i art. 280 kk, czyli rozbój – przyp. red.], którzy żalili się, że cofnięto im zgody na przepustki.

Po ostatnim podwójnym morderstwie dokonanym przez Artura K. RPO napisał, że „dostrzega ludzki wymiar tragedii, rozumie ból osób najbliższych ofiarom i wyraża im współczucie. Jednak podkreśla: sugerowanie opinii publicznej, że za opisaną w mediach tragedią stoi system przepustek, jest działaniem nieodpowiedzialnym, koniunkturalnym, wręcz groźnym społecznie”. © Wszelkie prawa zastrzeżone

wydać opinię w sprawie przyznania przepustki, gdy skazany stara się o nią po raz pierwszy, gdy miał przerwę w wychodzeniu na przepustki dłuższą niż pół roku i gdy zaszły „istotne zmiany” w sytuacji prawnej lub rodzinnej skazanego. W praktyce jednak wszystko jest w rękach dyrektora więzienia lub aresztu. Ponieważ to dyrektor wybiera członków komisji penitencjarnej i ostatecznie ona wydaje tylko opinię, a to on podejmuje decyzję o przyznaniu przepustki.

Oprócz systemowych przepustek dyrektor zakładu może rozdawać też przepustki w ramach nagrody – nawet na 14 dni jednorazowo.

Jak to działa? Nie zawsze właściwie. I przypadek Artura K. nie jest jedyny. W 2004 r. z przepustki nie wrócił Sylwester Krajewski. W 1992 r. z kolegą w lesie pod Toruniem brutalnie zamordował

małżeństwo. Mężczyznę załukli na oczach żony, jej złamali kręgosłup, kładąc na szyi i stając z obu jego stron. Po nieco ponad 10 latach za kratami sąd penitencjarny we Włocławku wypuścił go na pięć dni przepustki, bo chciał... kupić sobie działkę. Krajewski zniknął.

W 2013 r. zakład karny udzielił przerwy w odbywaniu kary Dorocie Kaźmierskiej, która odsiadywała 25 lat za zastrzelenie męża w 2008 r. Z przepustki nie wróciła.

Dwa lata temu program „Interwencja” Polsatu ujawnił, że z opolskiego więzienia zniknął Roman Porada. Odsiadywał wyrok 25 lat więzienia za zamordowanie w 1995 r. staruszki, której ukradł telewizor. W ciągu trzech lat dostał ok. 200 przepustek. Chodził do kina, na basen czy do zoo. Z ostatniej przepustki nie wrócił. Jest poszukiwany. Służba więzienna znów tłumaczyła, że „nie było

Czysty ojczysty



Agnieszka Niewińska

Do polskich szkół na świecie chodzi zaledwie 15 proc. dzieci polskich emigrantów. Co zrobić, by pozostałe nie były straconym dla Polski kapitałem ludzkim?

Pamiętają państwo dziadka, który w jednym z komercyjnych spotów zamówił samouczek angielskiego i trenował język Szekspira, by Boże Narodzenie spędzić z mieszkającymi za granicą dziećmi i móc się przedstawić wnuczce? Teraz dziadek w Londynie pojawił się z nową misją. Chce nauczyć wnuka polskiej kultury i języka, bo rodzice Jasia nie mówią do niego w ojczystym języku. Dziadek dwoi się i troi, by Jaś przemówił do niego po polsku. Inscenizuje bitwę pod Grunwaldem, opowiada o Marii Skłodowskiej-Curie, która zdobyła dwie Nagrody Nobla w dziewięć lat, i Robercie Lewandowskim, który strzelił pięć bramek w dziewięć minut. Dziadek niczym Lewy próbuje nawet strzelać gole do ogródkowej bramki, ale doznaje kontuzji. „Daj dziadkowi odpocząć, zapisz dziecko

do polskiej szkoły” – apelują twórcy spotu, czyli fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie, która zorganizowała akcję „Kto ty jesteś” mającą zachęcić emigrantów do zadbania o to, by ich dzieci znały język ojczysty i polską kulturę.

DLA DOBRA DZIECKA

Z danych szacunkowych wynika, że niespełna 15 proc. polskich dzieci poza granicami kraju uczy się języka polskiego w polskich szkołach. Brak polskiej edukacji dotyczy setek tysięcy żyjących za granicą Polaków. W samej Wielkiej Brytanii tylko w ubiegłym roku urodziło się 20 tys. dzieci polskiego pochodzenia. W ciągu ostatnich 10 lat – ok. 150 tys. – Niestety, nie jest tak, że wybór polskiej szkoły to dla emigrantów coś oczywistego. Na Wschodzie państwo polskie od lat robi wiele, by zachęcić rodziców do posyłania dzieci do polskich szkół. Na Zachodzie sytuacja jest inna – tam młodzi Polacy mają do dyspozycji szkoły sobotnio-niedzielne. Rodzice po całym tygodniu pracy i szkoły dla własnej wygody czy też z troski o dziecko, dla którego ich zdaniem będzie to zbyt duże obciążenie, rezygnują z zajęć w polskiej szkole – tłumaczy Joanna Zajac, wiceprezes fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie.

Tomasz Bastkowski, dyrektor szkoły Stowarzyszenia Edukacyjnego Nauczycieli

(SEN) w Dublinie, partner merytoryczny i jeden z pomysłodawców kampanii „Kto ty jesteś”, zwraca uwagę, że kiedy dziewięć lat temu z grupą innych nauczycieli zakładał polską szkołę, zadawał sobie pytanie, dlaczego większość polskich rodzin nie była zainteresowana posłaniem tam dziecka. – Często tłumaczą to jego dobrem. Twierdzą, że polska szkoła utrudni mu naukę angielskiego. Sprawí, że dziecku wszystko się pomiesza, że będzie przemęczone. Tymczasem jest odwrotnie. Bez znajomości macierzystego języka, w którym dziecko powinno się porozumiewać z rodzicami, trudniej jest nauczyć się języka kraju, w którym dziecko przebywa. Wokół dwujęzyczności narosło wiele mitów. Krążą nieprawdziwe twierdzenia o tym, że spowalnia to rozwój mowy, a nauka szkolna sprawia dziecku trudności. Amerykańscy badacze dwujęzyczności udowodnili jednak, że dwujęzyczne dzieci lepiej się uczą i rozwijają – zarówno emocjonalnie, jak i intelektualnie, żyją dłużej i aktywniej, bo rzadziej zapadają na demencję, choroby Alzheimera czy Parkinsona.

Profesor Jagoda Cieszyńska z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie wskazuje na skutki braku znajomości etnicznego języka. – Powoduje pęknięcie, które czasem uniemożliwia odnalezienie

swojej drogi życiowej i formuje poczucie pustki, utrudniając lub uniemożliwiając podejmowanie ról życiowych i osiągnięcie pełni rozwoju intelektualnego oraz emocjonalnego. Problemy komunikacyjne z dziećmi w wieku przedszkolnym i szkolnym utrudniają rodzicom proces wychowania, przekazywania wartości duchowych i kulturowych – podkreśla prof. Cieszyńska.

Autorzy kampanii „Kto ty jesteś” przekonują, że zwykła domowa komunikacja po polsku to za mało, by dziecko dobrze posługiwało się językiem ojczystym, gdy przebywa na emigracji. Tomasz Bastkowski zwraca uwagę, że według badań kampanii „Cała Polska czyta dzieciom” przeciętna mama na rozmowę z dzieckiem poświęca 15 minut dziennie, a tata – 3 minuty dziennie. – Rozmowy te głównie dotyczą spraw porządkowych, więc trudno oczekiwać, by rozwijały znajomość języka ojczystego u dziecka. Zwłaszcza że w szkole nauczyciele do dziecka mówią po angielsku codziennie po sześć–siedem godzin. W efekcie obserwujemy, że ci rodzice, którzy swobodnie rozmawiają w języku angielskim, przechodzą na niego także w domu, podczas rozmów z dzieckiem, któremu po prostu brakuje polskich słów – mówi Tomasz Bastkowski. Zwraca uwagę, że wówczas dochodzi do dramatów. – Zrywane są więzi rodzinne, wnuki nie mogą się porozumieć z dziadkami. Brak znajomości języka polskiego sprawia też, że rodzina traci możliwość powrotu do kraju. Obserwujemy także, że ci rodzice, którzy nie zadbali o język polski w domu, zaczynają się odsuwać od tych, których dzieci swobodnie się w nim porozumiewają. Być może nie czują się komfortowo z tym, że ich dzieciom brakuje słów, mówią po polsku z obcym akcentem czy przestają rozumieć język ojczysty, więc unikają towarzystwa Polaków, czym jeszcze pogarszają sytuację.

Szkoła SEN w Dublinie prowadzi zajęcia w soboty. Kiedy startowała dziewięć lat temu, miała 160 uczniów. Dzisiaj jest ich 600. – Staramy się, żeby zajęcia odbywały się w atrakcyjnej dla dzieci formie. Odeszliśmy od typowych dla polskich szkół metod nauczania, przygotowując autorski program, bo dzieci przyzwyczajone do brytyjskiego systemu w polskiej szkole by się po prostu nudziły. Korzystamy z wielu metod aktywizacji młodzieży. Uczniowie mają też duży wybór zajęć pozalekcyjnych. Proponujemy też wspól-

ne wyjazdy. To podczas nich, kiedy dzieci przebywają przez kilka dni razem, w gronie rówieśników, których dobrze znają, najszybciej doskonałą znajomość języka polskiego, tracą angielski akcent – opowiada Bastkowski. I dodaje, że w szkole SEN i na lekcjach, i na korytarzach mówi się tylko po polsku.

OD ARGENTYNY DO EMIRATÓW ARABSKICH

Setki polskich szkół funkcjonują niemal wszędzie tam, gdzie mieszkają większe grupy Polaków. Oczywiście są polskie szkoły na Litwie, Ukrainie czy w Kazachstanie. Wraz z emigracją Polaków na Zachód – zwłaszcza po naszym wejściu do UE – zaczęło ich przybywać także w państwach zachodnich. W Wielkiej Brytanii możemy się pochwalić siecią przeszło 100 szkół, w Niemczech – blisko 70, w Stanach Zjednoczonych – ok. 150. W Islandii działa 11 polskich placówek, w Irlandii – ponad 40.

Z polskiej edukacji można skorzystać nawet w Nowej Zelandii, Zjednoczonych Emiratach Arabskich czy w Argentynie. Tam znajomość języka polskiego szlifowały córki polskich emigrantów – siostry Rosita i Lucia Jejer. Ich rodzice i dziadkowie wyemigrowali do Argentyny tuż przed II wojnę światową. Kolonizowali argentyńską dżunglę nad rzeką Parana. Tak powstała polska kolonia Wanda, gdzie dziś działa Szkoła Języka i Kultury Polskiej. – To, że mówię po polsku, zawdzięczam mojej mamie, która zawsze pilnowała tego, żebyśmy mówili po polsku. Nawet kiedy byłam już dorosła, odwiedzając rodziców, mówiłam do nich po polsku, bo to było bliższe mojemu sercu – opowiada Rosita. Chociaż bez problemu porozumiewa się po polsku, to korzystała z lekcji w polskiej szkole. – Dzięki temu doskonaliłam język, który przecież się zmieniał od czasu, kiedy nasi dziadkowie i rodzice wyjechali z Polski. Jestem ogromnie wdzięczna Polsce, że wysłała do nas nauczyciela – dodaje Lucia – najmłodsza z rodzeństwa – przynajmniej, że jako dziecko buntowała się przeciwko upominaniu rodziców, by mówili po polsku. – Im bardziej mama nalegała, tym bardziej robiłam jej na przekór, ale po latach tego pożałowałam. Aby móc rozmawiać po polsku, tak jak rozmawiam dziś, musiałam przez pięć lat nadrabiać braki w szkole – mówi.

Cały sierpień siostry spędziły w Polsce, odwiedzając krewnych, którzy przed laty nie zdecydowali się na emigrację.

– Gdybyśmy nie mówiły po polsku, nie byłoby szans na podtrzymywanie kontaktów z kuzynami. A tak możemy się dowiedzieć więcej o historii rodziny, poznać miejsca, w których rodzice się wychowali. To, że zachowałyśmy język, to wielki prezent od naszych rodziców – mówią zgodnie siostry.

Kampania „Kto ty jesteś” zaplanowana jest na cztery miesiące. Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie pokaże trzy spoty o perypetiach dziadka zatroskanego o niemówiącego po polsku wnuka. – Tuż po opublikowaniu pierwszego spotu spotkaliśmy się z ogromnym odzewem. Kontaktowały się z nami zarówno polskie szkoły na świecie, jak i rodzice tłumaczący, dlaczego jeszcze nie zapisali dziecka do polskiej szkoły – mówi Joanna Zajac. – Ta kampania okazała się niezwykle potrzebna i mam nadzieję, że skłoni rodziców do refleksji nad tym, iż warto poświęcić czas i włożyć trud w polską edukację dziecka. Nie tylko ze względu na to, że kiedyś rodzina może chcieć wrócić do kraju. Tą kampanią chcieliśmy przypomnieć emigrantom, że możemy być dumni z polskiej kultury, historii, osiągnąć naszych rodaków w wielu dziedzinach.

KAPITAŁ W EMIGRANTACH

Tomasz Bastkowski nie spodziewa się natychmiastowego wzrostu liczby uczniów w polskich szkołach. – Na owoce trzeba będzie poczekać. Przekonanie rodziców, jak ważne jest zadbanie o język ojczysty, to proces – mówi. – Cieszę się, że Senat zdecydował się sfinansować produkcję trzech profesjonalnych spotów, które zwracają uwagę na ten problem. Sądzę jednak, że kolejnym krokiem powinno być pokazanie ich w mediach głównego nurtu. Polacy poza granicami kraju korzystają z polskiej telewizji. To dzięki niej moglibyśmy dotrzeć do nich z przekazem. Jeśli nie zrobimy niczego, by zachęcić rodziców do tego, by ich dzieci korzystały z polskiej edukacji, to 85 proc. tych, które nie chodzą do polskich szkół, będzie straconym dla Polski kapitałem ludzkim. Przecież mogliby w przyszłości wrócić do kraju. Ze znajomością języka i kultury będzie to o wiele prostsze. A jeśli by się zdecydowali pozostać na emigracji, to mogą być ambasadorami naszego kraju, naszymi lobbystami za granicą. Ich polonijna edukacja leży w interesie Polski.

Można by zacząć cynicznie: nie ma czegoś takiego jak szkodliwa popularność, pisząc źle czy dobrze – nieważne, byle nazwiska nie przekręcili. Jednak w przypadku „Wiedźmina” nie o takiej sławie marzyliśmy, kiedy gruchnęła wieść, że Netflix produkuje serial na podstawie opowiadań Andrzeja Sapkowskiego.

Jeszcze kurz nie zdążył osiąść na numerze „Do Rzeczy”, w którym przy okazji plotek o „czarnym Bondzie” (miałby go zagrać Idris Elba), przyglądałem się szaleństwu kolorowania popkultury przez dorabianie bohaterom zupełnie innych korzeni etnicznych niż w oryginale, a już problem dotknął polskiego produktu eksportowego. Oto gruchnęła wieść, że producenci serialu na casting do roli Ciri, podopiecznej wiedźmina i jednej z najważniejszych postaci tego uniwersum fantasy, zapraszają jedynie aktorki z grupy „BAME” („Black, Asian, Minor Ethnicity”). W skrócie: o każdym kolorze skóry, pod warunkiem że nie będzie to kolor biały. Rozeźnieni fani protestują w Internecie, zbierają podpisy pod pełną oburzenia petycją, a nam pozostaje pytanie: Czy powinniśmy być zdziwieni? Po trzykroć nie, choć owo „nie” ma gorzki smak.

KAŻDA, BYLE NIE BIAŁA

O politycznej poprawności Netflixu zdążyłem sporo napisać w tekście wyżej wspomnianym i to oczywiście powód pierwszy oraz – podejrzewam – najważniejszy. Kalkulacja biznesowa to druga sprawa. Netflix prowadzi biznes globalny, a za sprawą gry „Witcher” także sam wiedźmin Geralt stał się marką globalną. Wieść o tym, że powstanie serial, ekscytowała internautów m.in. w Chinach, Indiach, Ameryce Południowej i tak dalej. W trosce o zadowolenie nowych odbiorców, tych spoza USA i Europy, światowi producenci rozrywki coraz częściej decydują się na rozmaite łamańce, których celem jest zwiększenie atrakcyjności produktu na nowych rynkach. Mało kto ekscytował się „etniczną różnorodnością” (czy raczej jej brakiem), gdy do kin trafiały filmy z oryginalnej trylogii „Gwiezdne wojny”. Cztery dekady później, kiedy Disney zabrał się do przerabiania dziedzictwa George’a Luca po swojemu, nagle w „Ostatnim Jedi” pojawiły się postacie o rysach azjatyckich. Z bardzo prostego powodu: marka



Piotr Gociek

To się dzieje naprawdę: kinowy Superman, Henry Cavill, zagra Geralta w serialu Netflixu według opowiadań Sapkowskiego

Twarz wiedźmina

„Gwiezdne wojny” zarabia w Azji krocie, był to więc ukłon w stronę tamtejszych odbiorców.

Trzeci powód, dla którego nie byłem zdziwiony ruchem Netflixu, mógł ująć uwagę wielu czytelników, bo wiadomość przemknęła gdzieś na obrzeżach polskich mediów. Firma CD Projekt RED, polski producent gry „Wiedźmin”, została zaatakowana już na etapie projektowania nowej gry „Cyberpunk 2077” za zbyt małą różnorodność postaci, w tym za to, że można będzie grać tylko mężczyzną albo kobietą. A co z pozostałymi „płciami”? Szaleństwo zatacza więc coraz szersze kręgi, nic dziwnego, że Netflix wołał wykonać ruch wyprzedzający, nawet jeśli początkowo o zmianach w obsadzie nie myślał. Skoro cenzura zaczyna się już na etapie projektowania produktu (do premiery „Cyberpunka” wciąż daleko), to i na tym samym etapie trzeba dbać o dobry PR i eliminować potencjalne punkty zapalne. Może więc zamiast oburzać się, że Ciri, księżniczka Cintry, będzie małą Japonką albo Nigeryjką, powinniśmy się

cieszyć, że nie została chłopczykiem albo transeksją.

SUPERMAN W SKÓRZE WILKA

Na szczęście przyspieszające prace nad serialem „Wiedźmin” (zdjęcia mają się zakończyć wiosną 2019 r.) są też okazją do prowadzenia sporów bardziej klasycznych. Ilu fanów, tyle wyobrażeń na temat tego, jak powinien wyglądać główny bohater. W przypadku Geralta to ciąg dalszy dyskusji towarzyszącej kreacji Sapkowskiego właściwie od samego początku, bo pamiętam, jak w latach 80. kłócono się o to, czy opowiadania Sapkowskiego są ilustrowane jak należy w „Fantastyce”, potem w latach 90. o to, czy właściwie wygląda bohater komiksu (sześć tomów) rysowanego przez Bogusława Polcha, aż wreszcie u progu XXI w. o to, czy Michał Żebrowski to właściwy wybór na potrzeby filmu i serialu „Wiedźmin”.

Dzisiaj dyskusja przeniosła się na poziom międzynarodowy, bo w głowach tych, którzy znają jedynie trzy odsłony gry, to właśnie ten cyfrowy wiedźmin jest

Czy Henry Cavill sprawdzi się w roli wiedźmina Geralta?

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



kanoniczny i do niego chcieliby dopasować serialowego aktora. Ci, którzy jednak jeszcze czytają, oglądali najrozmaitsze wizerunki Geralta, które powstawały na potrzeby różnych wydań zagranicznych. Doczekaliśmy się też kolejnych komiksów, tym razem amerykańskich, wydawanych przez uznaną firmę Dark Horse Comics (w Polsce przez Egmont).

Jest zatem w czym wybierać, tym większe zdziwienie wzbudziło więc to, że do roli wiedźmina w serialu Netflixa został wybrany Henry Cavill, znany dotąd głównie z serialu „Dynastia Tudorów” oraz roli Supermana w trzech filmach kinowych („Człowiek ze stali”, „Batman v Superman: Świt sprawiedliwości” i „Liga Sprawiedliwości”). To oczywiście z jednej strony wyraźny sygnał, jak ważną postacią już nie tylko polskiej, lecz także światowej popkultury staje się wiedźmin. Z drugiej jednak Cavill lepiej wygląda niż gra, a przecież Geralt to postać dużo bardziej wielowymiarowa od Supermana. W tej sprawie zresztą fani także protestują – ciekawe, który protest będzie

miał większy zasięg: dotyczący Cavilla czy „pokolorowania” Ciri. Jeśli chodzi o tę pierwszą kwestię, to protesty są chyba bezprzedmiotowe, bo zdaje się, że kłamka zapadła.

Dobrze byłoby usłyszeć ze strony Netflixu coś więcej niż tylko to, że są szczęśliwi i podekscytowani dołączeniem Cavilla do serialowej wiedźmińskiej rodziny. Na razie lakonicznie, ale optymistycznie wypowiedział się Tomasz Bagiński, artystyczna dusza i silnik całego projektu. „Dla mnie, po tym, co zobaczyłem, to jest megadobra wiadomość” – napisał na swoim profilu facebookowym, zapraszając jednocześnie do dyskusji: „To jak? Internecie: Henry Cavill nadaje się na Białego Wilka czy się nie nadaje?”. Jak trzeźwo zauważył portal Naekranie.pl: „Skoro napisał »po tym, co zobaczyłem«, możemy wnioskować, że widział Cavilla jako Geralta z Rivii i aktor znany z roli Supermana sprawdzi się jako bohater z sagi Sapkowskiego”. Fakt, Bagińskiemu ufać można, pamiętajmy jednak, że gdy w grę wchodzi superprodukcja (a taką

netflixowski „Wiedźmin” jest), nie takie sławy musiały w imię korporacyjnej solidarności robić dobrą minę do złej gry.

Oficjalne już obsadzenie Cavilla w roli wiedźmina kończy trwający ponad rok okres szaleńczych spekulacji i fanowskich castingów. Ich zasięg był olbrzymi. Tego, co napisano, nie zliczy chyba nikt, to, co zmontowano i przedstawiono na YouTube, idzie w grube setki tysięcy wyświetleń. Kogóż tam nie sugerowano! Od gwiazd kina (takich jak Mads Mikkelsen, Tom Hardy, Keanu Reeves, Hugh Jackman) przez wschodzące gwiazdki telewizji (Nikolaj Coster-Waldau, czyli Jaimie Lannister z „Gry o tron”, albo Travis Fimmel, czyli Ragnar z serialu „Wikingowie”) aż do... no tak, znów dotykamy kwestii etnicznej... Tak, padła i propozycja, by wiedźminem został czarnoskóry aktor Idris Elba, w ostatnim czasie „etatowy” kandydat na czarnego Bonda.

TO SIĘ DZIEJE!

Nie zapominajmy jednak, że okazji do dalszych spekulacji nie zabraknie, bo przecież do obsadzenia jest jeszcze mnóstwo innych ról z przebogatego świata wiedźmina. Czy czarodziejkę Yennefer mogłaby zagrać Eva Green? A może w ramach ukłonu w stronę polskich fanów Andrzeja Sapkowskiego i Tomasza Bagińskiego Netflix rozważy zaangażowanie – może być na drugim planie – taniej aktorskiej siły roboczej z Polski? Skoro Tomasz Kot był blisko roli złoczyńcy w nowym Bondzie, a Rafał Zawierucha będzie w nowym filmie Quentina Tarantino grał Romana Polańskiego, to znaczy, że wszystko jest możliwe.

Niezależnie od kontrowersji, jakie wywołały obdarzenie Geralta z Rivii twarzą amerykańskiego Supermana oraz dziwaczny casting do roli Ciri, ostatnie oficjalne wieści na temat serialu Netflixu są optymistyczne. Oznaczają przede wszystkim, że wszystko dzieje się naprawdę, że nie mówimy już o jednym projekcie z wielu, które być może kiedyś mogą się wydarzyć. Piekło preprodukcji usiane jest tysiącami wraków martwych przedsięwzięć, których realizacja była tuż-tuż, ale jakoś ostatecznie się nie udało. Nowy „Wiedźmin” ma poważnego producenta, wielką gwiazdę w roli głównej, ustalony kalendarz prac i – jestem tego pewien – zarezerwowane okienko na wielką premierę w serwisie Netflix. Coś, co do niedawna wydawało się niewyobrażalne, dzieje się na naszych oczach. © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. RADOSŁAW WROCIŁ

Wyrwał murom zęby krat

Poznański koncert z muzyką Przemysława Gintrowskiego nie tylko przypomniał barda Solidarności, lecz także dał drugie życie jego piosenkom

W PRL dla wielu jego muzyka była jak kod, dzięki któremu poznało się „swoich”. – W młodości miałam kasety z muzyką Gintrowskiego, ale przede wszystkim śpiewaliśmy te piosenki – przypomina sobie Renata Przemyk, która tego wieczoru zaśpiewała „Psalm o nożu” oraz „Bal u Pana Boga”. – W akademiku wiadomo było, w którym pokoju będzie granie, śpiewanie, i to nas niosło. Nie mogliśmy się skomunikować przez telefon czy messenger, a wiadomości roznosiły się jeszcze szybciej niż teraz. Intuicyjnie czuliśmy, że to jest słuszny kierunek, i wiadomo było, po której stronie być. Nikt nie miał wątpliwości.

Gintrowski zabrzmiał wyjątkowo przejmująco właśnie w poznańskiej operze, zaledwie kilka kroków od pomnika Poznańskiego Czerwca 1956, na którym widnieją także inne daty antykomunistycznych zrywów. – Uważam, że większość z tych piosenek jest w dzisiejszym momencie bardzo uniwersalna, nie tylko w naszym kraju, lecz także na całym świecie – mówi Ola Gintrowska.

– Każdy może tam znaleźć coś dla siebie, tylko trzeba się naprawdę wczytać w te

teksty, bo one są niesamowicie trudne. Tę trudność potwierdza Jan Stokłosa – autor nowych aranżacji, które po raz pierwszy zrobił dwa lata temu na koncert w Operze Narodowej w Warszawie. Stojące przed Stokłosą zadanie było z serii tych niewykonalnych: Jak z piosenek pisanych na jedną, dwie gitary i wykonywanych w małych pomieszczeniach zbudować utwory, które dobrze zabrzmiały w wielkiej sali? – Trudność polegała na tym, by bogatym składem orkiestrowym nie zabić tego tekstu. Dla mnie w większości tych utworów muzyka jest dodatkiem do tekstu; na tym opiera się też bycie bardem, a nie piosenkarzem. Tutaj musiałem bardzo uważać, podkolorowałem, a nic nie zabrałem tej warstwy tekstowej. Drugim trudnym elementem tej muzyki jest długość utworów. Niektóre z nich mają po sześć–siedem minut, z tekstu nic nie można wyciąć, a melodia jest bardzo jednostajna. Jak to zrobić, by w takim właśnie wydaniu to nie było nudne? Mam nadzieję, że to się udało – dodaje Stokłosa.

Jego obawy okazały się niepotrzebne. Muzyka Gintrowskiego, do słów m.in. Jacka Kaczmarskiego i wierszy Zbigniewa Herberta czy Leszka Szarugi, zabrzmiała

wyjątkowo nowocześnie. W tym repertuarze doskonale odnalazły się zarówno liryczne Ola i Julia Gintrowskie, zadziorna Przemyk, rockowi Muniek Staszczuk i Łukasz Drapała, popowo-jazzowy Krzysztof Kiljański, kojarzony z piosenką poetycką Krzysztof Napiórkowski, jak i śpiewacy operowi: Mirosław Niewiadomski oraz Adam Szerszeń. – Jestem piekielnie dumny, że zostałem tutaj zaproszony, bo dla mnie to jest zupełnie coś innego, niż robię na co dzień – mówi Drapała, wokalista rockowego zespołu Chemia. – Jak można było się znaleźć w tym wszystkim, znając oryginały? Te nowe aranżacje są na tyle przyjazne i na tyle komfortowe, że dają pole do interpretacji. Dzięki temu można połączyć światy, z których my sami pochodzimy.

Zdaje się, że idealne połączenie światów wszystkich obecnych na sali słuchaczy odbyło się podczas nietypowego, bo rockowo-operowego, wykonania „Murów”. Nieformalny hymn Solidarności poderwał publiczność do owacji na stojąco, a artystów zmusił do bisu.

Reżyserem i producentem koncertu była Gabriela Gusztyn-Popławska.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Igor Kościelniak

Dofinansowano ze środków ministra kultury i dziedzictwa narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

niepodległa

POLSKA
STULICIE OBSTANNA
WIEKOSIAŁUDZI

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

MECENAS KONCERTU

PARTNERZY

PATRONI MEDIALNI

WSPÓŁORGANIZATOR





100 %

**polski
produkt**

JUŻ NIEBAWEM RUSZA
**III EDYCJA
KONKURSU**

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

PATRONAT HONOROWY



PARTNERZY



PARTNER MERYTORYCZNY

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Gdyby nie II wojna światowa, Krzysztof Sobieszczański przeszedłby do historii jako szwarczarakter?

EMIL MARAT: To pytanie z gatunku: „Co by było, gdyby...”. Trudno na nie odpowiadać, ale nie wydaje mi się, by ten chłopak nie mógł „wyjść na ludzi”, jak mówiła jego matka, nawet po swoich przedwojennych peregrynacjach. „Kolumb” – tego przydomku używał już długo przed wojną – był wrażliwym, refleksyjnym człowiekiem. Owszem, już jako 22-latek posunął się do kradzieży, i to dość głośnej oraz efektownej, ale nie po to, by się wzbogacić, tylko realizować młodzieńcze marzenia. Nie wiem, czy szwarczarakterem mógłby być człowiek, który mając 18 lat, pisał w dzienniku, myśląc o matce: „Chcę czasem popełnić zbrodnie, rozbić bank, osiąść skrzydlaty mój statek i płynąć het. Lecz jak siatka stalowa trzyma lwy w zwierzyńcu, tak mnie trzyma myśl o niej. Robię najcięższą rzecz, jaką mogę: pracuję. I śmieję się. I czasem marzę”.

Dlaczego zdezerterował z Marynarki Wojennej, skoro morze przyciągało go od dziecka?

Marynarka okazała się strasznym rozczarowaniem. Krzysztof opowiadał o tym po wojnie Stanisławowi Likiernikowi. W „polskiej flocie, co na straży polskiego morza stoi” ważniejsze od ćwiczeń było polerowanie mosiężnych elementów osprzętu, bo stare okręty słabo pływały. Dyscyplina, arogancy, ale jednocześnie często mało doświadczeni młodszy oficerowie, nieciekawe warunki pod pokładem. Bliskość morza jeszcze rozbudzała jego apetyt na podróże – czuł się jak więzień, który ma celę z widokiem na raj. No i Gdynia, którą znał z wcześniejszych wizyt, gdy spływał z Warszawy ku Bałtykowi na własnoręcznie zrobionych łódkach. Kojarzyła mu się z wolnością, przygodą, a nie z wojskowym drylem. To był dysonans i sprzeczność nie do wytrzymania. Tak to przedstawiał.

W Auschwitz znalazł się przypadkowo? Mógł znać o. Maksymiliana Kolbego i rtm. Witolda Pileckiego? Komu zawdzięczał zwolnienie z obozu?

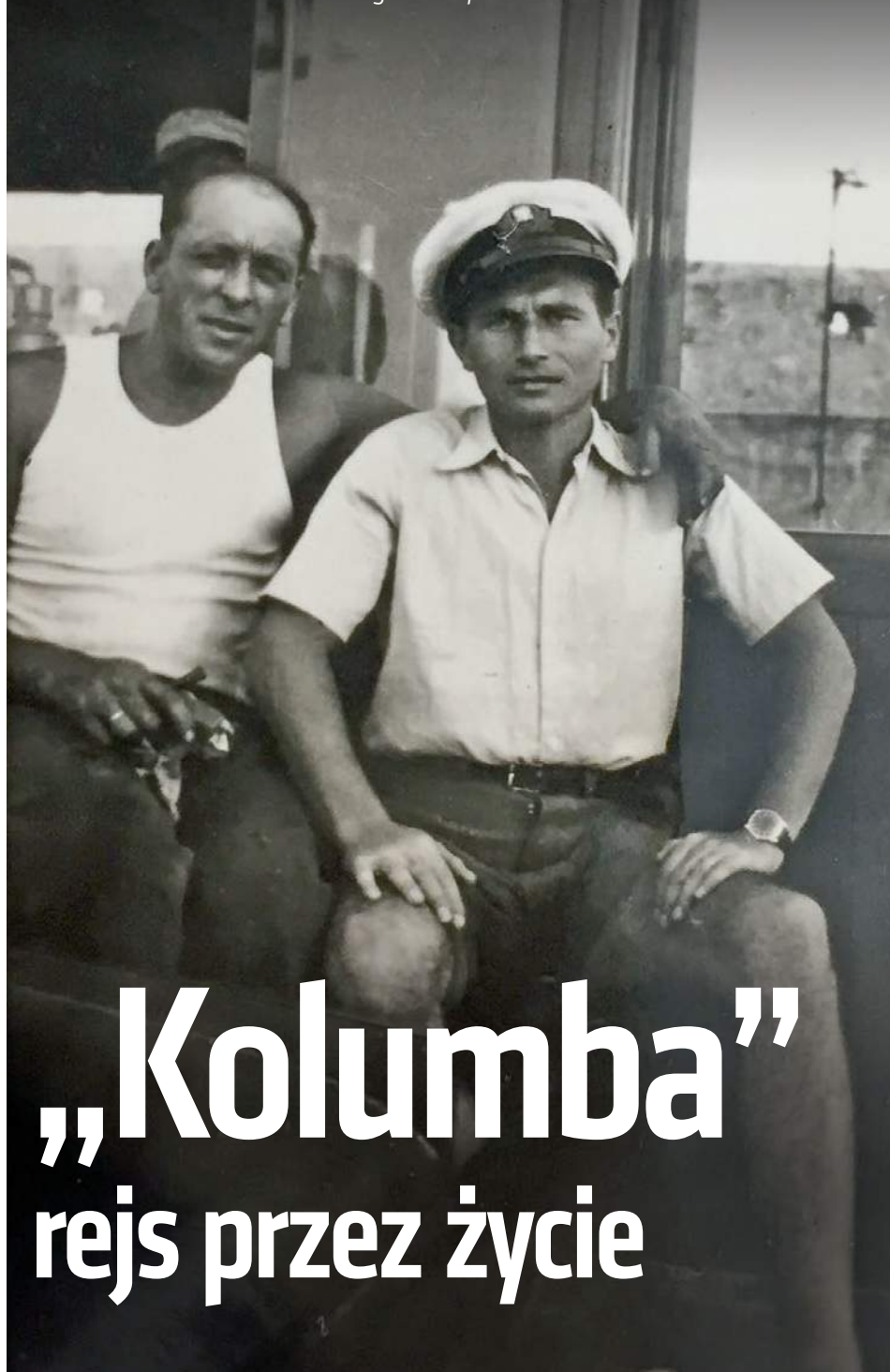
Po powrocie do Warszawy z niemieckiego więzienia (w którym siedział dwa lata – od jesieni 1938 r. – za kradzież jachtu w Gdańsku) jakby nie zauważył, że miasto jest pod okupacją. Podobno (tutaj też jesteśmy zdani na to, co opowiadał przyjaciółom) za śpiewanie antyniemieckich piosenek w knajpie na Bielanach po miesiącu „wolności” trafił na Pawiak, a stamtąd do

Krzysztof Sobieszczański ps. Kolumb (z lewej) i Stanisław Likiernik w Antibes, 1949 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Z Emilem Maratem, dziennikarzem, pisarzem rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert



„Kolumba” rejs przez życie

Auschwitz. Stawiam hipotezę, że rtm. Pilecki nie mógł nie zwrócić uwagi na młodego marynarza, perfekcyjnie mówiącego po niemiecku, z przydatnym w obozowych warunkach więziennym doświadczeniem. Obaj pracowali w stolarni, wówczas jeszcze dość niewielkiej. Nie wiem, czy Krzysztof Sobieszczański był w siatce rotmistrza, ale chłopak, który bywał w kwaterach esesmanów, bo naprawiał im drewniane sprzęty, a potem budował dla niemieckich oficerów łódki i kajaki, byłby przecież dla organizacji kimś bezcennym. Natomiast co do o. Kolbego – tutaj mamy potwierdzenie w dokumentach. Zachowała się kartoteka z bloku 11. Krzysztof prawdopodobnie był w nim dokładnie wtedy, gdy odbywał się słynny apel, podczas którego zakonnik zgłosił się na śmierć. W kwestii zwolnienia najpewniej pomogła matka, powołująca się na rodowe koneksje. Krzysztof miał przodków w pruskiej szlachcie – von Biberstein, jedna z odnóg tej rodziny miała być spokrewniona z Hohenzollernami. Oprócz pieniędzy snobizm funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy był kruszcem przychylności.

Macał palce w zabójstwie Marceliego Nowotki?

Według obowiązującej wersji tow. „Starego” zabili jego koledzy – komuniści, bracia Mołojcowie. Jednak „Stasinek” Sosabowski – dowódca żoliborskiej grupy Kolegium „A” Kedywu AK – parę lat przed śmiercią, w 2000 r., miał wyznać publicznie historycznemu Dariuszowi Baliszewskiemu, że Nowotkę zlikwidowali „Kolumb” i Jan Barszczewski „Janek” – żołnierze TOW i AK. Dlaczego nie wierzyć Baliszewskiemu, a zwłaszcza „Stasinkowi”, który był człowiekiem żelaznych zasad? Twardych dowodów na poparcie tej hipotezy jednak brak.

W podziemiu bohater książki dał się poznać nie tylko z odwagi, lecz także... lepkich rąk?

No, nie. Po prostu miał elastyczne podejście do niektórych spraw. Samochody to w ogóle odrębny temat. Podziemie kradło je, bo były potrzebne do akcji. Jak pisał Józef Rybicki – „Andrzej”, jego chłopcy zrobili sobie z tych kradzieży rodzaj „sportu”, dla zabawy zabierali Niemcom ciekawsze modele – dowództwo musiało w końcu wydać konkretne zakazy. W tej konkurencji rzeczywiście wyróżniał się „Kolumb”, koneser aut. Co do jego zachowania podczas Powstania Warszawskiego – nie wydaje mi się, żeby zabieranie cywilnych ubrań z opuszczonych mieszkań

(w sytuacji, gdy nie wiadomo, jak Niemcy po kapitulacji zrywali zareagują na panterki zdobyte przez „Kolumba” i jego kolegów w magazynach SS) było szabrem. Krzysztof gustował w eleganckich garniturach i smokingach, rozdawał je towarzyszom. W ciągu wiozącym ich do stalagu musieli wyglądać, jakby wychodzili z jakiegoś tragiczno-groteskowego wesela. A sprawa „liźnika” – czyli huculskiej kapy – wywołała konflikt między Stanisławem Likiernikiem a Krzysztofem, czyli dwoma pierwowzorami „Kolumba” z powieści Romana Bratnego. O co chodziło – odsyłam do książki.

Rejsu łódką z nurtem Łąby do Hamburga u schyłku wojny nie powstydziłby się sam baron Münchhausen...

To relacja Krzysztofa, serwowana w 1949 r. na kutrze w Antibes, choć daty z archiwaliów mogą potwierdzać jego wersję. Podobała mi się myśl, że płynął w ciemności. To jest dość symboliczne – rejs tą rzeką był jakimś punktem granicznym w jego życiu. Porzucił wszystko, jakby całe poprzednie życie. Parę miesięcy wcześniej dowiedział się o śmierci matki, która była dla niego tak ważna.

Najgorsze musiały być mosty. Zna ich rozmieszczenie: mapę kupioną od strażnika za fortunę – kilka paczek chesterfielków – studiował godzinami, ale nie może określić przebytej odległości, a zwłaszcza wiedzieć, które z przepraw ocalały i są strzeżone, które są zniszczone częściowo i nie zamykają przepustu pomiędzy przesłami, a które – na wpół zanurzone szkielety – stanowią zapory i pułapki nie do przebycia, jak jakieś rzeczne wilcze doły, za pomocą których poluje na niego w ciemności tchórzliwy myśliwy – los.

Firma szukająca polskiej flotylii zrabowanej przez Niemców stanowiła przykrywkę dla kontrbandy?

Polska Misja Okrętowa maskowała przemysł, lecz jednocześnie naprawdę zasypywała Anglików raportami o polskich statkach odnalezionych w niemieckich portach. Przyznaję, że trzeci tom „Kolumbów”, w których Bratny opisuje działania misji, zawsze wydawał mi się nieco „przefantazjowany”. Oto jednak w Archiwum Akt Nowych i w Instytucie Pamięci Narodowej znalazłem dokumenty świadczące o tym, że pisarz bynajmniej nie wiedział wszystkiego – rzeczywistość przerastała



EMIL MARAT
„SEN KOLUMBA”
W.A.B. 2018

wyobraźnię. Okazało się, że faktycznie liderem Misji był niejaki porucznik „Babystonoma/Babystomymacha”. To nazwisko (prawdopodobnie powstałe po przeprowadzeniu w przedwojennej książeczce żeglarskiej słowa „Sobieszczański”) widnieje w poważnych dokumentach.

Do Polski nie wrócił z uwagi na bigamię?

Zapewne złożyło się na to kilka powodów. Na pewno już w 1945 r. wiedział, jaka jest w kraju sytuacja – do obozów dipisów docierały informacje o plakatach z „zapłutym karłem reakcji”, pierwszych aresztowaniach itd. Druga sprawa – rzeczywiście w Hamburgu zakochał się w ślicznej młodej Austriaczce, rok później się z nią ożenił, występując pod fałszywym nazwiskiem w niemieckim urzędzie, nieopodal francuskiej granicy – zabawne, że akt ślubu leży tam do dziś. Jednak nie zapomniał też o polskiej żonie ani dzieciach, słał im listy i pieniądze, obiecywał, że wróci... Nie wiem, jak sobie to planował – zastanawiałem się nad tym razem z polskimi i francuskimi dziećmi Krzysztofa (jest ich czworo).

Zgon „Kolumba” otacza nimb tajemnicy...

Dokumenty z włoskich archiwów, głównie z Savony – jest ich całkiem sporo – zdają się nie wyjaśniać wszystkiego. Styczniana noc 1950 r., sztorm, nieduży, ale sprawny i dzielny jacht, pęka lina – topananta, towarzysz Krzysztofa zeznaje przed włoskim sędzią śledczym, że właściciel łodzi, kpt. „Cristophoro Steen”, czyli „Kolumb”, wypadł za burtę. Parę dni później okazuje się już jednak, że „Secil” – ta piękna żaglówka – była zarejestrowana na owego załoganta... I jeszcze kilka innych dziwnych rzeczy – piszę o nich obszernie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Emil Marat – dziennikarz (głównie radiowy), pisarz, autor powieści „Szkoła” i „Lawiryt” oraz pisanych na cztery ręce (z Michałem Wójcikiem) wywiadów z ręk z żołnierza Polskiego Państwa Podziemnego: „Made in Poland” (Stanisław Likiernik „Stach”), „Ptaki drapieżne” (Lucjan Wiśniewski „Sep”), „Ostatni” (Aleksander Tarnawski „Uplaz”).



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Najtrudniejszy taniec świata



★★★★★
REŻ. SAMUEL
MAOZ
„FOKSTROT”
IZRAEL/FRANCJA/
NIEMCY 2017

wyst. Lior Ashkenazi,
Sarah Adler,
Jonathan Shiray

Złotousty hrabia Mirabeau, bawiąc w Berlinie, zauważył, że Prusy to nie państwo, które ma armię, lecz armia, która ma państwo. Ciekawe, co miałyby do powiedzenia o współczesnym Izraelu. Nawet minister kultury ma tam wojskową przeszłość i ostro reaguje na szarganie munduru przez tzw. artystów. Ostatnio podpadł jej Samuel Maoz, reżyser „Fokstrotu”, nagrodzonego na festiwalu w Berlinie Złotym Niedźwiedziem. „Kiedy izraelski film zdobywa międzynarodową nagrodę, moje serce wypełnia duma. Ta reguła ma jeden wyjątek – kiedy zagraniczny sukces jest wynikiem samobiczowania i kolaboracji z antyizraelską narracją” – wypaliła na fejsie owa temperamentna niewiasta, w której rodacy ponoć upatrują

następczynię mocno już zużytego premiera Netanjahu.

Co prawda, Miri Regev zabrakło czasu, by zapoznać się z dziełem, które poddała druzgocącej krytyce, lecz intuicja jej nie zawiodła. Rzeczywiście, Maoz kpi sobie z armii, jej rytuałów i dramatycznych wysiłków, by przynajmniej rodzinom poległych żołnierzy pokazać humanitarne oblicze. Czegóż zresztą innego można było oczekiwać po autorze „Libanu” – filmu jeszcze bardziej hołubionego przez europejskich krytyków, w którym całkowicie uzasadnioną interwencję w sąsiednim kraju przedstawił jako pozbawioną sensu jatkę? Snując antywojenną opowieść o czterech pancernych, reżyser debiutant miał przynajmniej alibi: w pamiętnym roku 1982 osobiście siedział w czołgu i strzelał do wszystkiego,

co się ruszało. „Fokstrot” to produkt czystej imaginacji, skonstruowany na wzór teatralnego spektaklu.

Akcja pierwszego i trzeciego aktu rozgrywa się w izolowanym od miejskiego zgiełku apartamencie państwa Feldmanów. W tej rodzinie od dawna nie działa się dobrze, wiadomośc o śmierci wziętego w kamasze juniora dezintegruje ją jeszcze bardziej. Środkowa, najlepsza część filmu ma scenerię zgoła księżycową. Czterech (znowu!) młodych żołnierzy kontroluje ruch na drodze, którą częściej od samochodów przeemieszczają się zabłąkane wielbłądy. Chłopaki mieszkają w kontenerze, powoli zapadającym się w błocie, i coraz bardziej się frustrują.

Historia jest prosta, lecz izraelski reżyser zrobił dużo, by ją uduziwić i odrealnić – zwłaszcza w warstwie wizualnej. Anegdoty o wymianie starej Biblii na egzemplarz „Playboya” mógłby mu pozazdrościć Tarantino. Są i mankamenty: autor „Fokstrotu” nadużywa boskiej perspektywy i nie ufa inteligencji widzów. Łopatologia ma wielką przeszłość (i jeszcze większą przyszłość), ale raczej nie w tym gatunku kina.

Maoz publicznie podziękował pani minister za reklamę. Na jego miejscu byłbym ostrożniejszy. ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „Tajemnice Silver Lake”

Pokazany w 2014 r. w Cannes horror „Coś za mną chodzi” sprawił, że Mitchell zyskał miano jednego z bardziej obiecujących reżyserów młodego pokolenia. „Tajemnice Silver Lake” to rozgrywający się w Los Angeles (i świecie show-biznesu) paranoiczny kryminał noir skracający w kierunku

klimatów w stylu filmów Lynch’a i „Wady ukrytej” Andersona. Także miał premierę w Cannes (w tym roku). ©

Piotr Gociek

• „Tajemnice Silver Lake” („Under the Silver Lake”), reż. David Robert Mitchell, wyst. Andrew Garfield, Riley Keough, Topher Grace, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Kamerdyner”, reż. Filip Bajon, Polska 2018
- „Johnny English: Nokaut”, reż. David Kerr, Wielka Brytania/USA 2018
- „Zegar czaroksiężnika”, reż. Eli Roth, USA 2018
- „Kręciś mnie”, reż. Franck Dubosc, Francja 2018

Pieski żywot

Najpiękniejszy kraj świata pokazany od najbrzydszej strony.

„Pentameronem” Matteo Garrone udowodnił, że tradycyjna estetyka nie jest mu całkiem obca, teraz wrócił do turpizmu. W zdegradowanej scenerii „Dogmana” żyją ludziska, z których twarzy można czytać jak z książek, choć ta lektura nie jest zbyt budująca. Bliżej poznamy tylko Marcella, obdarzonego przez Stwórcę nikczemną posturą i urodą gryzonia (cóż za ironia, kiedyś to imię nosił sztandarowy amant włoskiego kina). Do społeczności, złożonej z kanciarzy, ćpunów, prostytutek i drobnych rzemieślników, ten psi weterynarz pasuje słabo. W innych okolicznościach społecznych mógłby być zycznym obywatelem,

tu jednak rządzi prawo mimikry. Po godzinach Marcello rozprowadza koks, pomaga w kradzieżach, zaś przesłuchiwany przez policję milczy jak grób. Chce być lubiany przez wszystkich, a przecież tak się nie da. Naszego pocziwca gubi przyjaźń z osiakiem, któ-

remu resztki mózgu wyżyła kokaina.

„Dogman” w pierwszej chwili odrzuca, w drugiej intryguje, lecz potem coraz bardziej nuży. Fatalizm sprawdzał się w greckich tragediach, ożeniony ze skrajnym realizmem dryfuje w stronę banału. Tymczasem widz popada w odrętwienie, z którego nie wyrwie go nawet brutalna końcówka. Uwaga, spoiler – żaden czworonóg nie ucierpiał. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. MATTEO GARRONE
„DOGMAN”
WŁOCHY/
FRANCJA 2018

wyst. Marcello Fonte,
Edoardo Gero,
Adamo Dionisi



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „V-RALLY 4”

Szesnaście lat trzeba było czekać na następną część serii wyścigowej „V-Rally”. W takich sytuacjach zawsze pojawiają się pytania: „Czy było warto?” i „Co przez ten czas robili twórcy?”. Jeśli chodzi o warstwę wizualną, to wygląda ona tak, jakby przepalili kilka wiosen. To nie grafika

jest jednak istotą gier rajdowych, ale realizm prowadzenia aut, połączony z grywalnością. Na tym polu „V-Rally” prezentuje naprawdę przyzwoity poziom, urozmaicony dodatkowo kilkunastoma konkurencjami – zaczynając od driftu, a kończąc na karierze w WRC. Jeśli dodamy do tego ponad



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MILCZ, BO ZGINIESZ!

„Ciche miejsce” to jak dotąd najlepszy film fantastyczny roku 2018, sensacja równie wielka i zaskakująca jak świetny horror „Uciekaj!” („Get Out”) Jordana Peele’a w roku ubiegłym. Oglądamy oto Ziemię terroryzowaną przez obce istoty: drapieżne, niezwykle szybkie i obdarzone wyjątkowo czułym słuchem. W dodatku niesłychanie trudne do zabicia. Skąd się wzięły, ile ich jest, dlaczego nasza cywilizacja tak szybko poszła w rozsypkę – tego wszystkiego możemy się tylko domyslać. To, co ważne, to fakt, że wroga można przechrzcić, trzeba być tylko niesłychanie pomysłowym, przeznaczone, cierpliwym i... cichym. I tak właśnie stara się czynić rodzina, której perypetie śledzimy. W rolach głównych Emily Blunt i John Krasinski, który jest także scenarzystą i reżyserem. Bardzo dobrym reżyserem, dodajmy, bo historię wykorzystującą elementy znane z klasyki SF opowiada tak zręcznie, że od początku do końca serce bije nam szybko, a włosy się jeżą na głowie.



★★★★★

REŻ. JOHN KRASINSKI
„CICHE MIEJSCE”
(„A QUIET PLACE”)
USA 2018,
IMPERIAL

wyst. Emily Blunt, John Krasinski,
Millicent Simmonds

ZANIM POWRÓCĄ POTWORY

Po sukcesie filmu „Pacific Rim” (2013) reżyser Guillermo del Toro zapowiadał osadzoną w tym świecie trylogię. Szkoda, że nie miał czasu sam się tym zająć, bo „dwójka” rozczarowuje. Rzecz dzieje się 10 lat później, ludzkość chce zawierzyć swoje bezpieczeństwo nowemu systemowi dronów, nieświadoma faktu, w czym interesie została opracowana i przede wszystkim, skąd się wzięła przełomowa technologia. Tymczasem swojego miejsca w życiu szuka Jake Pentecost, syn bohatera wojny z kaijū. Grający go John Boyega to najjaśniejszy punkt filmu. Resztę pamiętamy z pierwszej części. Wielkie roboty (jaegery), potwory z inego wymiaru czyhające na Ziemię, plus para ekscentrycznych naukowców, którzy działali ręką w rękę, a teraz stoją po przeciwnych stronach. To mógł być sympatyczny kawałek rozrywki, ale twórcom zabrakło serca i inwencji. Mimo to ciąg dalszy wydaje się przesądzony. ©©



★★★★★

REŻ. STEVEN S. DEKNIGHT
„PACIFIC RIM: REBELIA”
(„PACIFIC RIM: UPRISING”)
USA 2018,
FILMOSTRADA

wyst. John Boyega, Scott Eastwood,
Cailee Spaeny

recenzuje Piotr Gociak

★★★★★

50 maszyn podatnych na modyfikacje, to fani nie powinni narzekać. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Wyścigi
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Kylotonn/CDP
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 3+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Trocki w pociągu Historii

W tej sławiącej rewolucję książce natrafiamy na tropy... biblijne. Oto przedstawia się nam dwunastu apostołów z Mexico City z połowy lat 20. zeszłego wieku. Wszystko zależy – czytamy – od tej gromadki „braci” skupionych wokół Tiny Modotti, aktorki i fotografi, rywalki Fridy Kahlo. Przyszłość sztuki i rewolucji zależy od nich. „Na stole egzemplarz »El Machete« z sierpem i młotem na okładce”. I oni. Nie ma takiego zdjęcia, więc musimy ich sobie wyobrazić.

W śródku Diego Rivera, „pożeracz kobiet, postać jak z Homera, genialny artysta wychowany w lesie – jak sam twierdzi – przez indiańską mamkę, wykarmiony kozim mlekiem, olbrzym o nienasyconym apetycie, o dzikiej, monsturalnej sile. Na piersi ów słoń nosi bliznę po ciosie zadany mu nożem w Paryżu przez porzuconą kochankę”. W pałacu Cortésa w Cuernavaca ukończył akurat ten sam fresk, który dziesięć lat później zobaczy Malcolm Lowry i wspomni o nim w swej genialnej powieści „Pod wulkanem”.

Obok Modotti i Rivery cała reszta, z Siqueirosem, Majakowskim, Sandinem, Kahlo, Dos Passosem, Westonem, Guerrerem, Vidalim, Travenem, Orozkiem, Mellą. „Łączy ich to – uwaga! uwaga! – że służą sprawie, którą cenią ponad życie. Niektórzy zostaną zdrajcami, inni – bohaterami. I nawet jeśli błędzą, to przecież nie mają nic wspólnego z drobnomieszczanami opisanymi przez Trockiego w latach 30., kiedy to pociąg Historii pędził już ku wojnie światowej, on zaś ukrywał się pod Grenoble [...]”. I Deville konkluduje – na serio! – że „cała ta gromadka zasługuje – niezależnie od triumfów czy porażek – na nasze współczucie. Żaden drobnomieszczanin zajęty obrotem nieruchomości, szukaniem wygod i korporacyjnymi roszczeniami nie ma prawa



FOT. WILDE TERA/LENGUET/EST NEWS

sądzić tych mężczyzn i kobiet. Mogłoby to uczynić jedynie sąd rewolucyjny”. Nie wiadomo, kogo tu najwięcej: Robespierre’a i Saint-Justa, a może już Lenina i Dzierżyńskiego, czy jednak Lwa Trockiego.

To ten ostatni jest prawdziwym bohaterem (dokładnie jednym z dwóch, Deville równolegle opowiada bowiem o Lowrym) wydanej właśnie przez Noir sur Blanc książki francuskiego pisarza. Opowiada o jego życiu i śmierci. Między innymi o niezwykłych pociągach, którymi Lejba Dawidowicz Bronsztejn zmierzał do swoich rewolucyjnych celów, a które dowiozły go w końcu do willi w Coyoacán, gdzie zginął od uderzenia czekaniem z ręki agenta NKWD Ramona Mercadera.

Do Meksyku Trocki, ścigany przez zbirów nasyłanych przez Stalina po całej Europie, przybył w 1937 r., po tym, gdy malarz Diego Rivera namówił prezydenta kraju Lázara Cárdenasa, by ten przyznał wizę wygnańcowi i uratował mu życie. Na nabrzeżu w Tampico na Trockiego i jego żonę czekali prezydencki wysłannik gen. Beltran i malarka Frida Kahlo, żona Rivery. Niebawem zostanie kochanką

dopiero co poznanego człowieka, którego w Meksyku poprzedza fama przywódcy wszechświatowej rewolucji. W czwórkę wsiedli do prezydenckiego pociągu „Hidalgo” i w wyłożonej boazerią salonce odbyli podróż w głąb Meksyku. Do miejsca przeznaczenia.

Wcześniej podróżował Trocki innym, jeszcze ciekawszym pociągiem – Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego. Dwa lata spędził w tym pociągu pancernym, tak ciężkim, że ciągnęły go dwie lokomotywy z czerwonymi gwiazdami. To w nim przeżył wojnę domową w porewolucyjnej Rosji. Gdzie nie dojechał, przemawiał do żołnierzy i zagrzewał ich do walki, rozdawał drukowaną w pociągu gazetę i rozstrzeliwał kontrrewolucjonistów. Był tu wagon z telegrafem i radiem, wagon z żywnością dla 200 podróżnych, z ubraniami i skórą na podeszwy, wagon z zapasem podkładów kolejowych, oczywiście wagon z prądnicą, inny z cysterną paliwa, a jeszcze inny z łaźnią, dwa wagony karabinów maszynowych, garaż z kilkoma samochodami ciężarowymi i osobowymi, jak również wagon, w którym odbywały się posiedzenia trybunału wojskowego. W osobnym przedziale dla komisarza ludowego znajdował się gabinet z biblioteką.

Czytając o tym wszystkim, myślałem o sławnej powieści „Pod wulkanem”, w której Malcolm Lowry przywołał – cytuję – „wielki pochód Historii, freski meksykańskich malarzy murali – Diego Rivery i José Clemente Orozca, wojnę w Hiszpanii i wielkie nazwisko Trockiego, który w powieści zadzwonił dwa razy, jak na Anioł Pański: w rozdziale pierwszym i ostatnim [...]”. I o tym, że wielkość przynależny, być może, nazwisku Lowry’ego, zbrodniarza pozostawić natomiast wypada sam na sam z jego zbrodnią. W żadnym wypadku nie uwznioślając jego i jego czynów. ©©



★★★★★
PATRICK DEVILLE
„VIVA”
NOIR SUR BLANC
2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zaangażowani w rzeczywistość

Na fotografii kobiece spracowane dłonie cerują żołnierski połowy mundur.

W mundurze krwawa dziura, ślad po kuli czy odłamku. Tytuł pracy: „Listy z domu”. Na innej grupa 17 ukraińskich żołnierzy pozuje swojemu koledze. Widzimy twarze tylko części z nich, niemal połowa sylwetek na pierwszy rzut oka wydaje się wydrapana z fotografii, ale tak naprawdę kontury pokryto drobnymi złotymi płatkami. Tytuł: „Oddział dziewięciu rannych i ośmiu zabitych”. Instalacje artystyczne, kolaże, ale także gigantyczne murale zdobiące ściany budynków w Kijowie. Wiele z nich widziałem w ostatnich latach w ukraińskiej stolicy, w tym ten najsłynniejszy: „Ukraińska wiosna”, precyzyjną i jednocześnie bezbrzeżnie smutną alegorię. Trudno jej było nie zauważyć, każdy kto odwiedził muzeum Bułhakowa na Andrijewskim Uzwozie i maszerował potem w dół, w stronę pl. Kontraktowego, musiał widzieć to dzieło.

A więc sztuka XXI w. może mieć sens? Być czytelną dla niewprawnego nawet widza? Zamiast uciekać w czystą abstrakcję, czystą sztywność, czyli wręcz czystą pogardę dla odbiorcy – może być aktualna, boję

się aż napisać kolejne słowo: „zaangażowana”? Od razu wyjaśnienie, zaangażowana nie w propagowanie „jedynie słusznego ustroju”, lecz po prostu zaangażowana w rzeczywistość. Rzecz więc oczywista, że w wielu przypadkach to krzyk sprzeciwu wobec bandyckiej agresji Rosji.

„Chłopak z pianinem”. O sztuce i wojnie na Ukrainie” to także opowieść o ludziach, którzy za opisanymi (i wieloma innymi) dziełami stoją. Fascynujący reportaż, w którym zamiast mądralińskich historyjek o tym, „jak się zafascynowałam Derridą”, jest powrót do dni rewolucji na Majdanie, bo tam każdy, kto młody, utalentowany i nieobojętny na los swego kraju, musiał się po prostu stawić. Jest zapis przerażenia i wściekłości po zaborze Krymu, a potem po wybuchu walk o tzw. Noworosję. I są trzeźwe wypowiedzi młodych artystów, którzy wcale nie przyjmują nowych porządków bezmyślnie: „To nie Putin jest problemem Ukrainy, ale ona sama”



★★★★★
EWA SUŁEK
**„CHŁOPAK
Z PIANINEM”**
PWN 2018

mówi jeden z nich, piętnując „zakłamanie, kombinowanie, socjalistyczną mentalność, korupcję, zachłanność, nieprzychylność i zwykły burdel”. Zaskakująca książka, piękna książka, książka zmuszająca do myślenia, warto ją wyłuskać z ton kolorowego śmiecia w księgarniach. © ©

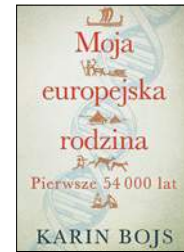
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Słynny tom poetycki Urbankowskiego, oskarżenie niemieckiego ludobójstwa z czasów II wojny światowej, teraz w wydaniu poprawionym, rozszerzonym o płytę CD ze spektaklem na podstawie wierszy, z udziałem znakomitych aktorów.



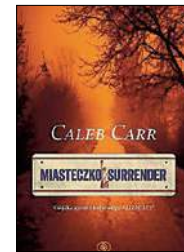
**BOHDAN
URBANKOWSKI**
„GŁOSY”
PIW

Pasjonująca opowieść obejmująca ostatnie 50 tys. lat, rzecz o tym, jak badania genetyczne objaśniają nam zakręty historii ludów, narodów oraz pewnej rodziny, z której pochodzi autorka, znana szwedzka popularyzatorka nauki.



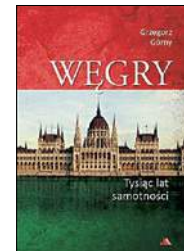
KARIN BOJS
**„MOJA
EUROPEJSKA
RODZINA”**
INSIGNIS

Kryminał należący do cyklu rozpoczętego „Alienistą”, ale akcja rozgrywa się współcześnie. Główny bohater, psycholog Jones, to znawca i admirał metody dr. Laszlo Kreizlera z pierwszej powieści. Błyskotliwe i wciągające.



CALEB CARR
**„MIASTECZKO
SURRENDER”**
REBIS

Jak Węgry dokonali wyboru między Azją a Europą oraz między protestantyzmem a katolicyzmem. O dziedzictwie św. Stefana, o trudnych politycznych wyborach – zbiór arcykawych tekstów znanego publicysty. © ©



**GRZEGORZ
GÓRNY**
**„WĘGRY. TYSIĄC
LAT SAMOTNOŚCI”**
WYDAWNICTWO
AA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Blanka Lipińska „365 dni” (Edipresse)** – dziewczyna porwana przez mafiosa ma 365 dni, by go pokochać. Brzmi idiotycznie? Owszem. I takie też jest.
- Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz” (Marginesy)** – opowieść o Lale Sokolowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.
- Katarzyna Nosowska „A ja zem jej powiedziała” (Wielka Litera)** – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.
- Remigiusz Mróz „Nieodnaleziona” (Filia)** – ukochana Damiana pojawia się 10 lat po zaginięciu. Kto stoi za tą zagadką?
- Minka Kent „Idealne życie” (Filia)** – brudne sekrety na pozór idealnej rodziny, czyli thriller reklamowany jako nowa „Dziewczyna z pociągu”.

(Najchętniej kupowane książki w sierpniu 2018 r. w księgarni internetowej TaniaKsiazka.pl)

Kiedy zdrowie mu na to pozwalało, Jan Paweł II, zwłaszcza podczas pielgrzymek do ojczyzny, nie tylko słuchał, co mu śpiewa rozentuzjasmowany tłum, lecz także chwycił za mikrofon i z tym tłumem śpiewał. Widać było, że sprawia mu to radość. Zwłaszcza gdy śpiewane były pieśni z Podhala, miejsca szczególnie bliskiemu sercu Karola Wojtyły. Ta miłość do muzyki, do tradycyjnych polskich melodii była zauważana na całym świecie. „Góralu, czy ci nie żal” zagrano i odśpiewano dla niego nawet podczas pielgrzymki do... Japonii. Oczywiście papież Polak i wtedy z przyjemnością śpiewał z Japończykami. O jego miłości do muzyki niech świadczy to, że swego czasu „wydał płytę”. Radio Watykan wybrało fragmenty papieskich modlitw i homilii, by umieścić je na tle melodii, co zaowocowało krążkiem



„Abba Pater”. Czy Ojcu Świętemu wypada śpiewać, wydać płytę? Parafrazując znane słowa Jana Pawła II, odpowiedzieć można: „Ojcu Świętemu nie wypada źle śpiewać, wydać kiepskiej płyty”.

Bez wątpienia Jan Paweł II muzykę kochał. Płyta „Live

in Wadowice”, która niedawno trafiła do serwisów streamingowych (można też jej posłuchać za darmo na stronie: www.tomasz-trzcinski.info), to zapis koncertu „Co mu w duszy grało” zorganizowanego w ubiegłym roku w Wadowicach. Tomasz Trzcński – pianista,

dyrygent, kompozytor i aranżer – zagrał na fortepianie swoje interpretacje bliskich papieskiemu sercu pieśni. Wśród nich ukochana przez Jana Pawła II „Barka”. Posłuchamy tam również m.in. Litanii do św. Jana Pawła II według tekstu papieża Benedykta XVI.

Całość koncertu była improwizacją artysty do czytanych fragmentów przemówień papieskich podczas pielgrzymek do Polski.

Artysta ubiegłoroczne wydarzenie opisuje następująco: „W trakcie koncertu, którego gospodarzami były wadowickie dzieci, doszło do najpiękniejszej w moim życiu przygody muzycznej z fortepianem, instrumentem żywej muzyki, połączonej dialogiem z Wielkim Duchem tych stron, i symbolem Wadowic, polskiej wiary i historii Kościoła katolickiego – św. Janem Pawłem II”. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Nie ma jak zdrowie

Paul McCartney nagrał po rozpadzie Beatlesów 24 albumy studyjne, jeśli zliczyć zarówno te solowe, jak i te z zespołem Wings. Niestety, tylko kilka z nich przetrwało próbę czasu.

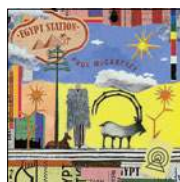
Jako 76-latek eks-Beatles jest nad wyraz aktywny. W programie Jamesa Cordena odwiedził „swoje” zakątki Liverpoolu, wystąpił w klubie Cavern, gdzie debiutowali Beatlesi, i nagrał „Egypt Station”. Teraz przygotowuje się do światowego tournée.

Producentem albumu jest Greg Kurstin odpowiedzialny za sukcesy Rihanny i Kanye Westa. Macca nie zamierzał bowiem nagrać nostalgicznej płyty. Wyszła podróż

między „teraz” a „wtedy”, symboliczne zamknięta między instrumentalnymi „stacjami”. Pomiędzy mamy McCartneya rockowego, popowego, akustycznego, eksperymentalnego. Grającego boogie, funky czy bossa novę.

Największe wrażenie robi rozbudowana siedmiominutowa suite „Despite Repeated Warnings”, w której Paul rozmyśla o brexicie i Trumpie. Równie ciekawe jest „ukryte” nagranie „Hunt You Down/Naked/C-Link”, które kończy przejmujący dialog gitary z orkiestrą.

„Stacja Egipt” nie przejdzie do historii, ale jest to album, którego słucha się z ciekawością, a momentami nawet z wypiekami na twarzy. ©©



★★★★★
PAUL MCCARTNEY
„EGYPT
STATION”
CAPITOL



★★★★★
**MAKSYMIUK
& OLEJNICZAK**
„RETRO”
AGORA

Charlestony, tanga, ragtime'y i walce na dwa fortepiany. Za jednym zasiadł Janusz Olejniczak (wybitny chopinista), za drugim Jerzy Maksymiuk (wybitny dyrygent). Kasia Moś zaśpiewała trzy piosenki do tekstów pani Ewy, żony drugiego z mistrzów.



★★★★★
**MUZYKA
FILMOWA**
„KAMERDYNER”
AGORA

Ballada „Stare drzewa” Korteza promuje film Filipa Bajona. Antoni Łazarkiewicz napisał 16 utworów inspirowanych brzmieniami i frazami Mahlera, Straussa i Berga. Dekadencji mariaż romantyzmu i awangardy robi wrażenie nawet bez obrazu. ©©

Nie jest pani architektem wnętrz, a w ciągu trzech lat udało się pani stworzyć największą wnętrzarską imprezę w Polsce.

I czwartą w Europie! Warsaw Home plasuje się tuż za targami w Kolonii, Paryżu i Mediolanie. W tym roku spodziewamy się aż 600 wystawców oraz 60 tys. odwiedzających.

Skąd pomysł na takie targi?

Cztery lata temu wpadł mi w ręce raport o polskim przemyśle meblarskim. Wynikało z niego, że Polska jest czwartym największym producentem na świecie! Jesteśmy potęgą, zwłaszcza jeśli chodzi o meble do przestrzeni publicznej. Produkty takich firm jak Nowy Styl, MDD, Noti, Balma, Profim znajdują się w największych, najbardziej znanych europejskich hotelach, restauracjach, biurach. Jesteśmy również w czołówce, jeśli chodzi o oświetlenie, świece oraz dodatki do wnętrza. Czy to nie świetny punkt wyjścia do targów? Pomyślałam, że zamiast wysyłać przedstawicieli handlowych tych firm w świat, można sprowadzić kupujących i dystrybutorów z zagranicy do Warszawy.

Z tym że w tym roku na Warsaw Home jest spora konkurencja zagraniczna.

Plany biznesowe warto korygować. Okazało się, że polski rynek jest bardzo atrakcyjny także dla włoskich, skandynawskich i niemieckich firm. Warto im ułatwić kontakty, a tym samym pomóc polskiej branży hotelarskiej, Warszawie, regionowi... W tym roku wystawiać więc u nas będą np. włoskie B&B Italia, Moroso, Edra, Capellini, a także IKEA ze swoimi najnowszymi projektami. Przyjadą prawdziwe gwiazdy światowego designu: Brytyjczyk Tom Dixon i Włoch Stefano Giovannoni. Będą też najlepsi polscy projektanci,

Dobrze we własnym domu

Polska jest meblarską potęgą – mówi Kasia Ptak, szefowa targów Warsaw Home, które odbędą się w dniach 4–7 października w Ptak Warsaw Expo



np. Maja Ganszyniec, która pracuje m.in. dla IKEA oraz Comforty, czy Tomek Rygałik, założyciel TRE. Fenomenem jest dla mnie też Oskar Zieta, którego prace wyjątkowo lubię.

Co w przypadku targów jest wyznacznikiem sukcesu? Duże nazwiska czy liczba odwiedzających?

Dokonane transakcje. Gdy wystawca sprzeda swoje produkty lub podpisze kontrakty na przyszłość, z pewnością do nas wróci. Dlatego pytam producentów wprost: Na czym w czasie targów zależy? I słyszę, że przede wszystkim na spotkaniach z dystrybutorami, z architektami, którzy

robią duże projekty, np. hotele. To się coraz lepiej udaje, bo z roku na rok mamy coraz więcej zainteresowanych.

Czy człowiek, który planuje tylko remont kuchni lub chce kupić jedno łóżko, a nie sto, ma czego szukać na targach?

Jak najbardziej! Mało tego, będzie od razu mógł zrobić zakupy. Pierwsze dwa dni są tylko dla branży, ale już sobota i niedziela będą otwarte dla wszystkich. Będziemy mieli nie tylko strefę meblową, lecz także dekoracyjną, wykończeniową i kuchenną. Meble do sypialni, zasłony, drzwi, podłogi, lampy... Dosłownie wszystko, co potrzebne, by dom był przyjazny i piękny.

Skąd się wzięło pani zainteresowanie designem?

W dzieciństwie dużo jeździłam z rodzicami po świecie, mieszkaliśmy w różnych domach. Zauważyłam, że w jednych się czułam lepiej, w innych gorzej. Zrozumiałam, że lepiej się czuję we wnętrzach, które mi się podobają. Zaczęłam się tym interesować – jaki wpływ mają na nas przedmioty, którymi się otaczamy.

Czerpie pani inspiracje do swojego domu z wystaw Warsaw Home? Ma pani czas podziwiać stoiska?

Na etapie przygotowań – tak, tym bardziej że właśnie buduję dom. Jednak w czasie samej imprezy jestem strasznie zajęta, biegam ze spotkania na spotkanie. Chociaż zdarza się, że w tym pędzie nagle zatrzyma mnie widok kanapy w pięknym odcieniu. Kocham kolory, choć trochę mi zajęło, żeby to zrozumieć. Zwykle idziemy w szarości i biele, bo tak bezpieczniej, bo nikt nam nie zarzuci złego gustu. Jednak to my mamy się dobrze czuć we własnym domu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Waldemar Żyszkiewicz

Patriotyczne opowieści dla Polaków. Uległość wobec dyktatu UE, USA oraz Izraela. Wygląda na to, że drugi rząd Zjednoczonej Prawicy zamiast racji stanu Rzeczypospolitej realizuje interes polityczny własnej formacji

Niewysocy smagli rowerzyści, z obszernymi tornistrami na plecach. Na ściankach pudeł napis: „UBER zżera”. Wpatrzeni zwykle w nawigację GPS, ostro pedałują po śródmiejskich ulicach Warszawy. Rozwożąc jedzenie konsumowane zapewne przez tych, którzy nie przejmują się zapowiedzią, którą można wyczytać nie tylko ze ścianek pojemników do przewożenia żywności.

Jednak ci mali, szczupli Azjaci to tylko wycinek gwałtownie rosnącej egzotyki na jeszcze naszych ulicach. Drugą niszę stanowią młodzi, ok. 20-letni i całkiem normalnie zbudowani młodzieńcy. Są to nieźle ubrani, hałaśliwi i pewni siebie smagli muzułmanie, którzy w większych grupach przemierzają się po eleganckich, centralnych dzielnicach miast. Ich status w Polsce jest niejasny, ale przejawiana pewność siebie nie budzi wątpliwości.

Jak dotąd zadowolają się pokrzykiwaniem i przepychankami we własnym gronie, ale ich postawa, tupet nie pozostawiają złudzeń: któregoś dnia to się zaczną, bo musi. Czy komuś (i komu) zamarzyły się masowe gwałty, takie jak w wojennej i tużpowojennej Europie? Lub w obecnej Danii, Szwecji czy Norwegii?

Młodzi, napompowani energią przybysze, a przynajmniej ich znaczna część, zostali wychowani w kulturze przemocy i zdobywania sobie miejsca w życiu siłą pięści, niekiedy noża, a zazwyczaj grupowego, rodzinnego, także plemiennego wsparcia. Mężczyzna spoza ich grupy etnicznej czy religijnej, idący samowtór z kobietą, nie będzie mieć z nimi żadnych szans.

Jeśli ktoś zdoła się im skutecznie przeciwstawić, to najwyżej zorganizowani kibice lub młodzi narodowcy, tak chętnie sekowani dziś przez funkcjonariuszy



PiS 2.0 Łamie obietnice

stołecznego ratusza, ale i przez policję Brudzińskiego niezbyt kochani. Czy rządzący nie woleliby uniknąć rozlania się pozainstytucjonalnej przemocy na ulicach naszych miast? Czy liczą, że jakoś to będzie? Nie, nie będzie. Wystarczy rozeznaczyć stan faktyczny w większości metropolii zachodniej Europy.

EGZOTYCZNE RODZINY

Jednak na śniadych cyklistach z Ubera i pewnych siebie muzułmańskich młodzieńcach wcale się nie kończy. Na ulicach Warszawy, szczególnie w tym roku, zaroilo się od mocno wielodzietnych i całkiem zamożnie wyglądających rodzin muzułmańskich, oddających się dostojnym spacerom po Trakcie Królewskim. I nie mówię wcale o turystach, bo turystyczny sznyt nawet w przypadku ludzi bogatych łatwo od razu rozpoznać.

Nie, to są ewidentnie „rodziny na swoim”, by użyć pamiętnego hasła ze słynnej kampanii prezydenckiej Mariana Krzaklewskiego. Kroczący na czele mężczyzna, za nim dwie, trzy kobiety, gromadka dzieci. Wejrzenie, demonstracja pewności

siebie, jakość tkanin nie pozostawiają wątpliwości. To ludzie zamożni, nawet bardzo zamożni. Jakie więc perspektywy rysują się na przyszłość? Jak mogą ułożyć się relacje między bardzo bogatymi ludźmi ze Wschodu, którzy nie mają przesadnego mniemania o innowiercach, a zabieganymi i przez ćwierćwiecze konsekwentnie pauperyzowanymi Polakami?

I jak to się dzieje, że wbrew uroczystemu deklaracjom Polska lekką ręką przysparza bogatych muzułmanów, w przeciwieństwie choćby do tych licznych polskich biedaków z Kazachstanu oraz innych posowieckich republik, którzy bardzo chcieliby wrócić na ojczystą ziemię? Cóż, kolejne ekipy w MSZ, okupujące ten resort po 1989 r. z poręki Krzysztofa Olgerda Skubiszewskiego (K.O.Sk., Kosk), a następnie Bronisława Geremka, który próbę lustracji środowisk uniwersyteckich uznał za zamach na własną tożsamość, najwyraźniej mają całkiem odmienne priorytety.

Myślę, że liczni rodacy, niewyobrażający sobie ani rezygnacji z narodowej tożsamości, ani z tradycyjnej euroatlantyckiej cywilizacji, niedopuszczający nawet myśli



FOT. ANDRZEJ PRZECIŃSKI/PAP

Bywam często w centrum miasta, więc muzułmanki w hidżabach i czarczafach już mi się opatrzyły. Młode chodzą zwykle po dwie, trzy, niekiedy jedna z nich, ta bardziej zeuropeizowana, nie zasłania niczym włosów. Jednak za to niemal wszystkie, jedząc lody, trzymają w rękach telefony komórkowe. Zachowują się spokojnie, nie wchodząc w kontakt wzrokowy ze światem zewnętrznym. Najwyżej te starsze, już z obowiązkami, rozglądają się za gromadką swych dzieci.

WYHAMOWANE I NABUZOWANI

W zasadzie nie ma sprawy, nie ma o czym pisać... Jednak ostatnio, w sobotni wieczór, grupa śniadych młodzieńców na stołecznym corso zachowywała się już irytująco, prowokacyjnie. Co więcej, następnego dnia, czyli w niedzielę, minęła mnie grupa kobiet zakwefionych. Czy to był na pewno kwef, czy raczej tzw. nikab całkowity – nie potrafię orzec. Istotne jest to, że odziane były na czarno, z wąską szczeliną na oczy. Taki efekt dają kominarki, zapewniając nierozpoznawalność osoby. Jednak kominarki zakłada się tylko w warunkach ekstremalnych: pogodowych (mroźny wiatr) lub społecznych (walka, demonstracja, napad rabunkowy), nie na co dzień.

To jedna z istotnych różnic cywilizacyjnych, teraz dodatkowo wyjaskrawiona z powodu zagrożenia terroryzmem. Właśnie dlatego we Francji zakazano niedawnego noszenia burek, które nie tylko zakrywają twarz, lecz także wręcz utrudniają identyfikację płci noszącej je osoby. Zapowiadana przez PiS niezgoda na politykę multi-kulti przesądziła o wyniku wyborów w roku 2015. Widok polskich ulic trzy lata później, a także podpisanie skrajnie promigracyjnej deklaracji UE z Marrakeszu (2 maja 2018 r.), każą powątpiewać w dalszą obowiązywalność składanych Polakom obietnic.

Z oficjalnych statystyk w witrynie Migracje.gov.pl wynika, że liczba wniosków o zgodę na pobyt w Polsce z roku na rok szybko rośnie. Ich lwią część składają obywatele Ukrainy, którym wojewodowie w 2017 r. oraz w połowie 2018 r. wydali blisko 120 tys. zezwoleń na pobyt czasowy oraz przeszło 12 tys. na pobyt stały. Oprócz nich najczęściej o zgodę na pobyt w Polsce wnioskowali w zeszłym roku obywatele Białorusi, Indii, Wietnamu oraz Chin, odpowiednio 9, 8, 6 i 6 tys. składanych wniosków.

Na tym tle reszta świata, także ta egzotyczna, liczbowo wypada skromnie,

ale pewne wielkości mogą jednak zastanawiać. Polscy wojewodowie wydali w roku 2017 pozwolenia na pobyt czasowy m.in. dla 248 obywateli Algierii, 416 osób z Azerbejdżanu, 575 – z Bangladeszu, 479 – z Egiptu, 4015 – z Indii, po 104 – z Indonezji i Jordanii, 711 – z Iraku, 221 – z Iranu, 155 – z Kirgistanu, 642 – z Nepalu, 610 – z Pakistanu, 1863 – z Turcji, 733 – z Uzbekistanu, a także (co może zaskakiwać) aż dla przeszło pół tysiąca (550) przybyszów z obywatelstwem Arabii Saudyjskiej.

Powie ktoś, to nie tak dużo, zaledwie 11,5 tys. osób... Jednak liczby puchną z dnia na dzień, od początku stycznia przybyło nam już 2724 osoby z Indii, 1264 – z Turcji, 461 – z Nepalu, 390 – z Pakistanu, o cztery tylko mniej z Bangladeszu, 367 – z Uzbekistanu, 351 – z Egiptu, 334 – z Iraku, 258 – z Arabii Saudyjskiej, 205 – z Algierii, czyli 6,7 tys. nowych przybyszów w ciągu półrocza. W sumie w 18 miesięcy ponad 18 tys. egzotycznych przybyszów. Przy tej liczbie, nie tylko 2,7 tys. przyjeżdżących z UE migrantów, co sygnalizował we Francji eksperymentalny minister Czaputowicz, lecz także nawet pochopna obietnica Ewy Kopacz (głupie 7,5 tys.) nie sprawiają specjalnego wrażenia...

Szybko rosnący u nas odsetek muzułmanów z państw azjatyckich i Bliskiego Wschodu niepokoi. Można się wprawdzie pocieszać faktem, że – jak dotąd – przybysze występują głównie o pobyt czasowy, ale w epoce bardzo ułatwionej mobilności wniosek o zgodę na pobyt czasowy wiąże się z wyborem racjonalnej strategii życiowej jednostki. Tym bardziej że zawsze można taki wniosek ponowić.

Rozumiem, że wygnanie ok. 2 mln młodych i rzutkich Polaków na eurolunijne saksy przez sprzeczne z polską racją stanu działania ekipy Donalda Tuska spowodowały wyrwę społeczną, boleśnie odczuwalną na rynku pracy. Tyle że rodziny zamożnych muzułmanów, widywane podczas spacerów na Trakcie Królewskim, nie dostarczają potrzebnych rąk do pracy. Tym bardziej nie należy liczyć, że na twarzą harówkę w prywatnych firmach, usilnie szukających pracowników, zdecydują się młodzi mężczyźni, którzy marzą raczej o doraźnym ugaszeniu pożaru libido.

Jeśli powrót do kraju najmłodszej emigracji jest, ze względów ekonomicznych, niezbyt realny, to lepiej postawić na pracowników z geograficznie wprawdzie odległych, ale katolickich Filipin... PiS-ie, nie idź drogą z Marrakeszu, nie umawialiśmy się na multi-kulti. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

o podrzędnej pozycji Polaka-katolika konserwatysty, który we własnej ojczyźnie miałby się czuć nie tylko kimś gorszym, lecz także – co więcej – zagrożonym przez masowe gwałty, niesprobowaną przemoc oraz przez wyjęte spod kontroli państwa dzielnice praktycznego szariat, dobrze zapamiętali słowa Jarosława Kaczyńskiego mówiącego o ponad 50 strefach „no-go-zones” w Szwecji.

Z pewnością zapamiętali też dobitne zapewnienia lidera PiS, że nieodpowiedzialnej i nielojalnej zgody na przymusową relokację migrantów, którą wbrew wcześniejszemu porozumieniu państw Grupy Wyszehradzkiej zadeklarowała premier Ewa Kopacz, nasz kraj w żaden sposób nie zamierza akceptować. Wreszcie to na prezesa Kaczyńskiego spadło niemal odium rasisty, gdy publicznie wspominał o oczywistych zagrożeniach epidemiologicznych, które w razie masowej, międzykontynentalnej wędrowki ludów, do tego związanej z istotnymi zmianami stref klimatycznych, bez stosowania niezbędnych okresów kwarantanny są praktycznie nie do uniknięcia.



Rafał A. Ziemkiewicz

Nawet jeśli imigracja jest nieuchronna, to powinniśmy zachować nad nią kontrolę. PiS zdaje się tym nie przejmować

Media dawno już straciły wobec polityków – jeśli w ogóle kiedykolwiek ją sprawowały – funkcję kontrolną, którą przypisywali im ojcowie założyciele demokracji. Wciąż jednak, przy spełnieniu pewnych warunków, są w stanie skłonić polityków do określonych zachowań. Jednym z tych warunków jest w czasach „brand journalism” czy też, mówiąc z polską, „dziennikarstwa tożsamościowego”, to, że medium musi być „swoje”.

Dla przykładu: żadna krytyka opozycji totalnej ze strony TVP czy „Gazety Polskiej” nie wpłynie w najmniejszym stopniu na jej postępowanie, co najwyżej utwierdzi w przekonaniu, że skoro „plują”, to, znaczy się, jest dobrze. Krytyka ze strony TVN albo „Polityki”, jako medium oddziałującego na ich zaplecze, przyjmowana jest zupełnie inaczej. Zazwyczaj uruchomieniem śledztwa, by ustalić, jaki to frakcyjny spisek „przetawiał wajchę” w „naszej” redakcji.

I odwrotnie. Dopóki Jan Pospieszalski nie zrobił w TVP Info programu „Warto rozmawiać” o masowym napływie do Polski imigrantów – już nie tylko z wschodniej granicy, lecz także z odległych państw muzułmańskich – dopóty w oficjalnym dyskursie władzy problem nie istniał. Imigranci? A, to ci, których jako rzekomych „uchodźców” próbowała nam tu zasadzić PO! Obroniłiśmy przed tym Polskę i nigdy nie pozwolimy, żeby... itd.

Podnosiły się oczywiście coraz mocniejsze głosy, że w Warszawie i innych wielkich miastach nie sposób zrobić kroku, by się nie natknąć na zarobkującego cudzoziemca, że na takim Okęciu czy Gocławiu powoli tworzą się kolorowe blokowiska, gdzie etnicznego Polaka szukać ze świecą i że w świetle tego, co się dzieje na Zachodzie, lepiej dmuchać na zimne dopóty, dopóki jeszcze jesteśmy w stanie czemuś zapobiec. Jednak były to głosy zupełnie ignorowane.

Dopiero Pospieszalski wydobyl z PiS-owców głos. Nie w samym programie,



bo tam dziwnym trafem żaden polityk rządzącej partii przyjąć nie chciał (a niby TVP taka ręcznie sterowana?), ale w mediach społecznościowych.

Niestety, te wypowiedzi rozjuszyły jeszcze bardziej polityków PiS zaniepokojonych imigracją. Były to bowiem przeważnie gołosłowne, tromtadrackie oświadczenia, że PiS obiecywał, iż imigrantów nie wpuści, i nie wpuści. Jak nie wpuści, kiedy już wpuścił? I niedwuznacznie zapowiada, że „uzupełni ubytki na rynku pracy” poprzez jego otwarcie – wiadomo przecież, na kogo? Wmawianie Polakom, że tłumy imigrantów, które widzą we własnym sąsiedztwie, to „fejk niusy”, raczej ich nie przekonają.

@

Może prawdą jest, jak głosi anegdota, że Komendant nie zagląda do Internetu, natomiast – podobnie jak większość jego pokolenia – ogląda telewizję, i to właśnie TVP, więc gdy się z niej dowiedział o problemie, politycy z jego partii poczuli się w obowiązku działać, to znaczy, wypowiadać się. Może ktoś zauważył, że o ile jeszcze pół roku temu widywało się

w Polsce tylko młodych śniadych mężczyzn, o tyle dziś równie często widać ich kobiety i dzieci, co oznacza, że ich bytność w Polsce nie jest już „saksami”, tylko osiedleniem. A może widok pakietańskich, hinduskich i innych diabli-wiedzą-skąd-przybyłych rodzin zaczął być powszechny nie tylko w niezwykłych PiS wielkich miastach, lecz także za rogatkami – tam, gdzie w większości żyje żelazny elektorat tej partii? I że to ten elektorat zaczął się bać, a jego strach dotarł do zajętych dotąd bez reszty innymi sprawami polityków? A może przełom wywołał fakt, że miejsce przybyszów z dawnych kresów, jakoś tam oswojonych i poza akcentem nieodróżniających się za bardzo od Polaków, zajmować zaczęli osobnicy o wyglądzie jednoznacznie egzotycznym, w turbanach albo z kolorowymi kropkami między brwiami?

W każdym razie fala PiS-owskiego pustostawia na kontach społecznościowych pokazała, że – żadne skądinąd odkrycie – skoro Komendant o tym nie myślał, to i nikt nie myślał, a jeśli nawet ktoś może myślał, to się nie wychylał, żeby się potem nie okazało, że myślał nie to co On.



FOT. ADAM GHESTOWSKI/FORBIS

którzy wyjechali i nie wrócą, kimś ich trzeba zastąpić – i to nie na przyjezdne, na stałe. A Polacy ze Wschodu, których PiS obiecywał sprowadzić z powrotem „na ojczyzny łono”? To by oznaczało koszty, wypadaloby im organizować jakieś domy, pracę, i w ogóle – a taki Azer czy Pakis, wobec którego nie mamy żadnych moralnych zobowiązań, zainstaluje się tu sam i jeszcze będzie szczęśliwy, jeśli będzie zarabiał tyle, za ile Polakowi nie chce się rano wstawać z łóżka.

Trzeba naprawdę tłumaczyć, jak bardzo krótkowzroczne jest takie myślenie? A co będzie za kilka lat, gdy obecna koniunktura, napędzana reformami Trumpa, się skończy i śniadoliczy przybysze okażą się już niepotrzebni pracodawcom – dziś intensywnie lobbującym na szerokie otwieranie granic przed każdym, i im tańszy, tym lepszy? I wtedy to oni uświadomią sobie, że nie mają wobec kraju, w którym osiedli, żadnych moralnych zobowiązań.

@

Mówiąc nawiasem, jeśli pan minister naprawdę sądzi, że imigranci instalują się tu sami, to jest w grubym błędzie. Oczywiście, różnie bywa, ale pojawiające się tu i tam faksymilki ogłoszeń z egzotycznej prasy, obiecujących za tyle a tyle rupii, dongów czy hryvien pracę w Polsce, a nawet polskie obywatelstwo, nie są fejkami. Nie chcę dłużyć sporu o Ubera, ale ta właśnie korporacja, w swej odnodze obwoźnej gastronomii, jest tego doskonałym przykładem. Mówiąc nawiasem – już po moim artykule przyszła wieść, że uberopodobny serwis Taxify właśnie przestał wymagać od kierowców znajomości języka polskiego.

Sam jestem gospodarczym liberałem, tak jak broniący Ubera argumentem nowoczesności Jacek Przybylski, ale widąc po większych przejściach, bo argument, że jak taksówkarze domagają się zakazania Ubera, to tak jakby hotelarze domagali się zakazania prywatnych pensjonatów, uważam za groteskowy. Aż chce się powiedzieć: i jakby banki domagały się zakazania udzielania pożyczek parabankom... a potem dodać złośliwie: „Oh, wait!”. Czy naprawdę trzeba tłumaczyć, że istnieją godziwe powody licencjonowania pewnych dziedzin działalności gospodarczej (podkreślam: licencjonowania, nie koncesjonowania)? Oczywiście możemy przyjąć, że każdy każdemu może świadczyć usługę przewozową, ale

bądźmy konsekwentni. Czemu w takim razie nie budowlaną? Po diabła inżynierskie dyplomy, uprawnienia dla architektów? Jakiś budowlany „uber” sprowadzi specja od lepiarek, który zbuduje na oko, będzie taniej. A jak się zawali rodzinie na łeb, powie: „ouups”.

Ja zresztą wcale nie o tym pisałem, bo działania nowoczesnych serwisów internetowych można regulować różnymi przepisami, o czym zresztą Jacek pisze, i tak się robi – tylko nie u nas. W tym właśnie problem, że obecnie państwo polskie, tam gdzie nie popycha go żelazna wola Komendanta, najchętniej nie robi nic, świetnie ukrywając to w zgiełku plemiennej wojny PiS z antypisem. Co doprowadza do takiej sytuacji, jakby części, użyjmy takiego przykładu, kierowców kazano po staremu jeździć prawą stroną, a części, tym, którzy do ruchu dopiero się włączają, pozwalano po nowemu – lewą.

Argument pracodawców, że ktoś musi tę bawelnę zbierać, a jak Polak wyjechał albo ma rozbudzone oczekiwania płacowe, to trzeba kupić na plantację Murzyna (tak, celowo sięgam po „język nienawiści”), jest demagogiczny. Bo mówią tak ludzie zainteresowani tym, żeby płacić jak najmniej. A co będzie, jeśli „Murzyni” też się z czasem zdeprawują w naszym dobrobycie i zaczną zawyżać oczekiwania płacowe? Kupimy jeszcze tańszych od Kim Dzong Una? (były już takie przypadki i może trwają). A co wtedy z tymi, którzy się już osiedlili, poprosimy, żeby już sobie poszli?

Należę do pokolenia uodpornionego na argument determinizmu – że coś musimy, bo nowoczesność albo bo demografia, albo bo cokolwiek. Całe dzieciństwo wmawiano mi, że jak partyjniacy nas depczą, to nie ma rady, muszą, bo to socjalizm, a socjalizm to przyszłość, cały świat wybiera socjalizm i tylko socjalizm w ogóle. A potem ci sami mędrcy, z „naukowcami” od problemów marksizmu-leninizmu z dnia na dzień zaczęli głosić, że partyjniacy nadal nas muszą deptać, teraz już jako kapitaliści, bo tylko kapitalizm, i nie ma inaczej niż kapitalizm.

Może i imigracja jest nieuchronna, ale rzecz w tym, jak się będzie odbywać. Trzeba mieć swoją wyspę Ellis, trzeba zachować kontrolę nad tym, kogo się wpuszcza, i narzędzia, by w razie zagrożenia reagować. U nas wszystko jest puszczane na żywioł, co się będziemy się martwić, niech się martwią ci, którzy będą rządzić następnymi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Przestrogi przed niekontrolowaną imigracją, apele o jej powstrzymanie i potrząsanie Polakami przez przywoływanie przykładów zachodnich stały się domeną narodowców, o których PiS ma przecież takie samo zdanie jak środowisko „Gazety Wyborczej”, choć z taktycznych powodów nie stara się swą niechęcią do endeckiej tradycji i młodzieży z Marszu Niepodległości aż tak epatować.

Innym, bardziej dobitnym wykwitem PiS-owskiej beztroski było zorganizowane na początku września spotkanie Klubu Jagiellońskiego z wiceministrem inwestycji i rozwoju Pawłem Chorałym. Pewnie pluje on sobie teraz w brodę, bo uspokojony kameralnym charakterem spotkania pozwolił sobie na dużą swobodę, tymczasem zapis rozmowy odbił się szerokim echem w licznych publikacjach. Owszem, resort przygotowuje otwarcie rynku pracy, preferowani są Ukraińcy i Białorusini, ale ci wybierają coraz częściej kraje zachodnie, więc – Indie, Azerbejdżan, „stany” (tzn. Kazachstan, Uzbekistan etc.)... A tak naprawdę, to kto akurat zechce przyjechać. Polska gospodarka straciła miliony młodych ludzi,



Jan Hlebowicz

Konkretny plan, środki, zespół fachowców – Muzeum II Wojny Światowej ma wszystko, by w końcu nadać Westerplatte rangę, na którą zasługuje. Swoje weto zgłasza prezydent Gdańska Paweł Adamowicz

FOT. LUKASZ JANUSZ FOTOLIA

Bitwa o Westerplatte

Mija blisko rok, od kiedy dr Karol Nawrocki oficjalnie objął funkcję dyrektora MIIWŚ w Gdańsku. W tym czasie wystawa stała miała zostać zniszczona, a instytucja o międzynarodowym charakterze zamienić się w lokalny ośrodek bez większych aspiracji. Nic takiego się nie wydarzało. Jednak przed władzami MIIWŚ wciąż stoi najważniejsze zadanie – przywrócenie blasku Westerplatte.

PUŁAPKA TOTALNEJ KRYTYKI

Oponenci obecnej dyrekcji MIIWŚ od dłuższego czasu sami wpadają w zastawione przez siebie sidła „totalnej krytyki”. Z jednej strony twierdzą, że dyrektor Nawrocki „przyszedł na gotowe” i przypisuje sobie „nie swoje zasługi”. Z drugiej aktywność nowych władz muzeum oraz proces uzupełnienia ekspozycji – chociażby poprzez uwypuklenie postaci Ireny Sendlerowej, św. o. Maksymiliana Kolbego czy rtm. Witolda Pileckiego – określane są jako „niszczenie” i „dewastacja”. A więc i tak źle, i tak niedobrze. „Jak dotąd jego

[dyr. Nawrockiego – przyp. J.H.] jedyne »osiągnięcia« to niszczenie wystawy stworzonej przez najwybitniejszych historyków polskich i światowych” – mówił w maju 2018 r. portalowi Gdansk.pl prof. Paweł Machcewicz, poprzedni dyrektor placówki.

O tym, że spór o MIIWŚ jest bardziej ideologiczny i polityczny niż merytoryczny, świadczy również niedawny wpis Pawła Adamowicza, od początku jednego z głównych oponentów obecnej dyrekcji. Prezydent Gdańska w mediach społecznościowych oraz na swoim blogu napisał o potrzebie większego upamiętniania ofiar tzw. operacji antypolskiej NKWD w ZSRS w latach 1937–1938. Po chwili prezydentowi odpowiedział dr Marek Szymaniak, kierownik Działu Naukowego MIIWŚ. Wskazał, że ludobójstwo dokonane na Polakach w Związku Sowieckim zostało kilka miesięcy wcześniej uwzględnione na wystawie stałej. „Dzięki temu codziennie tysiące osób mogą się dowiedzieć o tej kaźni albo nad nią zadumać, właśnie w tym miejscu. Jak pan myśli, to dobra zmiana? Czy może raczej, tak jak przed objęciem

funkcji dyrektora przez dr. Nawrockiego, wystawa główna MIIWŚ powinna o tym ludobójstwie nadal milczeć?” – pytał prezydenta. „Wprowadzanie zmian w wystawie stałej MIIWŚ nie może być usprawiedliwione takimi argumentami [...]. To, co robi Karol Nawrocki z wystawą w MIIWŚ, to dewastacja” – przeczytał w odpowiedzi od miesięcy powtarzaną mantrę.

NA MIĘDZYNARODOWĄ SKALĘ

Nowe władze MIIWŚ od początku próbowano także atakować, podważając skalę działań i skuteczność prowadzonej polityki. Profesor Machcewicz – historyk o niewątpliwie bogatym dorobku naukowym, posiadający rozległe kontakty zagraniczne – był, zdaniem zwolenników poprzedniej dyrekcji, jedynym gwarantem powstania muzealnego ośrodka o międzynarodowym charakterze i rezonansie. Jego następcą miał nie udźwignąć tego ciężaru, a placówka aspirująca do roli jednego z ważniejszych muzeów na świecie miała zamienić się w lokalną, niewiele znaczącą instytucję prowadzącą działania w mikro-

skali. „Nie ma dziś szans, żeby Muzeum współpracowało z największymi i renomowanymi instytucjami na świecie [...] Muzeum nie zyska takiej rangi, jaką by mogło” – podkreślał były dyrektor w rozmowie z Onet.pl w lipcu 2017 r. Jednak aktywność MIIWŚ prowadzona od kwietnia 2017 r. do września 2018 r. pokazuje, jak bardzo mylne były to prognozy. W tym czasie muzeum udzielało się w organizacjach i stowarzyszeniach międzynarodowych, m.in. Liberation Route Europe i International Council of Museums, oraz gościło u siebie (nawiązując współpracę) przedstawicieli zagranicznych muzeów z Japonii, Chin, Norwegii, Ukrainy oraz Ugandy. Powstały dwie wystawy o zasięgu międzynarodowym, a także odbyły się spotkania m.in. z prof. Stephenem Hicksem, kanadyjsko-amerykańskim filozofem, na temat narodzin narodowego socjalizmu, czy Jackiem Fairweatherem, brytyjskim korespondentem wojennym i dziennikarzem. Z kolei przedstawiciele MIIWŚ uczestniczyli w konferencjach zagranicznych, występując w Brukseli (Holocaust Remembrance Day), Rzymie, Wiedniu, Tel Awiwie, Petersburgu, Mińsku i Ałma Acie, a także poprzez wyjazdy zagraniczne rozpoczęli wspólne działania z The National WWII Museum w Nowym Orleanie oraz Pacific Historic Parks.

O pozycji MIIWŚ pod rządami dr. Nawrockiego świadczy zaś przede wszystkim międzynarodowa konferencja naukowa „World Battlefield Museums Forum” (4–6 września), w której wzięli udział przedstawiciele ośrodków badających, opisujących i upowszechniających historię największych pól bitewnych na świecie – od Maratonu, przez Waterloo, Gallipoli, Verdun, do Pearl Harbor. MIIWŚ, występując w roli gospodarza tego wydarzenia, pokazuje, że jest instytucją mającą najwyższe aspiracje.

Dla porównania, jak wynika z raportów rocznych z lat 2010–2016 w kategorii działalność naukowa, za rządów prof. Machcewicza MIIWŚ nie zorganizowało ani jednej konferencji o zbliżonej skali. Nieobecności takiego wydarzenia nie można tłumaczyć brakiem siedziby. Wystąpienia naukowców z powodzeniem mogłyby się odbyć np. w sali konferencyjnej Europejskiego Centrum Solidarności lub na Uniwersytecie Gdańskim.

Jednym z najważniejszych założeń MIIWŚ pod rządami nowej dyrekcji od samego początku było przywrócenie blasku Westerplatte, zbudowanie na półwyspie

nowoczesnego plenerowego muzeum oraz przekonanie świata, że to właśnie tu rozpoczęła się II wojna światowa. Wiele już udało się zrobić. Na terenie dawnej Wojskowej Składnicy Tranzytowej przeprowadzone zostały pierwsze po 1945 r. tak kompleksowe badania archeologiczne.

Wykopaliska objęły teren, na którym niegdyś znajdowały się m.in.: Willa Oficerska, Wartownia nr 5, stare koszary oraz fragment budynku administracyjnego. Naukowcy szczegółowo zinventaryzowali wówczas relikty wspomnianych budowli oraz wydobyli z ziemi kilka tysięcy przedmiotów. Wiele z nich było związanych bezpośrednio z bohaterską walką, którą stoczyli Polacy z niemieckim agresorem. Pokłosiem wykopalisk była wystawa „Westerplatte w 7 odsłonach”.

Co ciekawe, w toku prac archeologicznych okazało się, że na terenie półwyspu wciąż znajdowało się wiele... niewybuchów – pocisków artyleryjskich, granatów ręcznych, fragmenty lotniczych bomb zapalających, a nawet słynne pancerfausty. Wszystkie niewypały zostały usunięte przez saperów, a następnie przewiezione na poligon i zdetonowane. Trudno uwierzyć, że choć od zakończenia II wojny światowej minęły 73 lata, półwysep nie został wcześniej oczyszczony z zagrażających życiu ludzi przedmiotów.

Kolejnym krokiem po kompleksowych badaniach archeologicznych było zaprezentowanie przez dyrekcję MIIWŚ koncepcji budowy nowoczesnego plenerowego muzeum na terenie pola bitwy. W celu realizacji tego planu dr Nawrocki złożył prezydentowi Adamowiczowi ofertę kupna gruntów na Westerplatte. Propozycja była opcjonalna – gdyby miasto nie chciało przekazać terenu bezpłatnie, placówka zaoferowałaby za niego 2 mln zł. Nie wyrażając na to zgody, prezydent Gdańska rekomendował radnym przekazanie części półwyspu w formie darowizny na rzecz miejskiego Muzeum Gdańska, które ma być odpowiedzialne za stworzenie na Westerplatte... własnej placówki muzealnej.

Dla znających gdańskie realia nie jest tajemnicą, że MG (do niedawna Muzeum Historyczne Miasta Gdańska) nigdy nie specjalizowało się w okresie II wojny światowej. Pracownicy miejskiego muzeum – wśród nich wielu świetnych specjalistów – historyków i edukatorów, od lat skutecznie popularyzują przede wszystkim nowożytnie dzieje miasta nad Motławą. Niestety, od pewnego czasu MG staje się politycznym narzędziem w rękach

prezydenta Adamowicza, który sztucznie przedstawia tę placówkę jako alternatywę dla MIIWŚ w kwestii zagospodarowania i rewitalizacji Westerplatte.

POLITYCZNA GRA?

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że w tym wszystkim nie o dobro miejsca symbolu chodzi, ale o polityczną grę i partylukarne interesy. Już w sierpniu 2005 r., w wypowiedzi dla „Dziennika Bałtyckiego”, Adamowicz przyznawał: „Biję się w piersi, bo dopuściliśmy się wieloletnich zaniedbań na terenie składnicy”. Od złożonej samokrytyki minęło kolejnych 13 lat. Przez ten czas prezydent Gdańska niewiele zrobił, by poprawić stan półwyspu, który systematycznie popadał w coraz większą ruinę, bardziej przypominając zaniedbany park niż wyjątkowe miejsce pamięci. Powołana w 2009 r. Rada ds. Pola Bitwy na Westerplatte przy Prezydencie Miasta Gdańska okazała się bardziej bytem fasadowym niż działającym realnie.

Podnieść rangę Westerplatte przez blisko 10 lat mógł także (przy współpracy z prezydentem Adamowiczem) prof. Machcewicz. Owszem, na półwyspie powstała interesująca wystawa plenerowa, na której jednak samej bohaterskiej obronie półwyspu z 1939 r. poświęcono zaledwie jeden blok tematyczny z czterech. Tak, na Westerplatte odbywały się także potrzebne warsztaty edukacyjne dla dzieci i młodzieży. Uczciwie trzeba jednak dodać (na co niestety nie są się w stanie zdobyć poprzednia dyrekcja muzeum, a także wieloletni wóldar miasta), że były to wszystko działania marginalne w stosunku do potrzeb i rangi tak ważnego miejsca.

W końcu, gdy pojawiła się bardzo konkretna propozycja MIIWŚ zagospodarowania terenu dawnej Wojskowej Składnicy Tranzytowej, zespół 120 ludzi – historyków, archeologów oraz edukatorów – kilkanaście tysięcy gotowych do wykorzystania eksponatów, a przede wszystkim środki na realizację budowy muzeum z prawdziwego zdarzenia (ok. 100 mln zł), prezydent Adamowicz powiedział: „Nie pozwalam”. Chociaż sam miał kilkanaście lat na zainteresowanie się (długofalowe i kompleksowe, a nie doraźne ani powierzchniowe) promocją Westerplatte oraz uczynienie z półwyspu wizytówki nie tylko miasta, lecz także całego kraju, to dziś, kiedy pojawiła się realna szansa na jakościową zmianę, niestety zdecydował się ją zablokować.



Filip Memches

Liberałowie i lewica III RP dążą do ustanowienia trwałego „rządu dusz”, zwalczając polskie kulturowe DNA

Tegorocznym obchodom rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego towarzyszyła kampania „Polska Walcząca przeciw faszyzmowi”. Jak wyjaśniali na Facebooku swoje intencje inicjatorzy tego przedsięwzięcia, chodziło o odebranie „kotwicy” środowiskom nacjonalistycznym, które – według nich – ją zawłaszczyły.

Zarzut dotyczył łączenia emblematu Polski Walczącej z falangą czy krzyżem celtyckim. A więc – co trzeba przyznać – obecnie symbolami młodzieńczego radykalizmu, który zdradza charakterystyczną dla subkultur fascynację przemocą polityczną. Jeśli tak, to nie ma tu miejsca na powagę pamięci o Powstaniu Warszawskim.

Falangą i krzyżem celtyckim epatują ludzie zapatrzeni w nacjonalistyczne ruchy międzywojennej Europy. Owszem, w Polsce ruchy te – tak było w przypadku radykalnych nurtów Narodowej Demokracji – traktowały III Rzeszę jako wroga i miały w swoich szeregach bohaterów walki z niemieckim okupantem. A jednak osoby, którym obecnie one imponują, używają retoryki i gestów kojarzących się z jakimś opartym na plemiennych instynktach suprematyzmem, a nie etosem Powstania Warszawskiego. Skądinąd krzyż celtycki nie odwołuje się do polskiego chrześcijańskiego nacjonalizmu okresu międzywojennego, lecz do neopogańskich wątków tkwiących między innymi w niemieckim narodowym socjalizmie.

ZRÓWNANIE FASZYZMU Z NAZIZMEM

Czy inicjatorzy „Polski Walczącej przeciw faszyzmowi” mieli kogoś konkretnie na myśli? Na Facebooku dostaje się Młodzieży Wszechpolskiej i Obozowi Narodowo-Radykalnemu. Można się jednak domyślać, że na ławie oskarżonych siedzą też: kibice piłkarscy, uczestnicy rekonstrukcji historycznych, skinheadzi. Warto jednak wnikać głębiej w przekaz kampanii.



Stalin

– patron obrońców demokracji

W gruncie rzeczy sprawa nie dotyczy zjawisk subkulturowych, a więc takich, które nie mają szans znaleźć się w głównym nurcie polskiego życia publicznego. W III RP termin „faszyzm” używany jest – tak jak to było w PRL – jako obelga, nie zaś jako określenie znanej z dziejów Europy ideologii.

Co rusz politycy prawicowi słyszą o sobie, że są „faszystami”. W warunkach polskich jest to de facto równoznaczne z nazwaniem ich nazistami. Wystarczy być dumnym z podziemia antykomunistycznego, wojującego od roku 1945 z utrwalaczami władzy ludowej, i występować przeciw prawu do aborcji, związkom partnerskim czy zakazowi klapsów, a zostanie się uznanym za orędownika zamordyzmu i niemal zwolennika Adolfa Hitlera.

„Polska Walcząca przeciw faszyzmowi” może również stanowić slogan potępiający przywołanych już wcześniej działaczy i sympatyków polskich ruchów nacjonalistycznych, którzy stawiali czoło okupantowi niemieckiemu i ponieśli śmierć z jego rąk. Tak było w przypadku m.in. Stanisława Piaseckiego, Jana Mosdorf, Andrzeja Trzebińskiego i Tadeusza

Gajcego. Marzyli oni o Polsce jako wielkim chrześcijańskim imperium i snuli mocarstwowe plany. Dzisiaj z pewnością głosząc takie poglądy, zostaliby okrzyczani mianem „faszystów”.

Owo „antyfaszystowskie” wzmożenie nie jest jednak niczym nowym. I nie

W III RP termin „faszyzm” używany jest – tak jak to było w PRL – jako obelga, nie zaś jako określenie znanej z dziejów Europy ideologii

zaczęło się w Polsce. Trzeba pochwalić Państwowy Instytut Wydawniczy za wznowienie polskiego przekładu książki François Fureta „Przeszłość pewnego złudzenia”, bo wyjaśnia ona wiele mechanizmów, o których mowa.

Autor – zmarły w roku 1997 znany francuski historyk – był w młodości działaczem komunistycznym. Potem stał się bezlitosnym krytykiem komunizmu. W swoim opublikowanym w roku 1995

monumentalnym dziele pokazał, jak wielu ludzi dało się tej ideologii uwieść.

Furet twierdził, że – wbrew powszechnej opinii – termin „totalitaryzm” nie pojawił się wraz z sowietologicznymi analizami epoki „zimnej wojny”. Przysłowiowy „totalitarny”, używany w pozytywnym znaczeniu przez Benita Mussoliniego, funkcjonował już w latach 20. ubiegłego wieku. Odnosił się do nowych systemów, które nie mieściły się w ówczesnej klasyfikacji ustrojów politycznych.

Według Fureta zarówno w Rosji, jak i we Włoszech kategoria wszechwładnej „woli totalitarnej” nie oznaczała rządów lekceważącego prawo despoty. Symbolizowała ona pewną nowość na arenie dziejów – państwo, które brutalnie integrując w swoim łonie wszystkich obywateli, kontrolowało za pomocą zaawansowanej techniki i innych zdobyczy nowoczesności całość życia społecznego.

ZŁO CZAI SIĘ W TRADYCJI?

Czytając książkę Fureta, warto zwrócić szczególną uwagę na rozdział zatytułowany „Kultura antyfaszystowska”.

REKLAMA

ALEX PETTYFER ROBERT WIĘCKIEWICZ TALULAH RILEY PIOTR STRAMOWSKI ORAZ MICHAEL GAMBON

KATYŃ
OSTATNI ŚWIADEK

CZŁOWIEK, KTÓRY ODKRYŁ PRAWDĘ

JUŻ NA DVD

■ To studium dyskursu, który od połowy XX stulecia rządzi wyobraźnią polityczną po obu stronach dawnej żelaznej kurtyny.

Aż do lat 30. Związek Sowiecki uchodził na Zachodzie wśród socjalistów (niekomunistycznej lewicy) i liberałów za państwo bezwzględnie wrogie zachodnim demokracjom. Traktowany był przez nich jako takie samo zagrożenie jak „faszyści”. To pojęcie obejmowało nie tylko nominalnie faszystowski reżim Mussoliniego we Włoszech, lecz także rosnących w siłę narodowych socjalistów w Niemczech oraz ruchy nacjonalistyczne w innych krajach europejskich.

Potem jednak sytuacja się zmieniła. Stało się tak dlatego, że ZSRS, za pośrednictwem Kominternu, podjął wobec opinii publicznej w takich krajach jak Francja i Wielka Brytania pewną grę. Postanowił kreować się na sojusznika

kiego zwrotu, ponieważ nie wypaliła jego propozycja trójstronnego układu wojskowego (ZSRS, Francja, Wielka Brytania). Później jednak – gdy w roku 1941 Niemcy zaatakowały Związek Sowiecki – Kreml znowu wrócił na „antyfaszystowskie” pozycje.

Podsumowując te rozważania Fureta, możemy wyciągnąć następujący wniosek: gigantyczny wkład Armii Czerwonej w zwycięstwo aliantów nad III Rzeszą sprawił, że wróg ludzkości pozostał jeden – „faszyzm”. W ten sposób „kultura antyfaszystowska” stała się podstawą swoistej teologii politycznej, która zakłada, że zło czai się tam, gdzie ludzie afirmują naród, ojczyznę, rodzinę, tradycję.

Nie inaczej jest od początku III RP. Można odnieść wrażenie, że w kręgach wywodzących się z lewicy solidarnościowej za kulminację komunistycznych zbrodni przyjęło się uważać nie to, co

munizacja jednej ze stołecznych ulic. Jej patronem przestał być komunista Józef Lewartowski, a został nim bundowiec (socjalista) Marek Edelman.

Wywołało to oburzenie Henryka Szlajfera, w III RP dyplomaty, w PRL działacza opozycji. Używał on argumentów z czasów Frontów Ludowych (znów kłania się to, o czym pisał Furet): nie godzi się przeciwstawiać Edelmana Lewartowskiemu, bo przecież obydwa ci żydowscy bojownicy dzielnie się przeciwstawiali niemieckiemu okupantowi. To, że Lewartowski w latach 1939–1941 kolaborował z okupantem sowieckim na ziemiach wschodnich II RP, jest dla „antyfaszystów” bez znaczenia.

WALKA O RZĄD DUSZ

Warto zatem znać korzenie polityki historycznej, którą Polakom usiłują narzucić środowiska alergicznie reagujące nie tylko na falangę i krzyż celtycki (to jeszcze można zrozumieć), lecz także na mieczyk Chrobrego – emblemat międzywojennego Stronnictwa Narodowego.

W roku 2006 Alina Cała, historyk kandydująca wtedy w wyborach samorządowych do warszawskiej rady miasta z listy Zieloni 2004, postulowała, żeby w Warszawie nie stawiać pomnika Romanowi Dmowskiemu – politykowi wywołującemu różne emocje, ale przecież niewątpliwie jednemu z ojców polskiej niepodległości. Z kolei w roku 2012 Janusz Palikot, wówczas poseł na Sejm RP, nazwał Dmowskiego wprost hitlerowcem. Na tych przykładach widać dążenia do zdezwuowania ważnego nurtu polskiej międzywojennej prawicy jako „faszystowskiego”.

W Polsce „antyfaszyzm” jest przekazem międzypokoleniowym. Łączy rozentuzjasmowanych ideowo komunistów okresu stalinowskiego, marksistowskich rewizjonistów lat 60. i 70. oraz lewicę i liberałów III RP. Na celu ma zaś ustanowienie trwałego „rządu dusz”, sprawowanego przez modernizatorów, którzy zwalczając polskie kulturowe DNA, próbują choćby zmarginalizować rolę Kościoła katolickiego jako moralnego wychowawcy.

Być może zatem jest coś prawdziwego w stwierdzeniu, że dziś trwa konflikt trzeciego pokolenia AK z trzecim pokoleniem UB. A stawką tego starcia jest to, do kogo będą należeć dusze Polaków.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą magazynu Tygodnik.tvp.pl.

W Polsce „antyfaszyzm” jest przekazem międzypokoleniowym. Łączy rozentuzjasmowanych ideowo komunistów okresu stalinowskiego, marksistowskich rewizjonistów lat 60. i 70. oraz lewicę i liberałów III RP. Na celu ma zaś ustanowienie trwałego „rządu dusz”, sprawowanego przez modernizatorów

zachodnich demokracji w ich konflikcie z „faszyzmem”. W ten sposób zaczął pozyskiwać nie tylko zwolenników komunizmu, lecz także ludzi o umiarkowanych poglądach, których przerażała wizja rozlewającej się na całą Europę czarnej i brunatnej rewolucji.

I tak Józef Stalin zaczął występować jako obrońca zachodnich demokracji. Oczekiwał on tylko jednego – żeby odium wroga ludzkości, które ciążyło na „faszyzmie”, zostało zdjęte z komunizmu. Politycznym rezultatem tej zmiany były Fronty Ludowe w Europie. I tak ludzie Kremla, którymi byli komuniści, wchodzili z socjalistami w szerokie „antyfaszystowskie” koalicje – w praktyce występujące też przeciw prawicy.

Dla wielu Polaków mających w pamięci pakt Ribbentrop-Mołotowa taka strategia Stalina może być zaskoczeniem. Wydawałoby się, że Związek Sowiecki i III Rzesza zawarły sojusz przeciw zachodnim demokracjom.

Prawda jest taka, że układ taki obowiązywał w latach 1939–1941. Stalin pod koniec lat 30. dokonał proniemiec-

się działu w okresie stalinowskim (tortury i morderstwa w ubeckich kazamatkach), lecz wydarzenia marcowe roku 1968 (zmuszenie do emigracji).

Powód takiego stanu rzeczy jest prosty: zdaniem tych opiniotwórczych środowisk komunizm jest o tyle godny potępienia, o ile przypomina „faszyzm”. Skoro pod koniec lat 60. w PZPR wzięła górę frakcja szermująca patriotycznymi frazesami i tropiąca „syjonistów”, wśród których składziną nie brakowało byłych prominentnych aparatczyków okresu stalinowskiego, to jej przypada rola głównego winowajcy.

Z tej perspektywy komunizmowi w Polsce przełomu lat 40. i 50. można zapisać na plus to, że nie miał on takich „faszystowskich” naleciałości. Wszelki nacjonalizm traktował bowiem jako reakcyjny przeżytek, więc go tępił.

„Antyfaszystowski” charakter miały też w tym roku „niezależne”, opozycyjne obchody 75. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim. Ich uczestnicy zbojkotowali oficjalne uroczystości państwowe. Nie spodobała im się deko-



GABRIEL MICHALIK

Gdzie wąż ma ogon?

Od lat z mieszanymi uczuciami obserwuję, że niemal każda wzmianka o Rosji, którą zamieszczę w polskiej prasie, jest natychmiast profesjonalnie tłumaczona na język naszego wielkiego sąsiada, publikowana w poczesnych przestrzeniach rosyjskiego Internetu, pod nią zaś gromadzą się deklaracje osób, które życzą mi długiej i bolesnej śmierci.

Tym razem jednak zdumiewają liczbą portali, na których tekst zamieszczono (kilkadziesiąt), skalą i charakter reakcji (wiele setek komentarzy, głównie trolli, lecz też niespotykane dużo głosów życzliwych), ale przede wszystkim to, że po raz pierwszy, tajemniczy Ktoś, kto tłumaczy moją publicystykę, ujął w dłoń nożyczki cenzora, skutkiem czego powstał, jak to określił jeden z bardziej powściągliwych komentatorów: „kolejny paszkwil zawistnego Polaka”.

Zamiast zmilczenia postanowiono sfałszować tłumaczenie

Sprawa dotyczy tekstu „Społeczeństwo jest Kremłowi zbędne” („Do Rzeczy” 36/2018). Jest to zapis mojej pierwszej od blisko dekady podróży na rosyjską prowincję, gdzie spędziłem dwa lata w optymistycznej epoce prezydentury Dmitrija Miedwiediewa, pamiętnej rosnącymi cenami ropy naftowej. Rejestruję teraz przede wszystkim degradację materialną rosyjskiego interioru i emigrację wewnętrzną lub zewnętrzną elity intelektualnej. Co zobaczyłem, skonfrontowałem z luksusem życia w Moskwie, a przede wszystkim z niewesołą tezą rosyjskich niezależnych ekonomistów, że 140 mln chętnych do podziału przychodów z naftowej rury to dla tych, którzy siedzą na rurze, za dużo.

Konkluzje są co do zasady zbieżne z nastrojami zaznaczającymi się w Rosji po drastycznym podwyższeniu wieku emerytalnego, ograniczeniu zasiłków dla bezrobotnych i wobec dalszego spadku kursu rubla. Znalazły one zresztą wyraz w wyborczej porażce prezydenckiej partii Jedna Rosja w wyborach lokalnych, które odbyły się 10 września.

Nie są jednak te obserwacje najwyraźniej na rękę tym, którzy tłumaczą moje teksty. Nie mam pojęcia, dlaczego w tej sytuacji nie poniechano w ogóle przekładu. Być może jakiś zadawniony okólnik nakazuje przekładać wszystko, co napiszę? Zamiast więc zmilczenia postanowiono sfałszować tłumaczenie doborem przymiotników i opuszczeniami w tekście. Wyeksponowano moją rzekomą rusofobię, za nią chowając treści niewygodne. Z równie tajemniczych względów przyrządzono na tę okazję mój nowy biogram, dodano mi kilka lat, zapisano do NSZZ „Solidarność”, oskarżono o naloty na Jugosławię (pisałem z Belgradu w 1999 r., ale trudno w moich ówczesnych korespondencjach znaleźć choćby cień pochwały dla operacji Allied Force) i uczyniono ze mnie osobistego wroga syryjskiego prezydenta Al-Asada. W ogóle w tym nowym ujęciu jestem osobistością niesłychanie ważną, demiurkiem geopolityki i języckiem u wagi najdonioślejszych debat współczesności. Daje to asumpt do brzydkiego podejrzenia, że osoba odpowiadająca za odcinek „Michalik” próbuje w tak rozpaczliwy sposób przydać samej sobie znaczenia. Tyle tylko że wszystkie te rewelacje opatrzone zdjęciem... prof. Pawła Śpiewaka i krzywdzącą uczoną informacją, że „na gębę autora widać ślady delirium”.

Mimo zabiegów tłumacza i trollerskiej moderacji dyskusji pod tekstem (kierunek: „Bić mordę Polaczekowi”) coś się chyba nie udało,

albowiem nie należą do rzadkości i takie komentarze: „Witajcie w rzeczywistości! Zdaje się, że Polak bardziej rozumie sytuację w Rosji niż nasi obywatele, wychowani przez telewizyjną propagandę. Smutek, rozpacz, brak nadziei”.

Dominują oczywiście zachęty do mordobicia, pogarda dla polskiej nacji i całej „Gejropy”, miejscami pojawia się „schadenfreude”. A co zdaniem moich rosyjskich czytelników z fabryki trolli jest „najśmieszniejsze”? Ano to, że „dopóki Polak wylewał szambo na Rosję, dopóty jego córka za parę stów robiła dobrze amerykańskiemu żołnierzowi”.

Cała historia robi wrażenie szaleństwa. Cele trwającej od lat kampanii translatorskiej można było bowiem starać się zrozumieć dopóty, dopóki tłumaczono wiernie. Nowa epoka, znacząca wypuszczeniem pod niewiele znaczącą marką Michalika ambajów, które tłumaczowi podyktował przełożony, na zdrowy rozum doprowadza sprawę do absurdu. Czy jednak zdrowy jest rozum, który w 2009 r. zdecydował się tworzyć w języku rosyjskim antologię każdego mojego kichnięcia i postanowieniu temu pozostaje po dziś dzień wierny?

Publiczności w końcu przychodzi ferować salomonowe wyroki, a w autorze widzieć kogoś na kształt osławionego Zagranicznego Konsultanta: „Swołocz niestety w wielu miejscach ma rację. Trzeba złapać Polaka, zbić mu mordę, a potem wziąć się za naprawianie opisanej przez niego sytuacji”. Na co troll mu odpowiada: „Polak to nie narodowość. To diagnoza”.

Pora na mój eksperyment. Jeśli znajdę jutro w sieci ten tekst przetłumaczony na język rosyjski, to znaczyć to będzie mi mniej, ni więcej, że wąż wbił sobie jadowity ząb we własny ogon, czego – proszę darować – szczerze mu życzę, zgodnie z obiegową wiedzą, że wąż ma ogon wyłącznie. ©

Komentarze zaczerpnęłam z inoSMI.ru.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Uroki prowincji

Dawno, dawno temu – to znaczy, kiedy byłem młody – cierpiałem z powodu zaściankowości Polski. Chciałem, żeby w Polsce było jak na Zachodzie. Teraz już nie cierpię. A tak między nami mówiąc, to nawet bardzo mi się podoba, że leżymy nieco na uboczu nurtów i postępu.

Oczywiście trochę się ten Zachód zmienił i już nie jestem pewien tego, że trzeba go bezkrytycznie naśladować. Oczywiście i ja się zmieniłem, a może nawet stetryczałem. Najlepiej z naszej trójki (ja, Polska i Zachód) wyszła chyba na upływie czasu Polska – powiedziałbym, że liznęła trochę światowości, a zarazem pozostała sobą.

Iw dość zaskakujący sposób stała się bardzo dobrym miejscem do życia. Bezpiecznym. Oraz – z mojej perspektywy przedstawiciela klasy średniej w średnim wieku – dość normalnym. Kiedy czytam sobie książkę „Przedziwna śmierć Europy” Douglasa Murraya, myślę sobie, jakie to szczęście, że ominął nas eksperyment wielokulturowości. A kiedy słyszę, jak przedstawiciel BBC pohukuje, że w dzisiejszych czasach Monty Python nie miałyby prawa istnieć, bo trupy satyryków muszą być zróżnicowane etnicznie, społecznie, płciowo i seksualnie, aż mnie skręca z rozkoszy, że szaleństwo politycznej poprawności jeszcze nas nie pochłonięło.

Że zupełnie nas nie pochłonięło. Ten i ów mózg został już jednak przeorany. Otóż jakiś czas temu napisałem na Facebooku, że

poszukuję młodej osoby do pracy w mojej fundacji Akademii Retoryki. Jakież było moje zdziwienie, gdy parę, wydawałoby się, sensownych postaci w rewolucyjnym zapale zarzuciło mi grzech „ejdżyzmu”?! Oczom nie wierzyłem, że ludzie mają czelność mi mówić, kogo powinienem zatrudnić w MOJEJ firmie i komu powinienem płacić z MOICH pieniędzy.

I jeszcze dosadniej, wręcz namacalnie zrozumiałem, jak ciężko żyłoby mi się w którymś z mniej zaściankowych miejsc świata. Tych, w których polityczna poprawność miażdży zwyczajnych ludzi, zmuszając ich do tego, by mówili co innego, niż myślą. Zresztą oni chyba też nie pokochali czystą miłością dyktatury political correctness, o czym świadczą tak różne fakty jak brexit, zwycięstwo Trumpa, zamieszki w byłej NRD i wyborczy sukces szwedzkich „nacionalistów”. Dotychczas polityczna poprawność jak walec głaichszaltowała demokrację, i to bez środków przeciwbólowych. W końcu jednak demokracja zaczęła się – jak to się u nas ładnie mówi – podnosić z kolan.

Wkażdym razie za czasów mojej młodości powstało wiele piosenek z refrenem w rodzaju „Mieszkam w Polsce”. I wtedy ten refren dźwięczał gorzko, a na myśl przywodził zarzygane, nierówne chodniki i ogólny syf oraz bezradność. Dzisiaj podśpiewywałbym taki refren na zupełnie inną nutę, bo lubię tu być. Acz cały czas trudno tu o dobrą gospość. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Wściekłość i wrzask

Współczesna Europa przypomina potrząskane zwierciadło, przy czym poszczególne kawałki w żaden sposób nie chcą pasować do siebie. Skądinąd nikt nie chce złożyć okruczeństwa w całość. Trzymający stery Unii Europejskiej przypominają tych przedstawicieli ancien régime'u w historii, o których mawiano: „Niczego nie zrozumieli i niczego się nie nauczyli”. Zero refleksji na temat współczesnych zagrożeń starego kontynentu. Jedyny środek, który próbują stosować, to więcej tego samego. Karci się psa, który szczeka, zamiast bronić się przed intruzami. Na celowniku Polska i Węgry, a nie kreatorzy polityki migracyjnej.

Ostatnio do rangi symbolu urasta mecz Szwecja – Turcja w Sztokholmie. Większość publiczności kibicowała Turkom.

Bezradność zamiast refleksji generuje jedynie wściekłość i nienawiść

Nic dziwnego, niedługo Skandynawowie staną się mniejszością w swoim kraju. Na razie jedynie boją się wychodzić z domów. Oczywiście jeszcze nie wszyscy zgłupieli – w Austrii, we Włoszech, w Szwecji, nawet w Niemczech coraz głośniej

rozbrzmiewają głosy antysystemowców. I nie pomagają, że sypią się na nich inwektywy i oskarżenia, w tym te najmocniejsze – o agenturalność wobec Putina.

Może dałbym się na to złapać, gdyby nie idiotyzmy na własnym podwórku. Luminarze Platformy coraz częściej oskarżają PiS o prorosyjskość, wręcz o działanie w interesie Kremla. I kto to mówi? Ci, którzy po smoleńsku pisali do Moskwy „Spasiba”; ci, którzy straszili społeczeństwo PiS-em, który jak tylko dojdzie do władzy, wypowie wojnę Rosji. Albo, albo – salonowe mądrki, zdecydowanie przynajmniej na ujednolicenie pomówień. Cóż, bezradność zamiast refleksji generuje jedynie wściekłość i nienawiść wobec Trumpa, Orbána, Kaczyńskiego! Śledząc poziom zacietrzewienia, dochodzę do wniosku, że w odróżnieniu od nas, zdających sobie sprawę, iż droga jest niełatwa i jeszcze mnóstwo mamy do zrobienia, oni czują, choć nie przyjmują do wiadomości, że przegrali. ©©



DODATEK SPECJALNY część I

Polska – ojczyzna Żydów

- Wywiad z prof. Antonym Polonskym • Kazimierz Wielki i Żydzi
- Żydzi na ziemiach Rzeczypospolitej • Historia krakowskiego Kazimierza



Rekonstrukcja sklepienia synagogi
w Gwoźdźcu, znajdująca się w Muzeum
Historii Żydów Polskich Polin



Dofinansowano ze środków
Narodowego Centrum Kultury
w ramach programu
„Kultura – Interwencje 2018”





Polscy Żydzi w strojach
z XVIII w. na tle synagogi

RYŚ. MAREK SZYSZKO

SPIS TREŚCI

IV-IX ANTONY POŁONSKY
**RZECZPOSPOLITA – RAJ
ŻYDOWSKI**

X-XIII MARCIN BARTNICKI
**KAZIMIERZ WIELKI
I ŻYDZI**

XIV-XV MAPA
**ŻYDZI W RZECZPOSPOLITEJ
PRZEDROZBIOROWEJ**

XVI TOMASZ STAŃCZYK
**NA KRAKOWSKIM
KAZIMIERZU**



Wyspa ocalenia

Pierwsza legenda łącząca Polaków i Żydów mówi o Abrahamie Prochowniku. Gdy obalony został książę Popiel, Polanie obrali na jego następcę Żyda – Abrahama Prochownika. On jednak zrzekł się godności na rzecz Piasta, także legendarnej postaci. Historia natomiast łączy żydowskiego kupca z Hiszpanii, Ibrahima ibn Jakuba, z piastowskim władcą Mieszkem I, którego Ibn Jakub wspominał w swojej kronice. Pierwszymi Żydami docierającymi na ziemie polskie byli właśnie kupcy. Po nich pojawili się Żydzi – mincerze, wybijający monety dla Piastów.

W XII w. w księstwach piastowskich pojawili się Żydzi uciekający przed prześladowaniami dokonywanymi przez krzyżowców, wybierających się do Ziemi Świętej. Kolejna fala żydowskich emigrantów, zmuszonych do opuszczenia zachodniej Europy, do porzucenia swych domów w Hiszpanii, Portugalii i państwach niemieckich, napłynęła w wiekach XV i XVI.

Statut kaliski, wydany w 1264 r. przez księcia Bolesława Pobożnego, był przykładem tolerancji wobec Żydów i ich ochrony, a także wzorem dla późniejszych polskich książąt i królów. Na mocy statutu Żydzi mogli bez przeszkód zajmować się handlem i rzemiosłem. Cztery lata później, w połowie XVI w., Adam Jarzębski pisał w „Gościńcu” o Żydach: „Z onymi dobrze nam, choć niewiernymi; u nich jest towar kosmaty, złoto, srebro i bławaty, sznurki, guzy, wszystko tanie, i pieniędzy też dostanie lub za zastaw, na frymarki, codzienne u nich jarmarki. Krom sabatu, w ten nie robią, myśląc jutro, co zarobią”.

Zajmowali się Żydzi handlem – nie tylko krajowym, lecz także międzynarodowym – byli poborcami podatków (do historii przeszedł Meir Ezofowicz, o którym także pisała Eliza Orzeszkowa), dzierżawili młyny i karczmy. Nie zaniedbywali spraw duchowych: Kraków, Lwów i Lublin były głównymi ośrodkami studiów nad Talmudem – jesziwa w Lublinie cieszyła się europejską sławą – a żydowskie drukarnie wydawały książki religijne.

Rzeczpospolita była, na tle Europy, rajem dla Żydów. To jednak nie oznacza, że nie podlegali ograniczeniom i cieszyli się pełną tolerancją. Niektóre miasta polskie miały przywilej „De non tolerandis Judaeis”, zabraniający osiedlania się w nich Żydów – mieszczaństwo obawiało się konkurencji – choć często pozostawał on na papierze. Zdarzały się też przypadki oskarżeń o profanowanie hostii.

Tragiczny dla polskich Żydów był czas powstania kozackiego w połowie XVII w. Stali się – na równi z polską szlachtą – ofiarami masowych mordów, popełnianych przez Kozaków i Rusinów.

Na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej narodził się w XVIII w. chasydyzm, do dziś bardzo żywy ruch religijny w judaizmie, zapoczątkowany przez Israela Baal Szem Towa z Międzyborza. Chasydzi wciąż pielgrzymują do grobów cadyków w Polsce, m.in. w Bobowej i Lelowie. W XVIII stuleciu powstała też sekta frankistów, której członkowie przyjęli chrzest. Wielu frankistów w kolejnym wieku będzie polskimi patriotami. ©

Tomasz Stańczyk

REDAKCJA:
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący), **Anna Sobieska-Wójtowicz** (grafik), **Jacek Nadratowski** (DTP)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**
Okładka: **M. Starowieyska**, **D. Golik/Polin**



Z prof. Antonym Polonskim, autorem książki
„Nieznane polsko-żydowskie dziedzictwo”
rozmawia Piotr Włoczyk

Rzeczpospolita – raj żydowski





Jan Matejko „Przyjęcie
Żydów” FOT. MNW

PIOTR WŁOČZYK: W Muzeum Historii Żydów Polskich można obejrzeć galerię pt. „Paradisus ludaeorum (1569–1648)”. Ten „żydowski raj” na terenach Korony i Litwy to bardziej fakt czy legenda?

PROF. ANTONY POLONSKY: Nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Żydzi generalnie czuli się w Koronie i na Litwie dosyć dobrze, cieszyli się tu pewną stabilizacją.

Z innych krajów Europy byli wypędzani (choćby z Hiszpanii, Anglii, Francji czy z krajów niemieckich), natomiast z terenów Królestwa Polskiego, a następnie z terenów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, nikt ich nie wyganiał. Tylko raz wielki książę litewski Aleksander na krótko wyrzucił Żydów. Przyczyną były długi, których wielki książę nie chciał spłacać, jednak tamtejsi Żydzi szybko powrócili na swoje ziemie.

Według starej żydowskiej legendy Bóg polecił osiać prześladowanym Żydom właśnie na polskich ziemiach. „Polin” – po hebrajsku „Polska” – oznacza w tym języku „Tu spocznij”.

To podkreśla poczucie, że skala prześladowań Żydów na tych terenach była dużo mniejsza niż gdzie indziej w Europie, choć oczywiście również w Rzeczypospolitej Żydzi spotykali się z wrogością. Na tle innych krajów Żydzi stali się jednak częścią polskiego krajobrazu, co do zasady żyło im się tu dosyć spokojnie. Przykładowo rabin Jakub Izrael z Krzemieńca, żyjący w XVIII w., twierdził, że Żydów w Polsce prześladowano jedynie w czasach bezkrólewia.

Statut kaliski, nadany przez księcia Bolesława Pobożnego w 1264 r., stanowił m.in.: „Rzucający kamieniem na szkołę żydowską odda wojewodzie dwa funty pieprzu”, „Nie wolno Żydów oskarżać o używanie krwi chrześcijańskiej”, „W gwałcie nocnym sąsiedzi Żydowi pomoc dać winni pod karą 30 szelągów”. Dlaczego Żydzi zostali objęci tak daleko idącą ochroną?

To faktycznie bardzo uderzający dokument. Ewidencją zredagowali go dla Bolesława Pobożnego sami przywódcy żydowscy. Chodziło przede wszystkim o wyjęcie ich spod jurysdykcji władz miejskich i oddanie pod opiekę samego władcy, a także o zapewnienie praw religijnych i ekonomicznych oraz bezpieczeństwa. Przywileje te były potem potwierdzane przez kolejnych polskich władców. Nie był to jednak akt jedyny w swoim rodzaju, ponieważ Statut kaliski wzorowano na austriackim przywileju wydanym w 1240 r. W Polsce jednak ochrona dla

Żydów poszła najdalej. Polskim władcom bardzo bowiem zależało na ściąganiu na te ziemie ludności żydowskiej. Wieść o tych przywilejach szybko się rozeszła i Żydzi zaczęli coraz tłumniej zjeżdżać do Królestwa Polskiego.

Co sprawiało, że Żydzi byli tak atrakcyjni dla władców? Kapitał, który przywozili ze sobą? Czy może jednak ich umiejętności?

Wszystko po trochu. Żydzi byli Polsce potrzebni, a wręcz niezbędni. Królowie polscy wiedzieli, że Żydzi potrafili bić monety i są w stanie udzielać znacznych pożyczek. Słynnym bankierem Kazimierza Wielkiego był Żyd Lewko. Żydzi bardzo długo nie mogli posiadać ziemi ani nieruchomości, więc wyspecjalizowali się w handlu, bez którego nie ma przecież rozwoju gospodarczego. Stopniowo zaczęli wypełniać bardzo istotną niszę w społeczeństwie, zważywszy na to, jak słabe było wówczas mieszczaństwo. Pośredniczyli między szlachtą a chłopstwem i dlatego mieli w kraju potężnych obrońców.

Jednocześnie podchodzi pan do pojęcia „Paradisus ludaeorum” z pewną dozą sceptycyzmu.

Ponieważ prawda jest taka, że niestety Żydzi w Koronie i na Litwie nie byli obywatelami tej samej kategorii co wyznawcy chrześcijaństwa. Kościół, choć nie prześladował otwarcie Żydów, robił wiele, by utrzymać przekonanie, że Żydzi wyznają fałszywą religię, a więc nie należy ich traktować na równych zasadach. To było podkreślenie wyższości chrześcijaństwa – zdaniem Kościoła – nad religią mojżeszową.

Czy to był jednak tylko nasz problem?

Nie, to był dużo szerszy problem. Cały ówczesny Kościół zachodni w ten sposób postrzegał Żydów. Chociaż podkreślił raz jeszcze, że na terenach polsko-litewskich ich pozycja była przynajmniej usankcjonowana przez prawo, więc Żydzi generalnie mogli się tu czuć w miarę bezpiecznie.

Na Zachodzie oskarżano Żydów o spowodowanie epidemii dżumy, co wywołało narastającą falę niechęci do tej społeczności. W Polsce „czarna śmierć” zebrała stosunkowo niewielkie żniwo, więc nikt tu przeciwko Żydom nie formułował takich oskarżeń. Inną sprawą były jednak ciągle pojawiające się oskarżenia Żydów o rytualne zabójstwa chrześcijańskich dzieci lub bezczeszczenie hostii, które czasem skutkowały wyrokami śmierci dla Żydów.



Pierwszy raz oskarżono Żydów przed sądem o mord rytualny w Rawie Mazowieckiej w 1547 r. Dwóch Żydów spalono na stosie, a resztę wypędzono z miasta. Nie było to jednak bardzo powszechne. W latach 1547–1787 odnotowano 81 spraw o rzekomy mord rytualny.

A jak Żydzi postrzegali swoich chrześcijańskich sąsiadów?



Wojciech Gerson „Kazimierz Wielki i Żydzi” FOT. MNW

Myślę, że generalnie Żydzi żywili do chrześcijan podobną pogardę, jaką chrześcijanie żywili do nich. Rabini przestrzegali np. przed zbyt bliskimi kontaktami z nie-Żydami, którzy generalnie uważani byli za ludzi żyjących niemoralnie.

W 1539 r. Żydzi żyjący w miastach prywatnych zostają wyjęci spod jurysdykcji króla.

Od tej pory to szlachta sprawowała nad nimi kontrolę. Jak ta zmiana wpłynęła na ich życie?

Od połowy XVI w., wraz z rosnącą siłą szlachty, rozpoczęło się coś na kształt „małżeństwa z rozsądku” między szlachtą a Żydami. Mawiało się wtedy, że „każdy szlachcic ma swojego Żyda”. Byli oni wynajmowani do zarządzania majątkami szlachty, dzierżawili młyny, cła, podatki oraz mieli prawo do produkcji alkoholu.

Wreszcie byli też oni niezastąpieni w rzemiośle w mniejszych miejscowościach, jako m.in. szewcy, stolarze, krawcy czy smolarze.

Żydzi mieli problemy w relacjach z mieszczaństwem w miastach królewskich, ponieważ byli traktowani jak konkurencja. Dlatego kolonizacja wielkich przestrzeni Ukrainy, przekazanej w unii lubelskiej Koronie przez Litwę, była dla

nich szansą. Szlachta zapraszała ich do swoich małych miasteczek – tak powstały sztetle. Szacuje się, że w połowie XVII w. już trzy czwarte Żydów mieszkało w należących do szlachty miastach i wsiach. Kościół przestrzegał szlachtę przed zapraszaniem Żydów do kolejnych miasteczek i przed stwarzaniem im tam dobrych warunków. Starał się też zniechęcać do bliższych kontaktów z Żydami, żeby nie sprzedawali alkoholu. Szlachta jednak generalnie opierała się kościelnym naciskom, dbając o swoje interesy gospodarcze.

Nawiasem mówiąc, dzierżawa karczm i sprzedaż alkoholu – w imieniu szlachty – okazały się w dłuższej perspektywie szkodliwe dla Żydów. Szlachta uważała, że Żydzi byli mniej skłonni do nadużywania alkoholu. Był to bardzo niebezpieczny stereotyp.

Dlaczego? Chyba lepszy taki stereotyp niż przeciwny.

Stworzyło to jednak przekonanie w szerokich masach, utrzymywane również przez Kościół, że Żydzi są odpowiedzialni za rozpijanie chłopstwa. Aż do XVIII w. pito głównie piwo i miód. Do końca XVIII w. na pierwsze miejsce wysuwała się jednak wódka. A przecież wódka jest jak kokaina. Żydzi byli wykorzystywani przez szlachtę do sprzedaży wódki i dlatego kojarzyli się wielu jak najgorzej, niemal jak dziś dilerzy narkotyków.

Musimy umieć rozmawiać również o takich aspektach historii polsko-żydowskiej. Nie można uprawiać apologetyki, trzeba opisywać historię taką, jaka ona była. Przykładowo w muzeum POLIN zobaczyć można fragment drzwi z katedry gnieźnieńskiej. Pokazuje on św. Wojciecha dającego reprimendę polskiemu królowi za pozwalanie na pojawianie się w Polsce Żydów handlujących niewolnikami. Tak, to prawda – w dawnych czasach również Żydzi handlowali niewolnikami.

Dlaczego szlachta zawarła to „małżeństwo z rozsądku” właśnie z Żydami?

Żydzi byli wygodni i „bezpieczni” dla szlachty, ponieważ nie kwestionowali stosunków społecznych, w przeciwieństwie do mieszczaństwa nie zagrażali więc pozycji szlachty. Swoją drogą Żydzi doskonale wiedzieli, że są potrzebni tylko z przyczyn gospodarczych. Dlatego np. podczas sejmów odmawiali modlitwy pokutnej, prosząc Boga, by ze zgromadzeń szlachty nie wynikło dla nich nic groźnego...



Synagoga z XVI w. w Zamościu FOT. MAKALCOMMONSWIKI

Muzeum POLIN jako koniec „żydowskiego raju” podaje 1648 r. Co powstanie Chmielnickiego oznaczało dla Żydów?

Wcześniej mówiło się, że w powstaniu Chmielnickiego zginęło nawet 400 tys. Żydów. Tymczasem dziś wiemy, że w 1648 r. w ukraińskich miasteczkach żyło maksymalnie 50 tys. Żydów. Szacuje się, że w czasie powstania Chmielnickiego Żydów zamordowano wówczas ok. 13–16 tys. To wciąż jedna trzecia ludności! Kozacy bezlitośnie atakowali Żydów, w których widzieli pomocników „polskich panów”. Po powstaniu Chmielnickiego tysiące Żydów uciekło z kraju, ponieważ to nie był koniec tragedii – krótko potem na Rzeczpospolitą najechali Szwedzi i Moskale.

Rabin Jom Tow Lipmann Heller ułożył po mordach w czasie powstania Chmielnickiego modlitwę, wspominającą złoty wiek jako „Polskę, królewski kraj, gdzie od dawna mieszkaliśmy w beztróskim spokoju”. Ten spokój się skończył wraz z 1648 r. Konsekwencją powstania Chmielnickiego było też to, że mieszczaństwo pochodzenia włoskiego i niemieckiego zaczęło opuszczać Polskę. Ich miejsce zajęli Żydzi. Między innymi dlatego w XVIII w. Żydzi mieli dużo większy wpływ na gospodarkę niż w wiekach poprzednich.

Niektórzy twierdzą, że Żydzi byli w dawnej Polsce piątym stanem, obok szlachty, duchowieństwa, mieszczaństwa i chłopstwa.

To akurat półprawda, ponieważ Żydzi uważani byli jednak za pariasów przez Kościół, co nie pozwalało im uzyskać równej pozycji. Prawdą jest jednak, że sporą autonomię dawał im system samorządowy, który był zagwarantowany w kolejnych przywilejach. Ten system żydowskich gmin, sejmików i wreszcie ogólnokrajowych zgromadzeń był niezwykle ważnym osiągnięciem, które rzutowało na przyszłość Żydów. Jednym z najważniejszych powodów, dla których demokracja tak dobrze się rozwinęła w Izraelu, jest dziedzictwo samorządu żydowskiego z czasów Rzeczypospolitej.



Menora FOT. ARCHIWUM

Pięknie pan teraz polecał naszą dumę z Rzeczypospolitej.

Ale to prawda! Żydzi zbudowali na ziemiach Polski i Litwy rozwinęły system samorządu na poziomie lokalnym, prowincjonalnym oraz wreszcie państwowym, czyli słynną Radę Czwerech Ziem dla Korony oraz Radę Litewską. Najważniejsze były jednak kahały, czyli rady zarządzające gminami, ponieważ to od nich głównie zależało życie codzienne Żydów. Ten

samorząd mógł działać tak dobrze właśnie dzięki przywilejom uzyskiwanym od polskich władców.

Pierwszy Żyd w naszej historii to Ibrahim ibn Jakub?

To pierwszy udokumentowany historycznie żydowski przybysz na ziemiach polskich. Był to Żyd sefardyjski z kalifatu Kordoby, który podróżował po całej Europie. Chciał przekazać emirowi Kordoby, jak te strony wyglądają. Ibn Jakub opisał Kraków, a także Pragę. Wtedy oczywiście nie było w Polsce żadnych Żydów. To jest o tyle interesujące, że pokazuje rolę Żydów jako handlarzy, którzy ciągnęli z zachodu na wschód i z powrotem, pośrednicząc między muzułmanami a chrześcijanami. Często handlowali Słowianami zamienionymi w niewolników.

Kiedy na dobre zaczęli do nas przybywać Żydzi?

Ta imigracja zaczęła już w XII w., ale to był mały strumyk. Na zaproszenie władców Polski powiększał się on stopniowo w wiekach XIII i XIV. Jednak na dobrą sprawę Żydzi pojawili się tu w większej liczbie w XV i XVI w. Część przyszła ze wschodu – z Bizancjum, Palestyny, Persji – ale była to niewielka liczba. Zdecydowana większość przybyła do Królestwa Polskiego z zachodu – z Francji i państw niemieckich, a także z południa, czyli z Czech.

Na początku XVI w. w Polsce i na Litwie żyło ok. 25 tys. Żydów, w połowie XVII w. było ich już ok. 150 tys., a tuż przed I rozbiorem Rzeczypospolitą zamieszkiwało ok. 750 tys. Żydów. Stanowiło to ok. 5 proc. całej populacji kraju. Zdecydowana większość żyła na jego wschodnich terenach. Było to największe skupisko Żydów na świecie. W naturalny sposób właśnie na ziemiach polsko-litewskich znalazło się więc centrum żydowskiego życia religijnego oraz intelektualnego. Najważniejszymi skupiskami ludności żydowskiej były kolejno: Kraków, Lublin i wreszcie „Jerozolima północy”, czyli Wilno.

Nie wymienił pan Warszawy.

Ponieważ obowiązywało wówczas w tym mieście prawo „de non tolerandis Judaeorum”. W Warszawie właściwie nie było wówczas Żydów, gdyż mieli zakaz osiedlania się tam. Dopiero po I rozbiórce zaczęli oni tłumnie zjeżdżać do Warszawy, aż w końcu stała się ona największym żydowskim miastem na świecie. Takie zakazy obowiązywały w części królewskich miast, ponieważ

mieszczanie bali się konkurencji. Miasta należące do szlachty zachęcały jednak Żydów do osiedlania się, czasem nawet wbrew stanowisku duchowieństwa.

Ciekawy jest w tym kontekście przypadek Kazimierza. Żydzi konkurowali z krakowskim mieszczaństwem, aż w końcu udało się mieszczanom przenieść Żydów do oddzielnego miasta: Kazimierza. Stał się on samorządnym, religijnym centrum polskiego żydostwa. To tam żył słynny rabin Mojżesz ben Israel Isserles, który był bardzo wpływowym talmudystą i filozofem. W Kazimierzu zachował się jego grób, który do dziś odwiedzają tłumnie Żydzi wierzący, że Remu (jak się go skrótowo nazywa) pomoże w spełnieniu ich prośb. Jak pisał Remu: „Być może powinniśmy raczej woleć kawałek suchego chleba na tej ziemi [...], gdzie nienawiść do Żydów nie przybrała takich rozmiarów jak w krajach niemieckich. Oby Bóg sprawił, by ten stan trwał aż do przyjścia Mesjasza”.

Jaki udział w tym gigantycznym przyroście ludności żydowskiej miała imigracja do Rzeczypospolitej?

Imigracja odgrywała małą rolę. Przyrost naturalny był w tej społeczności niesamowity. Jedną z przyczyn było to, że żydowskie dziewczęta bardzo wcześniej wydawano za mąż. Tymczasem wiadomo, że statystycznie im wcześniej kobieta rodzi pierwsze dziecko, tym więcej ich ma. Ponadto łatwiej było u Żydów z rozwodami i zawieraniem kolejnych związków, niższa była umieralność wśród żydowskich dzieci (chodzi generalnie o lepsze wyżywienie i higienę), a także pamiętajmy o tym, że Żydzi bardzo rzadko ginęli na polu walki.

Ten nieprawdopodobny przyrost naturalny mógł być z jednej strony rozpatrywany w kategoriach Bożej łaski, ale z drugiej strony przyniósł ze sobą nowe problemy.

Pod koniec XVII w. szybciej zaczęła rosnąć żydowska populacja niż jej możliwości ekonomiczne. Pojawiła się bieda. Te nowe, cięższe okoliczności życia sprawiły poniekąd, że szybko zaczął rosnąć chasydyzm, będący zmodyfikowaną wersją tradycyjnej ortodoksji. Był to bardzo ożywczy ruch, który zyskał masę wyznawców i do dziś jest potężną gałęzią żydowskiego świata.

Dzisiaj również Rosja kojarzy się z bardzo żywą społecznością żydowską, ale przecież aż do

I rozbioru mało kto w Imperium Rosyjskim widział Żyda.

To prawda. Kiedy spytano carycę Elżbietę, czy wpuściłaby do Rosji niewielką grupę Żydów, odpowiedziała: „Absolutnie nie! Nie będę tolerować wrogów Chrystusa!”. W Rosji nie było właściwie Żydów przed rozbiorem. Katarzyna II wytyczyła specjalną „strefę osiedlenia” wzdłuż wschodniej granicy I RP, by nie dopuścić do rozejścia się Żydów po Imperium Rosyjskim. Tutaj nie było dla nich takiej wolności jak w Rzeczypospolitej.

W różnych zaborach różnie przebiegała asymilacja Żydów. Od czego to zależało?

Na Zachodzie od połowy XVIII stulecia władze doszły do przekonania, że należy zmienić Żydów z członków wspólnoty religijnej i kulturalnej żyjącej ponad granicami państw w obywateli lojalnych wobec konkretnej władzy. Tam, gdzie szybko udało się stworzyć klasę średnią – w Anglii i we Francji – wyszło to całkiem dobrze. Trochę gorzej poszło to w krajach niemieckojęzycznych. Generalnie ta transformacja udała się tam, gdzie żydowskie społeczności były dosyć niewielkie i gdzie istniały systemy konstytucyjne.

W zaborze pruskim większość Żydów udało się Niemcom zasymilować i stali się oni Niemcami wyznania mojżeszowego. Ten proces nie wyszedł tak dobrze w Galicji, gdzie klasa średnia była dużo słabsza. Najgorzej wyszła asymilacja w zaborze rosyjskim, choć tamtejsze władze bardzo chciały zrobić z Żydów Rosjan. Jednak wielkość żydowskiej populacji była tam nieporównywalnie większa w porównaniu z państwami zachodnimi, a ponadto prawie w ogóle nie istniała w Rosji klasa średnia, w którą można byłoby „wpleść” Żydów. Dlatego Żydzi pozostali tam Żydami.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Antoni Polonsky – jest znawcą dziejów polsko-żydowskich, wykładowcą w Lowy Center for Judaic Studies Brandeis University, założycielem Institute for Polish-Jewish Studies na Uniwersytecie Oksfordzkim. Jest autorem m.in. książki „Dzieje Żydów w Polsce i Rosji”. Ostatnio ukazał się w Polsce wywiad z prof. Polonskim pt. „Nieznane polsko-żydowskie dziedzictwo” (rozmawiała Anna Jarmusiewicz).



Kazimierz Wielki



Marcin Bartnicki

Prześladowani na Zachodzie Żydzi przenosili się na ziemie polskie, przyczyniając się do rozwoju handlu i gospodarki

Według jednej z najpopularniejszych legend powtarzanych przez wieki przez Żydów zamieszkujących ziemie polskie wyznawcy judaizmu zawdzięczają swoje prawa Kazimierzowi Wielkiemu, który patrzył na społeczność żydowską przychylnie ze względu na miłość do

pięknej Esterki. Wzmiankę o niej, tym razem w ujęciu krytycznym, znajdziemy również w „Rocznikach” Jana Długosza.

„[...] wziął sobie za nałożnicę kobietę żydowskiego pochodzenia Esterę z powodu niezwyklej urody – pisze Długosz. – Miał z nią nawet dwu synów Niemierzę i Pełkę. Również na prośbę wspomnianej

nałożnicy Estery dokumentem królewskim przyznał wszystkim Żydom mieszkającym w Królestwie Polskim nadzwyczajne przywileje i wolności”. Według kronikarza nieślubni synowie mieli być wychowywani w religii swojej matki.

„Roczniki” Długosza powstawały niemal sto lat po opisywanych wydarzeniach i są jedynym średniowiecznym źródłem wspominającym o Esterce. Z kolei pierwsze żydowskie źródła odnoszące się do tej postaci to kroniki Dawida Gansa, wydane w Pradze w 1595 r. Esterka mogła być więc postacią legendarną. Trudno również uznać, aby jeden z licznych romansów władcy wpłynął na



i Żydzi

daleko idące przywileje dla Żydów. Zdecydowanie większe znaczenie musiały mieć relacje łączące Kazimierza z żydowskim bankierem.

BANKIER LEWKO

Lewko – krakowski bankier żydowskiego pochodzenia – był postacią historyczną. Odziedziczony po ojcu Jordanie majątek pomnażał dzięki talentowi do obrotu pieniędzmi. Jego wierzycielami byli prominentni mieszczanie, dostojnicy z Krakowa i Małopolski, a nawet władcy. Był wśród nich również Kazimierz Wielki. Lewko znalazł się tym samym w doborowym towarzystwie wierzycieli

polskiego króla. Byli wśród nich zarówno monarchowie, jak i papieże. Prowadzenie kampanii wojennych, utrzymanie dworu i budowanie „Polski murowanej” byłyby bowiem niemożliwe bez kredytów. Pozycję i wynikające z niej prawa (nie większe przecież niż te, które dotyczyły innych grup wyznaniowych) Żydzi zawdzięczali więc nie romansom pięknej Esterki, ale ogromnej roli, jaką odgrywali w finansach Królestwa Polskiego.

„Zasobność, gotowość do świadczenia finansowej pomocy, ale też z pewnością umiejętności Lewka zostały przez króla dostrzeżone – pisze Hanna Zaremska w książce »Żydzi w średniowiecznej

Polsce. Gmina krakowska«. W 1368 roku znalazł się w gronie zuparii moderni [zarządców kopalń – przyp. M.B.] w Wieliczce i Bochni. Było to największe przedsiębiorstwo dawnej Polski. Małopolskie złoża soli, które przynosiły skarbowi kraju jedną czwartą jego dochodów, miały podstawowe znaczenie dla finansów królestwa”.

STATUT KALISKI WZOREM

Akty prawne wydawane przez Kazimierza Wielkiego w latach: 1334, 1364 i 1367 były rozszerzeniem na kolejne dzielnice i powtórzeniem Statutu kaliskiego wydanego 16 sierpnia 1264 r. przez Bolesława Pobożnego. Statut ten był z kolei w większości powtórzeniem podobnych dokumentów wydawanych wcześniej w cesarstwie i potwierdzeniem obowiązujących już wcześniej zwyczajów.

Szczególna pozycja Kazimierza Wielkiego w kulturze żydowskiej może wynikać z dobrej koniunktury gospodarczej

podczas jego panowania, na którym skorzystali również Żydzi. Ich przywileje nie były wytworem rządów ostatniego Piasta na tronie polskim, jednak stworzenie przez niego skutecznego aparatu administracyjnego mogło wpłynąć na lepsze egzekwowanie prawa. To z kolei przełożyło się na bezpieczeństwo i gospodarcze powodzenie społeczności żydowskiej.

Potwierdzany przez Kazimierza i kolejnych władców Statut kaliski gwarantował Żydom bezpieczeństwo i regulował zasady udzielania przez nich kredytów. Zapewniał też poszanowanie dla religii i miejsc kultu. Ochroną były objęte cmentarze, synagogi i szkoły. Za niszczenie cmentarza, poza przewidzianą prawem karą, chrześcijanin miał tracić majątek. Przepadek majątku groził również za zabicie Żyda. Z kolei „rzucający kamieniem na szkołę żydowską” miał oddać wojewodzie dwa funty pieprzu. Żydom nie można było również oskarżać o „używanie krwi chrześcijańskiej”. Było to powtórzenie zapisu z aktu prawnego wydanego przez czeskiego króla Przemysła Ottokara, który stwierdza:

„Zgodnie z rozporządzeniami papieża, w imię naszego Ojca Świętego bardzo surowo zabraniamy, aby w przyszłości nikt nie obwiniął żadnego Żyda mieszkającego w naszym państwie, że spożywa krew ludzką, gdyż według nakazu prawa wszyscy Żydzi powinni zupełnie powstrzymać się od spożywania wszelkiej krwi”.

Statut zabezpieczał Izraelitów przed przesadami prowadzącymi do fałszywych oskarżeń o rytualne morderstwo chrześcijan. Aby udowodnić takie zdarzenie, należało przedstawić sześciu świadków, z których połowa musiała być Żydami. Jeśli winy nie udało się udowodnić, to oskarżającemu wymierzano taką karę, na jaką skazany zostałby Żyd po udowodnieniu zbrodni. Żydzi byli ludźmi wolnymi, podlegającymi władzy książęcej, mogli przemieszczać się i handlować bez ograniczeń, a pozbawianie ich wolności było karane. Co ciekawe, w Statucie kaliskim pojawił się zapis nieobecny w czeskich i niemieckich odpowiednikach, według którego kara groziła rów-



Statut kaliski, ilustracja Artura Szyka FOT. UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI

niez za nieudzielenie wsparcia Żydowi wzywającemu pomocy.

Osobne przepisy dotyczyły zasad pożyczania pieniędzy. Zastawem pod kredyt nie mogły być nieruchomości, przedmioty liturgiczne (pożyczki u Żydów zaciągali również duchowni) ani pobrudzone krwią – co mogło świadczyć o tym, że zostały odebrane przemocą. Aby uniknąć zastawiania kradzionych koni, można było zastawiać te zwierzęta tylko w czasie dnia i wyłącznie przy świadkach. Zastaw stawał się własnością udzielającego kredytu Żyda, jeśli ten nie otrzymał umówionej kwoty po roku i jednym dniu. Pozostawionych u wierzyciela przedmiotów nie można było odbierać w czasie świąt żydowskich, co miało gwarantować uszanowanie religijnych obyczajów. Statut wskazywał również, że na Żydów nie można nakładać dodatkowych ceł, nieobowiązujących innych mieszkańców miasta. Domaganie się nieuprawnionej opłaty miało być karane jak zwykły rozbój.

Objęcie wyznawców judaizmu ochroną prawną nie było oczywiście bezinteresowne. Władcy dzielnicowi, a później królowie czerpali z ich działalności spore zyski. A te pochodziły nie tylko z kredytów, lecz także – głównie w wiekach

wcześniejszych – z handlu i bicia monet.

DWIE PLAGI

Szczególnie miejsce Kazimierza Wielkiego w żydowskiej tradycji wynika również z tego, że w czasie jego panowania Polska była dla Żydów krajem stosunkowo bezpiecznym, a w porównaniu z Europą Zachodnią mogła uchodzić niemal za raj. Epidemia dżumy, która w ciągu kilku lat objęła całą Europę i doprowadziła do śmierci jednej trzeciej populacji kontynentu, z niewyjaśnionych przyczyn ominęła większość terytorium Polski (żadna hipoteza wyjaśniająca to zjawisko nie została udowodniona). Żydzi zamieszkujący Europę Zachodnią stali się ofiarami epidemii podwójnie. Nie tylko czarna śmierć ich nie oszczędzała, lecz także byli oni oskarżani o wywołanie i roznoszenie zarazy oraz mordowani.

„Dla Żydów, oskarżanych o zatrucie studni, był to czas pogromów – pisze Hanna Zaremska. – Mimo bulli Klemensa VI, w której papież sprzeciwił się oskarżeniom i dowodził, że Żydzi padają od zarazy równie często jak chrześcijanie, mimo utrzymanych w podobnym tonie oświadczeń cesarskich i królewskich, największa od 1096 roku fala rozruchów antyżydowskich dotknęła ponad 300 gmin, przede wszystkim w Niemczech, Austrii, Francji i Hiszpanii”.

Polska stała się tym samym azylem dla uciekinierów z bogatszych państw Europy Zachodniej. W porównaniu z falą przemocy na Zachodzie nieprzyjemności, które spotykały Izraelitów również na ziemiach polskich, miały charakter incydentalny. Żydzi, nawet jeśli nie mogli zabrać ze sobą majątku, przynosili umiejętności przydatne w rozwoju gospodarki, a w przypadku kupców również sieć kontaktów sięgających do odległych zakątków kontynentu. Nie była to pierwsza fala migracji do Polski. Wzmianki o pierwszych Żydach osiadających w Krakowie pochodzą z 1028 r., ale wcześniejsze stałe żydowskie osadnictwo przypada prawdopodobnie na X w. Były to niewielkie kolonie kupców, znajdujące się na szlaku handlowym

wiodącym z Kijowa przez Kraków do Pragi, południowych Niemiec i dalej na zachód. Liczniejsze społeczności pojawiły się jednak dopiero w wiekach XII i XIII. Napływ Żydów do Polski był związany początkowo z falą pogromów, która przełała się przez Zachód w czasie wypraw krzyżowych. Żydzi migrowali również z tego samego co Niemcy powodu – opuszczali przeludnione tereny, szukając lepszego życia w nowych miejscowościach lokowanych w Europie Środkowej. Przyczynili się w tym czasie do tworzenia kolejnych szlaków handlowych i rozwoju gospodarki towarowo-pieniężnej.

Drugą plagą, która tym razem nawiedziła Polskę, a oszczędziła Zachód, były najazdy Mongołów, które od stycznia 1241 r. pustoszyły Małopolskę i Śląsk. Zniszczone, wyludnione tereny potrzebowały nowych osadników, których same ziemie polskie nie mogły zapewnić. W kolejnych wiekach przywiązanie chłopów do ziemi spowodowało, że rozwój miast bez osadników spoza Królestwa Polskiego byłby niemożliwy. Wielokulturowość i współistnienie różnych wyznań w miastach stały się więc czymś naturalnym.

Podobnie jak Niemcy, Ormianie i inne mniejszości etniczne Żydzi zajmowali się głównie handlem. W przeciwieństwie do chrześcijan nie mogli być właścicielami ziemi, nie przyjmowano ich również do cechów, co wypychało Żydów z zawodów rzemieślniczych. Handel i udzielanie kredytów były więc zajęciami częściowo wymuszonymi i jedynymi możliwościami inwestowania kapitału oraz pomnażania majątku. Wyłączenie z możliwości uczestnictwa w części struktur społecznych i gospodarczych oraz wyznaczone miejsca osadnictwa powodowały, że społecznościom żydowskim łatwiej było utrzymać częściowo zamknięty charakter. A to przyczyniło się do przetrwania odrębnej kultury i religii. Konwersje na chrześcijaństwo, nie licząc incydentalnych przymusowych chrztów, były zjawiskiem stosunkowo rzadkim.

Dokumenty i średniowieczne akty prawne pokazują, że Żydzi dobrze odnaleźli się w systemie gospodarczym polskich miast i wspólnie z Polakami oraz innymi grupami etnicznymi stworzyli sprawnie działający system uzupełniających się zawodów. Podobnie jak Kazimierz Wielki z kredytów korzy-

Władysław Łuszczkiewicz „Kazimierz Wielki u Esterki” FOT. WIKIPEDIA



stali kolejni polscy władcy, wykazując się pomysłowością w ubijaniu interesów. Długi spłacano, wydając pozwolenia na bicie monet, zastawiano królewskie klejnoty, a kupcy w zamian za kredytowanie dzielili się dochodami z handlu.

Pożyczanie bez zastawu było co prawda zakazane, ale prawo nie zawsze było ściśle przestrzegane. Rola bankierów pożyczających pod zastaw była niewdzięczna. Niespłacone długi i zabieranie zastawów powodowały konflikty, a na czerpanie zysku z udzielania pożyczek nieprzychylnie patrzyła część duchownych. Mimo to Kraków i inne polskie miasta należały na tle Europy do najlepszych i najbezpieczniejszych miejsc do życia dla Żydów.

Mimo napływu ludności żydowskiej do Polski w średniowieczu była to diaspora nieliczna. Duże społeczności żydowskie pojawiły się w Rzeczypospolitej w wiekach późniejszych. Z szacunków przywołanych przez Zaremską wynika, że w XV w. w Polsce żyło od 4,5 do 30 tys. Żydów. Oznacza to, że była to mniejszość stanowiąca od 0,06 do 0,4 proc. populacji Korony. Kolonie składały się zwykle z jednej rodziny, dwóch lub co najwyżej kilku, a duże gminy – krakowska, lwowska i poznańska – były zamieszkiwane przez 500–800 osób. Mniejszość ta była jednak dostrzegalna w ówczesnej stolicy Polski, która liczyła w tym czasie kilkanaście tysięcy mieszkańców.

Na ziemiach

Od XVI w. aż do czasów wymordowania przez Niemców ponad 90 proc. polskich Żydów ziemi polskie były ich największym skupiskiem na świecie.

Liczba Żydów w Rzeczypospolitej powiększała się wraz z ich napływem – na skutek prześladowań – z zachodniej, a także południowej Europy. Zmniejszyła się znacznie po rzezi dokonanej przez kozackich powstańców Chmielnickiego w połowie XVII w. Być może nawet o 20–25 proc., także w wyniku emigracji.

W XVIII w. na ziemiach Rzeczypospolitej żyło 750–900 tys. Żydów (6–10 proc. ludności), w większości w miastach. Szczególnym przypadkiem była Izbica, miasteczko zamieszkiwane wyłącznie przez Żydów, którzy osiedlili się tam po wygnaniu z Tarnogóry.

Na mapie przedrozbiorowej Rzeczypospolitej ważnym miejscem dla Żydów był Lublin, gdzie obradował od końca XVI w. do 1764 r. Sejm Czterech Ziem – organ samorządu żydowskiego.

Materialne dziedzictwo żydowskiej historii czasów I Rzeczypospolitej – synagogi oraz kirkuty – zostało w wielkiej mierze zniszczone przez Niemców podczas II wojny światowej.

Najstarszym zabytkiem kultury żydowskiej na ziemiach polskich jest nagrobek kantora Dawida Ben Szaloma we Wrocławiu, pochodzący z 1203 r., z czasów panowania księcia Henryka Brodatego. Jeden z najstarszych w Europie cmentarzy żydowskich to cmentarz Remuh na krakowskim Kazimierzu, założony w latach 30. XIX w. Na Kazimierzu znajduje się najcenniejszy w Polsce zespół żydowskich zabytków.

Chasydzi pielgrzymują do ohełów (grobów) cadyków, m.in. żyjących na przełomie wieków XVIII i XIX Elimelecha Weissbluma w Leżajsku, Dawida Bidermana w Lelowie, Jakuba Izaaka Horowica w Lublinie. Do wyróżniających się dzieł renesansu polskiego zaliczane są synagogi w Tykocinie, Szczepieszynie i Zamościu. © (t.s.)



Rzeczypospolitej





Synagoga Stara FOT. JAKUB HAŁUN/WIKIPEDIA

Na krakowskim Kazimierzu



Tomasz Stańczyk

Miasto nazwane imieniem ostatniego Piasta na polskim tronie było największym skupiskiem Żydów nie tylko w Rzeczypospolitej, lecz także w Europie



Cmentarz Remuh FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

W 1335 r. król Kazimierz III lokował w bezpośrednim sąsiedztwie Krakowa miasto Kazimierz. Pół wieku później zaczęli zamieszkiwać tam Żydzi. Ich obecność na Kazimierzu zwiększyła się, gdy pod koniec XV w. musieli z woli króla Jana Olbrachta opuścić Kraków. Żydzi z kolei w następnym stuleciu uzyskali przywilej zabraniający chrześcijanom osiedlania się w Kazimierzu. W XVI stuleciu Kazimierz był największym skupiskiem Żydów nie tylko w Rzeczypospolitej, lecz także w całej Europie. Nie będzie więc wielką przesadą nazwanie go światową stolicą Żydów w tamtym czasie. Tak jak w innych miastach kazimierscy Żydzi zajmowali się handlem i rzemiosłem, a także działalnością kredytową, i postawili swoje miasto w rzędzie najbogatszych skupisk żydowskich w Rzeczypospolitej.

Za sprawą rabina Jakuba Polaka, założyciela stojącej na wysokim poziomie jesziwy (uczelni religijnej), Kazimierz stał się znanym ośrodkiem nauki talmudycznej w Europie. W 1800 r. Kazimierz został przyłączony do Krakowa. W latach II Rzeczypospolitej Żydzi stanowili ok. 25 proc. mieszkańców tego miasta.

W krakowskiej dzielnicy Kazimierz znajduje się największy i najcenniejszy zespół zabytków żydowskich z najstarszą bożnicą w Polsce – Synagogą Starą. Powstała w XV w. i została przebudowana w stylu renesansowym w kolejnym stuleciu. Wówczas też, w połowie XVI w., powstała Synagoga Remuh – dzisiaj jedyna z synagog krakowskich, w której odbywają się modlitwy – oraz Synagoga Wysoka. Trzy inne synagogi: Poppera, Kupa, Izaaka pochodzą z XVII w.

Na Kazimierzu znajduje się jeden z najstarszych cmentarzy żydowskich – cmentarz Remuh, założony w 1552 r. i zamknięty na początku XIX w. Na cmentarzu znajduje się nagrobek Mosze Ben Israela Isserlesa, zwanego Remuh, filozofa i talmudysty żyjącego w XVI w. Jest to miejsce pielgrzymek Żydów.

Na krakowskim Kazimierzu odbywa się od 30 lat Festiwal Kultury Żydowskiej, który ze skromnej imprezy stał się jednym z największych festiwali tego typu na świecie i marką identyfikowaną z Krakowem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Czerwone durnie

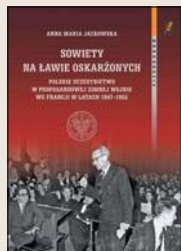
Zołnierze armii gen. Władysława Andersa, którzy po II wojnie światowej znaleźli się we Francji, byli w kuriozalnej sytuacji. Chcieli opowiedzieć Francuzom o koszmarze sowieckiej rzeczywistości, ale Francuzi nie chcieli ich słuchać. Debatę publiczną nad Sekwaną zdominowała bowiem radykalna, prokomunistyczna lewica.

Dla czerwonych intelektualistów sprawa była prosta. Związek Sowiecki to raj robotnika i chłopca. Kraj, w którym kontynuowane są „zdobycze” rewolucji francuskiej. Kraj, który rzucił na łopatki Adolfa Hitlera. A Polacy? Polacy byli dla Francuzów podejrzani. Przedwojenną Polskę uważano za kraj faszystowski, a jej mieszkańców za katolickich ciemnogrodzian. Tak ujmowała to pani Dorota Obuchowicz: „Polacy – powiadają na Zachodzie – są do Rosji uprzedzeni: spory graniczne, sąsiedzkie. Polacy to szowiniści narodowi, zacofańcy, przesadnie wyznaniowi, nietolerancyjni, antysemici. Nie należy im wierzyć. Nie należy słuchać Polaków”.

W efekcie relacje polskich ocalałych z łagrów uznawano za kłamstwa, za wytwory złośliwej antykomunistycznej propagandy.

Mimo to Polacy starali się wydawać książki i brać udział w głośnych procesach antykomunistycznych. Na przykład w procesie, który słynny uciekinier ze Związku Sowieckiego Wiktor Krawczenko w 1949 r. wytoczył komunistycznej gazecie „Les Lettres Françaises”. Jeżeli bowiem Francuzi wykazywali jakiegokolwiek zainteresowanie relacjami stawiającymi Sowiety w niekorzystnym świetle, to tylko tymi, które pochodziły od byłych komunistów. Bolszewików, którzy rozczarowali się „stalinizmem”. Byli nadal zakochani w „pięknej idei”, a krytykowali jedynie „błędy i wypaczenia”.

Właśnie o tych smutnych sprawach traktuje książka „Sowiety na ławie oskarżonych”. Czytając znakomitą monografię Anny Marii Jackowskiej, raz po raz łapałem się za głowę. Aż trudno uwierzyć, że francuscy intelektualiści byli takimi durniami. ©e



★★★★★
ANNA MARIA JACKOWSKA
„SOWIETY NA ŁAWIE OSKARŻONYCH. POLSKIE UCZESTNICTWO W PROPAGANDOWEJ ZIMNEJ WOJNIE WE FRANCJI W LATACH 1947–1952”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Warszawska chwała i wstyd

Stolica skapitulowała przed Niemcami 28 września 1939 r., nie wszyscy jednak oficerowie zamierzali iść do niewoli. Część przeszła do konspiracji, a grupa lotników postanowiła wyrwać się z miasta, korzystając z samolotów znajdujących się na lotnisku mokotowskim. Niezwykłego wyczynu dokonał mjr Eugeniusz Wyrwicki,

Jeszcze przed wkroczeniem wojsk niemieckich do miasta komendant główny straży obywatelskiej wydał odezwę, prosząc o zachowanie spokoju, tak „by żadne napady, rabunki czy też jakiegokolwiek karygodne wykroczenia nie splamiły honoru Warszawy”. Niestety, podczas rozdawania zapasów pozostałych w magazynach sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli.

„Rozładowywanie składów publicznych – wspominał Ferdynand Goetel – słuszne chyba i konieczne, dało okazję do igrzysk, gdzie bary i pięść miały rozstrzygające znaczenie. Za darmo, którą zdobywało się »legalnie« z otwartych drzwi i składów z tytoniem, spirytusem, cukrem, poszedł już amatorski rabunek sklepów i składów prywatnych”.

Kradli nie tylko ludzie z marginesu, „w Śródmieściu panie w szykownych futrach wdzierały się do opuszczonych sklepów i wynosiły, co popadło pod rękę”.

Rabunki w magazynach czy nawet sklepach można było tłumaczyć głodem panującym podczas oblężenia, jednak inne przypadki zasługiwały na zdecydowane potępienie.

„Szturm rabusiów na magazyny Zamku – kontynuował Goetel – i jego ocalałe jeszcze lokale nie cofnął się nawet przed milicją [strażą] obywatelską, przełamał jej opór i ogołocił Zamek z reszty dobytku. Nie oszczędzono również i Biblioteki Narodowej, gdzie wydzierano z ksiąg iluminowane karty, a ze starych inkunabułów oprawy ze skóry”. ©e

Po kapitulacji część lotników uciekła turystycznymi samolotami

który miał do dyspozycji samolot myśliwski PZL 11 z otwartą (!!!) jednomiejscową kabiną.

„[...] zapakował do ciasnej kabiny swojej »jedenastki« – wspominał Witold Urbanowicz – pułkownika Łżyckiego, późniejszego dowódcę lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii, i pod ostrzałem niemieckiej piechoty wystartował na południe. Oczywiście obaj lecieli bez spadochronów – i tak nie wiadomo, jak w tej kabinie się zmieścili”.

Tego samego dnia z lotniska mokotowskiego odleciało jeszcze 11 samolotów turystycznych, z których dwa holowały za sobą szybowce! Nawigację prowadzono „na wyczucie”. Gdy jednemu z pilotów w rejonie Gór Świętokrzyskich skończyło się paliwo, wyładował, wymontował busolę i „trzymając kurs na południe”, poszedł na Węgry piechotą.

STAN WOJENNY WE WSPOMNIENIACH

**NIE POZWÓLMY, ABY
WYDARZENIA SPRZED LAT
ULEGŁY ZATARCIU.
DZIELMY SIĘ RELACJAMI
Z TEGO TRUDNEGO CZASU.
KAŻDY, KTO PAMIĘTA ROK 1981,
NOSI W SOBIE WYJĄTKOWE
WSPOMNIENIA.
UŁÓŻMY Z NICH JEDYNY
W SWOIM RODZAJU OBRAZ
TAMTYCH DNI.**

WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU

**WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU
MUZEUM WSPOMNIEŃ!**

**PODZIEL SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI
ZE STANU WOJENNEGO I WEŹ UDZIAŁ
W KONKURSIE. SZCZEGÓŁY NA:
WWW.SUPERHISTORIA.PL**





W książce „Strach” Boba Woodwarta (na zdjęciu) Biały Dom za prezydentury Trumpa jest przedstawiony jako pogrążony w chaosie FOT. BLOOMBERG

Z Matthew Tyrmandem
rozmawia Marcin Makowski

Trumpa nie jest łatwo złamać

MARCIN MAKOWSKI: Bob Woodward – jeden z dwóch dziennikarzy odpowiedzialnych za ujawnienie afery Watergate – opublikował nową książkę. Nie byłoby w tym niczego niezwykłego, gdyby nie dotyczyła Donalda Trumpa i nie formułowała tezy o Białym Domu pogrążonym w chaosie, w którym czołowi przedstawiciele administracji ukrywają przed prezydentem ważne dokumenty, próbując „ocalić Trumpa przed nim samym”. Sytuacja jest aż tak poważna?

MATTHEW TYRMAND: Na pewno „Strach” Woodwarta to rzecz bardziej wiarygodna niż „Ogień i furia” Michaela Wolffa, ale tylko w niewielkim stopniu. Warto pamiętać, że Woodward obok Carla Bernsteina – obaj w latach 70. przyczynili się do obalenia Richarda Nixona – to członkowie waszyngtońskiego establishmentu dziennikarskiego, a w konsekwencji aktywiści polityczni. Przez ponad cztery dekady

swoich „bezbiasnych analiz” zabierali się właściwie tylko za republikanów. Dziwnym trafem nie demaskowali Białego Domu Baracka Obamy, nie interesowali się ciemnymi stronami polityki Hillary Clinton, a mieli niesamowite kontakty i możliwości, żeby napisać książki znacznie bardziej szczegółowe niż „Strach”.

Jakkolwiek by było, mówisz jednak o legendzie amerykańskiego dziennikarstwa. Woodward faktycznie ma swoje sympatie polityczne, ale warsztatu odmówić mu nie można.

To prawda, metodologia pracy i klasyczny fach dziennikarski sprawiają, że do książki podchodzę z większą powagą niż do sensacyjnych plotek, które do tej pory krążyły w przestrzeni medialnej. Nie sądzę, aby było go stać na zmyślanie cytatów i publikację zwykłych kłamstw, ale trzeba pamiętać, w jaki sposób dotarł do swoich źródeł. To nadal w dużej mierze anonimowi pracownicy Białego Domu, przekazujący jednostronną wersję wydarzeń, niemożliwą do zweryfikowania i siłą rzeczy mocno subiektywną. Woodward broni się, że chodzi o poważnych graczy z samego szczytu hierarchii, ale oni też mają swoją agendę. Znam wiele osób, które pracują przy Trumpie, i owszem, Biały Dom jest chaotyczny, tak jak można to wywnioskować po charakterze prezydenta, który obiecał radykalne zmiany i nigdy nie był specjalnie zrównoważony. Media recenzujące „Strach” nadają jednak temu chaosowi wymiar kolejnego kluczowego momentu w historii amerykańskiej polityki. Dlatego, choć Woodward odsłania kulisy waszyngtońskich gier o władzę, wnioski, które wyciąga, są moim zdaniem za daleko idące.

I nie było podkradania ważnych dokumentów handlowych z biurka prezydenta, aby ich przez przypadek nie podpisał i czegoś nie popsuł? Trudno przejść do porządku dziennego nad traktowaniem jednej z najbardziej wpływowych osób świata jak dziecka. I to przez własnych podwładnych.

Być może taka sytuacja miała miejsce. Stawiałbym na Gary’ego Cohna, który miał inną wizję polityki gospodarczej od Trumpa, specjalnie jej nie ukrywał i gdy nie chciał już chodzić na kompromisy, po prostu podał się do dymisji. Część z tych anegdot może być prawdziwa, ale szerszy obraz, który dopisuje do nich Woodward, prawdziwy już nie jest. Mimo wszystko prezydentura Donalda Trumpa nie polega na tym, że co tydzień bawi się on w „Koło Fortuny” i losuje kraj, z którym rozpoc-

nie III wojnę światową. A potem zmienia zdanie. Lewica chciałaby, aby Amerykanie kupili tę wizję waszyngtońskiego domu wariatów, prowadzącą w prostej drodze do zastosowania 25. poprawki oraz odwołania Trumpa ze stanowiska. To jest ostateczny cel, do którego prowadzą podobne książki. Plotką, pomówieniem, anonimowymi źródłami, „poważnymi” analizami legend dziennikarstwa – nieważne jak – trzeba doprowadzić do usunięcia Trumpa i powrotu na drogę budowy progresywnej utopii.

Świetnie, zawsze można zastosować w podobnym przypadku hiperbolę i stwierdzić, że może coś tam nie gra, ale przecież Trump nie chce wysadzić świata, ale za to „oni” nie cofną się przed niczym. Nie zapala ci się czerwona lampka?

Jeśli chodzi o fragmenty książki opisujące starcia Trumpa z członkami administracji, to nie jestem nimi zszokowany. To w końcu zadanie i praca tych ludzi, aby prowadzili politykę i doradzali prezydentowi w sposób asertywny, zgodnie z ich oceną sytuacji i dobrą wiarą. Można tutaj wymienić Stevena Mnuchina – skarbu, Petera Navarro – handlu czy Micka Mulvaneya – budżetu. Wiem, że np. John Kelly wielokrotnie starał się blokować i odradzać Trumpowi niektóre wystąpienia medialne. Jednym z nich miał być wywiad dla portalu Info Wars oraz Alexa Jonesa i zgadzam się, że Kelly zachował się tutaj jak dorosły, wiedząc, jakich odbiorców i charakter ma to medium. Donald Trump ma bardzo zły instynkt, jeśli chodzi o przemówienia, zachowanie podczas wieców oraz działania pod wpływem emocji. Zebrał jednak wokół siebie grupę ludzi, która potrafi go w skrajnych sytuacjach temperować, nie naruszając przy tym hierarchii władzy.

Dlaczego, skoro – jak twierdzisz, to w dużym mierze plotki, a system potrafi kontrolować się sam – Donald Trump zatweetował po ujawnieniu pierwszych rewelacji z książki o możliwej „zdradzie” wewnątrz Białego Domu?

Zrobił tak, bo uwielbia wielkie słowa i – tak jak mówiłem – nie jest zdyscyplinowany w swojej komunikacji, która bywa zbyt agresywna i dosadna. Zgadzam się jednak z ogólną diagnozą, że wewnątrz aparatu państwowego pojawiają się zachowania, które zupełnie wprost stanowią próbę obalenia prezydenta USA, podważenia autorytetu jego urzędu oraz sabotowania jego prac. Trudno nazwać to inaczej niż zdradą, ale

ona dotyczy raczej instytucji tzw. deep state, np. agencji wywiadu, a nie samego personelu. Jeżeli personel Trumpa podważa jego decyzje, to jeszcze nie zdrada, ale na pewno okazanie nielojalności w sytuacji, gdy ich główną cechą powinna być lojalność wobec swojego pracodawcy. Jeśli nie potrafią się na nią zdobyć, to powinni odejść. Nie wszyscy wybierają taką drogę. Niektórzy piszą za to anonimowe listy do „New York Timesa”.

Wywołałeś wilka z lasu. Po książce Woodwarda kolejny wstrząs w amerykańskiej polityce spowodowała deklaracja wysoko postawionego członka ekipy Donalda Trumpa, który zachowując anonimowość, opisał „wewnętrzny ruch oporu” w Białym Domu. Ma on działać w interesie prawdziwego republikanizmu, rzekomo zagrożonego przez prezydenta.

Woodward odsłania kulisy waszyngtońskich gier o władzę, ale wnioski, które wyciąga, są moim zdaniem za daleko idące

Jeśli pytasz mnie o zdanie na temat tego listu, to uważam go za tchórzliwy. Gdy nie zgadzasz się z polityką prowadzoną przez głowę państwa, napisz o tym pod nazwiskiem, odejdziesz, krytykuj z otwartą przyłbicą, wypunktuj błędy i powiedz, jak można je naprawić. Albo pójdz z tym do prezydenta i miej chociaż świadomość, że zrobiłeś wszystko, co się dało, aby działać w interesie Stanów Zjednoczonych. To prawda, że w Białym Domu następują tarcia i krzyżują się interesy różnych grup wpływu – ekonomicznych nacjonalistów, przedstawicieli republikańskiego establishmentu, starych elit waszyngtońskiej polityki i kręgu rodzinnego Trumpa...

Z której z tych grup twoim zdaniem wyszedł ten list?

W moim odczuciu napisał go ktoś z kręgu Krajowego Komitetu Republikańskiego (RNC), najprawdopodobniej urzędnik średniego albo wysokiego szczebla, ale nikt z czołowych postaci życia publicznego. Na pewno nie Mike Pence, jak sugeruje „The Guardian”. Jestem przekonany, że za kilka miesięcy ta osoba albo grupa osób ujawni swoją tożsamość i na fakcie wewnętrznej

krytyki Trumpa zbuduje karierę komentatora w CNN albo MSNBC.

Zalóżmy jednak na chwilę, że ta osoba działała w dobrej wierze. Może w desperacji, chcąc ratować interes narodowy, nie widziała innego wyjścia?

Nawet jeśli takie były intencje, stała się rzecz zupełnie odwrotna. Pogłębiono podziały wewnątrz Białego Domu, rozpoczęto kolejny odcinek polowania na czarownice, grillowania Trumpa i przerywania się winą, jeszcze bardziej usztywniając politykę i sposób jej prowadzenia przez obecnego prezydenta, który czuje się jak w obłożonej twierdzy. Ten list może służyć jedynie konformistom, którzy już po wszystkim, gdy Trump przestanie być głową państwa, będą się usprawiedliwiać przed demokratami gadkami w stylu: „To prawda, pracowaliśmy tam, ale to my byliśmy częścią ruchu oporu”. To niepoważne.

Czy twoim zdaniem całe to zamieszanie może wpłynąć na wizytę Andrzeja Dudy w USA? Nie obawiasz się, że Donald Trump będzie myślał gdzieś indziej, zamiast skupić się na sprawach polsko-amerykańskich?

Nie sądzę. Trumpa nie jest łatwo złamać. On grał w te gry na długo, zanim wszedł do polityki. Intrygi, spiski, podrzucanie świń i przecieki to chleb powszedni w branży nieruchomości w Nowym Jorku. Można mu wiele rzeczy zarzucić, ale na pewno nie to, że zasmuci się listem czy książką i będzie nieobecny. To jedna strona medalu, druga to taka, że obawiam się, iż niespecjalnie wiele z tej wizyty może wynikać, bez względu na towarzyszące jej zawirowania. Dla Andrzeja Dudy to głównie możliwość podbudowania wizerunkowego. Prawdziwą politykę na bazie tej wizyty: militarną, energetyczną i handlową, będą egzekwować poszczególne resorty. Dlatego bardziej niż na ruchach Kancelarii Prezydenta skupiłbym się na obserwowaniu spotkań MON w Waszyngtonie i późniejszej implementacji ustaleń przez kancelarię premiera. Nie zmienia to jednak faktu, że podczas tej wizyty trzeba wykorzystać wszystkie szanse, które teoretycznie mogą się nadarzyć, dlatego i Pałac Prezydencki, i poszczególne resorty powinny działać razem. Nie tak, jak to miało miejsce podczas lotu do Australii. Z tego, co słyszałem, tym razem uda się podpisać kontrakt na system rakietowy Homar. Tylko taka droga – lobbowania i negocjacji w jednolitym froncie – może przynieść rządowi i Polsce sukces w polityce międzynarodowej.



Jimmie Åkesson, lider Szwedzkich Demokratów, podczas wieczoru wyborczego w Sztokholmie, 9 września 2018 r.

FOT. TT NEWS AGENCY/REUTERS/FORUM

Teresa Stylińska

Szwecja dołączyła do krajów, w których partie antyimigranckie mogą mieć udział w polityce państwa. Szwedzcy Demokraci zdobyli trzecie miejsce w wyborach parlamentarnych i chcą mieć głos w budowie rządu

Od ruchu protestu do rządów

Media głównego nurtu wpadły ostatnio w panikę. Populiści u bram – w coraz bardziej alarmistycznym tonie piszą poważne dzienniki i tygodniki. Rzeczeni populiści, których porządny obywatel Europy powinien bać się jak ognia piekielnego i nigdy, przenigdy w żadnych wyborach nie popierać, to po prostu partie, które

ostrzegają przed zalaniem Europy przez imigrantów. W dodatku proponują środki zaradcze, które sprawiają, że zwolennikom poprawności włos się jeży na głowie.

GŁOS MIŁCZĄCEJ WIĘKSZOŚCI

Można odnieść wrażenie, że według wspomnianych mediów partie te dopuszczają

się zbrodni mentalnej – bo jeszcze nie faktycznej, choć po niedawnych zamieszkach w Chemnitz Alternatywie dla Niemiec (AfD) zarzucano, że nawoływała do polowania na imigrantów – znacznie gorszej niż wszystko, co Europa do tej pory widziała. Choćby przez to, że głoszą idee, których głoszenie jest bardzo źle widziane. Na przykład to, że imigran-

ci nie tylko źle się integrują, lecz także często w ogóle nie chcą się integrować.

Gdyby jednak sprawa ograniczała się do warstwy słownej, nie byłoby tak źle. Najgorszą zbrodnią partii antyimigranckich jest to, że zyskują coraz więcej zwolenników, są coraz bliżej władzy, a tu i ówdzie nawet uczestniczą w rządach.

Powód do bicia na alarm tym razem dała rosnąca popularność Szwedzkich Demokratów. A przecież Europa nie otrząsnęła się jeszcze po tym, co się stało we Włoszech, gdzie po marcowych wyborach partią współrządzającą została antyimigrancka Liga, wcześniej znana jako Liga Północna. Liga przed laty zasiadała już w rządach Silvia Berlusconi, ale zawsze była w nich mniejszym, choć nie pozbawionym wpływów (to przez nią właśnie w Rzymie zbyt skromnie celebrowano 150-lecie powstania zjednoczonych Włoch) partnerem Forza Italia. Tym razem jednak Liga gra w rządzie pierwsze skrzypce, a jej lider Matteo Salvini jako wicepremier i minister spraw wewnętrznych jest widoczny bardziej niż premier Giuseppe Conte.

Znaczenia Szwecji nie da się oczywiście porównać z ciężarem gatunkowym Włoch. Włochy są duże, mają 60 mln mieszkańców, a nie 10, tak jak Szwecja, są członkiem grupy G7 i w dodatku należą do grona założycieli Unii Europejskiej. Jednak za to Szwecja uchodzi za kraj najbardziej liberalny, postępowy i otwarty, również na uchodźców i imigrantów, jeśli więc zwolenników zyskuje partia, która tej utrwalonej opinii zadaje kłam, to ma to oczywiście swoją wymowę. Pokazuje bowiem, że nawet społeczeństwo najbardziej przychylne obcokrajowcom z innych kultur może w końcu stracić cierpliwość.

Szwedzcy Demokraci i inne partie antyimigranckie nie sprzeciwiają się już, jak to było pierwotnie, jedynie obecności imigrantów nielegalnych. Dzisiaj w równej mierze kwestionują obecność tych, którzy uzyskali wprawdzie zgodę na pobyt, przebywają więc w Europie legalnie, ale nie zamierzają się integrować, obstając przy wzorach

przyniesionych ze świata, w którym wyrosli. Obrońcy praw człowieka, uważający, że wszystkie kultury są sobie równe i nikomu nie wolno niczego narzucać, znakomicie im to zadanie ułatwiają.

Meczety, mużułmańskie ubiory, mniej lub bardziej ukryta poligamia, stosunek do kobiet, a nawet postulat wprowadzenia szariatatu, którego zasady stosowano by wobec wyznawców islamu (takie oczekiwania formułowano już w Wielkiej Brytanii) – to tylko parę przykładów pokazujących, ku czemu zmierza Europa. Rosnące poparcie dla partii, które uważają, że pora te tendencje powstrzymać, pokazuje jednak, iż milcząc do tej pory większość zaczyna powoli dochodzić do głosu. Kryzys imigracyjny z 2015 r. sprawił bowiem, że została przekroczona masa krytyczna.

Najazd z jednej strony, ustępliwość wielu rządów i instancji unijnych z drugiej, w połączeniu z poczuciem, że utrzymanie imigrantów pochłania wielkie pieniądze, a dla mieszkańców jest źródłem wielu niedogodności – to wszystko sprawiło, że zaczęto uważniej wsłuchiwać się w to, co głoszą Szwedzcy Demokraci, Liga i podobne im partie. Jak zauważają obserwatorzy, wprowadzili do debaty publicznej nowe tematy. I są to tematy, o których ludzie chcą mówić.

SOCJALDEMOKRACI W STRACHU

Partia Szwedzkich Demokratów powstała w 1988 r., ale przez długi czas funkcjonowała na marginesie życia politycznego, zresztą tak jak inne pokrewne jej ugrupowania, poza może francuskim Frontem Narodowym, który, choć na scenie politycznej otoczony kordonem sanitarnym, dość szybko zdołał zaistnieć w świadomości społecznej. SD dopiero w 2010 r.

przekroczyli czteroprocenowy próg wyborczy i weszli do parlamentu, zdobywając 5,9 proc. głosów. Był to początek prawdziwego przyspieszenia: w 2014 r. uzyskali prawie 13 proc. głosów i stali się trzecią partią Szwecji, po socjaldemokratkach i moderatach (tak nazywa się członków konserwatywnej Umiarkowanej Partii Koalicyjnej).

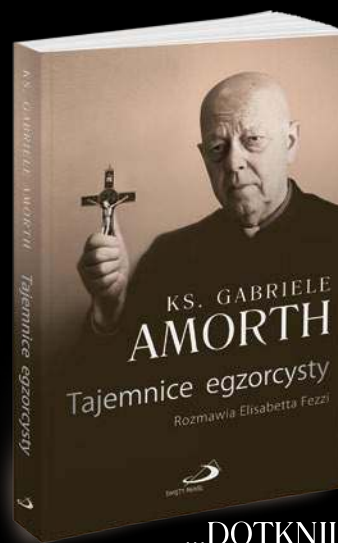
W tym roku przez całą kampanię wyborczą przewijało się pytanie, czy Szwedzcy Demokraci przeskoczą moderatów, stając się drugą partią Szwecji. Poparcie dla obu tych ugrupowań oscylowało wokół 20 proc., ale w przypadku SD wyraźna była tendencja wzrostowa. Najbardziej odważni snuli więc rozważania, czy SD mogą pokonać socjaldemokratów i zająć pierwsze miejsce. Byłaby to istna rewolucja, bo socjaldemokraci od 1917 r. nigdy nie przegrali wybo-

rów, co jest chyba rekordem światowym. Jeśli parę razy stracili władzę, to nie na rzecz pojedynczej partii, ale całego bloku centroprawicy.

To za sprawą SD w obecnej kampanii wyborczej pojawiły się wątki, których wcześniej nie było – prawa, porządku, bezpieczeństwa. Dawniej nie było potrzeby, by te kwestie szczególnie eksponować, skoro Szwecja uchodziła za oazę spokoju, bezpieczeństwa i stabilności. Tymczasem rozmiary ostatniej fali imigracji (tylko w 2015 r. Szwecja przyjęła 163 tys. ludzi, w przeliczeniu na głowę mieszkańca najwięcej w Europie) wszystko odmieniły. Na domiar złego w ciągu ostatnich kilku miesięcy odnotowano serię podpalen samochodów w Sztokholmie i w innych miastach, a także przypadki strzelaniny w miejscach publicznych. Nawet jeśli, jak stwierdziła policja, były

REKLAMA

POZNAJ CZŁOWIEKA, KTÓRY NIE BAŁ SIĘ SZATANA...



34,95 zł
29,95 zł

...DOTKNIJ Tajemnicy

PATRONAT MEDIALNY:
Aleteia.pl EGZORCYSTA OPORA



www.edycja.pl

ksiegarnia@edycja.pl

605 313 543

oferta ważna do 30.09.2018 r.

to porachunki w środowisku imigrantów, Szwedzi nie mogli już czuć się tak bezpiecznie jak zawsze.

Socjaldemokraci, być może pod wrażeniem rosnącej popularności SD, dokonali wyraźnego zwrotu. Dzisiaj już przyznają, że przez parę ostatnich lat w polityce imigracyjnej popełnili wiele błędów. W ramach spektakularnej akcji ratowania reputacji i szans wyborczych zdecydowano, że rocznie Szwecja może przyjąć najwyżej 26 tys. osób, a premier Stefan Löfven mówi nawet, że liczbę tę należy zmniejszyć o połowę. Szwecja ma przestać przyjmować ludzi bez dokumentów i ostrzej karać tych, którzy dopuścili się przestępstw.

Premier Löfven miał powody do obaw. Gdyby było inaczej, nie nazywałby Szwedzkich Demokratów „neofaszystowską partią jednego tematu”, nie ostrzegałby Szwedów, na dzień przed wyborami, by nie głosowali na „niebezpiecznych ekstremistów”.

DO JEDNEGO WORKA

Program formułowany przez partie antyimigranckie jest wszędzie mniej więcej taki sam. Chodzi generalnie o to, by radykalnie zahamować napływ imigrantów, staranniej badać ludzi, którzy chcieliby osiedlić się w danym kraju, przyznawać prawo pobytu tylko tym, którzy dają nadzieję na asymilację, i skutecznie pozbywać się ludzi niepożądanych. Wnioski o azyl należy także rozpatrywać w specjalnych ośrodkach poza granicami Europy. Do tego dochodzą względy ekonomiczne: nie może być tak, że państwo przeznacza duże pieniądze na utrzymanie imigrantów – na zasiłki, mieszkania, kursy językowe, oświatę – kosztem własnych obywateli. Za sprawą ważną partie antyimigranckie uważają też kontrolę nad granicami, siłą rzeczy więc nie zaliczają się do entuzjastów strefy Schengen.

Dlatego ugrupowania te wrzucane są do jednego worka, choć w gruncie rzeczy w szczegółach sporo je różni, poczynając od genezy. Tylko niektóre zrodziły się rzeczywiście z protestu przeciwko imigrantom i zmianom, które ich obecność wniosła do życia społeczeństw europejskich. Tak powstały przede wszystkim francuski Front Narodowy, który ostatnio zresztą zmienił nazwę na Zgromadzenie Narodowe, i Duńska Partia Ludowa. Włoska Liga Północna pierwotnie działała jako ruch separatystyczny. Alternatywa dla Niemiec powstała ze sprzeciwu wobec wspólnej waluty i funkcjonowania strefy euro. Grecki Złoty Świt – z pragnienia przywrócenia „wielkiej Grecji”, niezależnie od tego, co może to współcześnie oznaczać.

Różni je także wiek. Partią w bardzo już dojrzałym wieku jest Front Narodowy, istniejący od blisko pół wieku. Został założony w 1972 r. i przez lata miał mnóstwo okazji, by doświadczyć zarówno ostracyzmu, jak i sukcesów, takich jak udział jego przywódców – najpierw Jeana-Marie Le Pena, ostatnio jego córki Marine – w drugiej turze wyborów prezydenckich. Za to Alternatywa dla Niemiec jest w wieku iście dziecięcym – istnieje zaledwie sześć lat. Większość partii ma jednak za sobą 20–30-letnie doświadczenie, na tyle duże, by mogły mieć wykrystalizowane programy i cele.

Odnajdujemy dla porządku, że do najbardziej znaczących antyimigranckich partii Europy zaliczają się również Wolnościowa Partia Austrii, holenderska Partia Wolności, Finowie (którzy wcześniej nosili nazwę Prawdziwych Finów), a także, spoza Unii Europejskiej, Szwajcarska Partia Ludowa. Ów wspólny worek, do którego wrzucają je eksperci i media, nosi nazwę „nacionalistycznego” lub „skrajnej prawicy”. Trafnie czy nie, ale przynajmniej brzmi to rzeczowo, w przeciwieństwie

do nic niemówiącego określenia „populiści”, które sprawdza się doskonale wyłącznie w roli obelgi.

JESZCZE NIE TERAZ

Tym, co zdecydowanie różni partie antyimigranckie, jest udział w rządach i wpływ na politykę. Tym, co łączy – rosnąca popularność. Niektóre z nich wyniosła już do władzy, dając im możliwość wcielania w życie idei i programu. W ostatnim czasie sztandarowym tego przykładem jest włoska Liga. Matteo Salvini jako szef resortu spraw wewnętrznych zaczął od zamknięcia włoskich portów przed statkami wiozącymi imigrantów z Afryki, co oczywiście ściągnęło na niego gromy, zwłaszcza z Brukseli i Paryża.

Najmocniejszą pozycję ma niewątpliwie Szwajcarska Partia Ludowa. Jest największym ugrupowaniem Szwajcarii, w dodatku wygrywa wybory z przewagą, jakiej od stu lat nie notowała żadna szwajcarska partia – prawie 30 proc. w ostatnich wyborach parlamentarnych.

Szwedzcy Demokraci, choć mają coraz więcej zwolenników, nigdy nie mieli złudzeń co do tego, czy po wyborach zyskają szansę na wejście do rządu. Jeszcze nie teraz – zgodnie podczas kampanii mówili Jimmie Åkesson, lider partii, i inni członkowie jej kierownictwa. Zarazem jednak podkreślali, że oczekiwany sukces powinien przełożyć się na jakąś formę kształtowania polityki, nawet bez udziału w rządzie.

Nie może być tak, że państwo przeznacza duże pieniądze na utrzymanie imigrantów kosztem własnych obywateli

W rządach swych krajów zasiadają także Finowie oraz Wolnościowa Partia Austrii, tym razem jednak jej wejście do rządu nie spotkało się z takim protestem ze strony Unii, jak było 20 lat temu. Austria przez wiele miesięcy była wówczas objęta unijnym bojkotem dyplomatycznym. O udziale we władzy myśli też oczywiście Front Narodowy. Czy nie dlatego dokonano zmiany nazwy? Przyjęcie nowej – która w powszechnym użyciu nie zdołała jak dotąd zastąpić dawnej – ma zdjąć z partii piętno rasizmu i antysemityzmu, które w swoim czasie do niej przylgnęło głównie za sprawą Jeana-Marie Le Pena. Bo przecież, jak na ostatnim zjeździe mówiła Marine Le Pen, Front powinien wreszcie stać się siłą rządzącą, a nie tylko ruchem protestu.

Wzorem do naśladowania jest dla SD Duńska Partia Ludowa, która wprowadziła w rządzie nie zasiada, ale w razie potrzeby udziela mu poparcia w parlamencie. Nie za darmo jednak. Duńscy sojusznicy SD (obie partie bardzo blisko ze sobą współpracują) w zamian za to zastrzegli sobie wpływ na politykę imigracyjną. Dzięki temu zdołano ostatnio przyjąć ustawę o obywatelstwie, zgodnie z którą nowy obywatel Danii musi przyjąć duńskie zasady i sposób życia.

Czy Szwecja, ironicznie nazywana „Islamskim Królestwem Szwecji”, mogłaby pójść w tym kierunku? Szwedzcy Demokraci z pewnością by tego chcieli, bo – jak mówi Jimmie Åkesson – są „jedyną partią, która nad dobro imigrantów przedkłada interesy obywateli szwedzkich”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



JAK SERENA WALCZY O RÓWNOUPRAWNIENIE

Tenisistka Serena Williams przegrała finał turnieju US Open. Sama przegrana nie była jednak tak głośna jak styl przegranej. Amerykanka dostała od sędziego dwa ostrzeżenia po kolei: za korzystanie ze wskazówek trenera, za roztrzaskanie rakiet, co skutkowało utratą punktu. Nazwała go za to złodziejem i dostała trzecie ostrzeżenie, tracąc całego gema. Po turnieju oskarżyła sędziego o seksizm i stwierdziła, że mężczyznom takie odzywki uchodzą płazem. – Jestem tu, by walczyć o prawa i równość kobiet w sporcie – dodała.

FOT. FRÉDÉRIC APPESTI/NEWS

BEZ BIKINI, ALE Z POLITYKĄ

Po wielkiej kampanii #MeToo wybory Miss America po raz pierwszy odbywały się bez części, w której panie chcące uchodzić za najpiękniejsze w kraju paradowałyby w strojach bikini (to, że paradują w innych i że wciąż ocenia się urodę, nikomu nie przeszkadza). Zamiast pokazów w skąpych strojach były rozmowy. Miss Wirginii Zachodniej na pytanie o największe wyzwanie dla kraju odpowiedziała, że to Donald Trump, który spowodował wiele podziałów. A Miss Wirginii uznała, że gracze NFL mają prawo robić różne pozy i protesty podczas grania hymnu. To może jednak lepiej wrócić do bikini?

BO POMYLIŁA MIESZKANIA

Kto kupuje mieszkanie, ten powinien trzymać się z dala od tych w sąsiedztwie policjantów. Zwłaszcza w USA. Funkcjonariuszka w Dallas wróciła z pracy i weszła nie do swojego mieszkania. Nie

zorientowała się, że nie jest u siebie, i zastrzeliła 26-letniego sąsiada, którego wzięła za intruza. Przełożeni odesłali ją na urlop do czasu wyjaśnienia sprawy.

KOBIETY OD STOŁU

Dyrekcja Urzędu ds. Islamu w indonezyjskim okręgu Bireuën zaleciła nowe regulacje – w restauracjach i kawiarniach kobiety mogą siadać z mężczyznami jedynie wówczas, gdy są oni ich krewnymi lub małżonkami. Kobietom nie będzie też się podawać jedzenia po godz. 21 (chyba że są z męskim krewnym lub małżonkiem). Dyrektor urzędu tłumaczył, że wspólne jedzenie to w świetle szariatu grzech. I dodawał, że nowe przepisy mają „ochronić godność kobiet”.

ATRAKCYJNY TUNEL

Internauci postanowili zmanipulować dane w znanej internetowej aplikacji turystycznej. Dzięki żartowi wielu ludzi za największą atrakcję Sainsbury (Wielka Brytania) uznany został plastikowy tunel przy jednym z centrów handlowych. ©©

Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Artystyczne rozdziawienia

Kobieta obnażyła się w Lourdes pod figurą Matki Bożej, twierdząc, że jest wcieleнием objawień Dziewicy. Opiekunowie sanktuarium wezwali karetę. Dziewictwa nie sprawdzano, ale dokumenty owszem. Okazało się, że to znana wszem wobec Deborah De Robertis, artystka dyplomowana (Akademia Sztuk Pięknych w Brukseli), która postanowiła w ten sposób ubogacić pielgrzymów artystycznie.

Performerka, służąc sztuce i feminizmowi, od kilku lat obnaża się w miejscach publicznych, a na dodatek rozdziawia, pokazując intymne szczegóły swego ciała. Najsłynniejsze z licznych rozdziawień artystycznych miały miejsce w Luwrze przed „Moną Lisą”

i w Musée d'Orsay przed „Olimpią” Maneta, i „Pochodzeniem świata” Courbeta. Tym dwóm ostatnim rozdziawieniom towarzyszyły „Ave Maria” Schuberta i natchnione strofy litanii, którą artystka napisała specjalnie na tę okazję: „Ja jestem początkiem, ja jestem wszechkobietą, ja jestem kreatorką spermy” etc. Jak wyjawiała potem: „Ucieleśniając modelki z obrazów chciałam je ożywić i uwolnić z ram, w których zamknęły je malarze, odwracając w ten sposób historyczny, polityczny i artystyczny punkt widzenia”.

Pal diabli szurniętą babę, jej punkt widzenia (czyżby punkt G?) i bełkot, od którego przecież roi się w spektaklach performerów. Najbardziej poraża kretyzmem to, co na temat

epatowania wargami sromowymi mają do powiedzenia krytycy sztuki i pisma artystyczne. Weźmy choćby włoskie „Stile Arte”: „Deborah De Robertis, otwierając nogi, dialoguje swoją nagością z Courbetem i Manetem. Ta odważna, piękna, nieśmiała kobieta używa pochwy nie tylko, by prowokować. Proponuje nam podróż w głąb. To zwycięstwo sromu i pochwy, ich triumf. Pochwa ma prawo wypowiedzi. Przestaje być tylko obiektem”.

Z tych bredni zrozumieć coś trudno, ale przynajmniej wiemy, którą częścią ciała dialoguje, wypowiada się, triumfuje i podróżuje w głąb feminizm artystyczny. Od dłuższego czasu nie było w tej sprawie jasności. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



FOT. FOTOLIA



Stefan Sękowski

Pracownicze Plany Kapitałowe w niewielkim stopniu podniosą nasze emerytury. Będą służyć wyciąganiu od pracowników pieniędzy, które przeznaczy się na dofinansowanie głównie największych – w tym państwowych – polskich firm

Powtórka z OFE

O tym, że czeka nas emerytalna katastrofa, mówi się nie od dziś. Prognozy Zakładu Ubezpieczeń Społecznych zawarte w „Zielonej księdze przeglądu emerytalnego”, z których wynika, że w 2060 r. emerytury (jeśli nic się nie zmieni) będą wynosić 45–52 proc. ostatniego wynagrodzenia, są i tak optymistyczne w porównaniu z innymi, np. raportem „Pensions at a Glance” OECD, według którego dzisiejsi 20-latkowie mogą liczyć na stopę zastąpienia w wysokości 34–39 proc. Na złotą jesień pod palmami się więc nie zanosz. Zmienić mają to Pracownicze Plany Kapitałowe. Czy będą z nich wyższe emerytury?

ZAPŁACĄ PRACOWNICY

Jeśli ustawa, której projekt wpłynął na początku września do Sejmu, wejdzie

w życie, to firmy w Polsce będą musiały podpisywać z instytucjami finansowymi umowy o prowadzenie Pracowniczych Planów Kapitałowych, a także poinformować pracowników o możliwości skorzystania z nich. Biorąc przykład z Donalda Tuska, który swego czasu postanowił o domyślnej zgodzie pracowników na przenoszenie ich z OFE do ZUS, Mateusz Morawiecki chce, by także zgoda pracowników na uczestnictwo w PPK była założona z góry. Z uczestnictwa będzie można zrezygnować, jednak co cztery lata trzeba będzie swoją decyzję odnowić, inaczej zostanie się do niego zapisanym. PPK będą prowadzone przez towarzystwa funduszy inwestycyjnych, powszechne towarzystwa emerytalne i zakłady ubezpieczeń.

Cała przyjemność będzie kosztowała pracodawcę 1,5 proc. dochodów jego

pracownika, pracownika w zależności od dochodów 0,5–2 proc. – obie stawki będzie można dobrowolnie podwyższyć tak, by łącznie wyniosły maksymalnie 8 proc. Na tych, którzy zdecydują się korzystać z PPK, czekać będzie wpłata powitalna (250 zł), a jeśli będą regularnie odprowadzać pieniądze, to dodatkowo dopłata roczna (240 zł). Pieniądze te (plus oczywiście to, co one „wypracują”) mają być wypłacone po osiągnięciu 60. roku życia co najmniej przez 10 lat.

Pomysł ten oznacza obciążenie pracodawców i pracowników dodatkową daniną. Jednak także na wpłaty i dopłaty zrzucać się pracownicy oraz pracodawcy, bo te pokrywane będą z Funduszu Pracy, na który już odprowadzana jest składka. Z FP wypłaca się m.in. zasiłki dla bezrobotnych i opłaca ich doszkalanie. Z racji

dobrej sytuacji gospodarczej FP ma dziś nadwyżkę, na którą rząd ma chrapkę w kontekście nie tylko PPK, lecz także funduszu solidarnościowego na rzecz niepełnosprawnych. Szkopuł w tym, że natura funduszu jest taka, iż pieniądze na cele, które mu wyznaczono, są najbardziej potrzebne, gdy maleją jego wpływy, tzn. kiedy rośnie bezrobocie. Zamiast więc w czasie prosperity odkładać pieniądze na gorsze czasy, rząd robi skok na fundusz, który trzeba będzie dofinansować, gdy sytuacja na rynku pracy nie będzie tak dobra jak obecnie.

BUDOWA KAPITAŁU PAŃSTWA

Może jednak opłaca się ponieść takie koszty? Aby pieniądze mogły „rosnąć”, potrzebują odpowiedniego nawozu. Autorzy ustawy dokładnie określili widełki, w jakich mieścić się mają poszczególne części portfela inwestycyjnego w zależności od wieku pracownika. Fundusz ma za nasze pieniądze kupować np. akcje przedsiębiorstw czy obligacje skarbowe bądź samorządowe. Im jesteśmy młodszy, tym większą część naszych składek będzie przeznaczal na zakup papierów wartościowych, która znajduje się w części udziałowej (np. akcje), jednak wraz z wiekiem coraz większa część przeznaczana będzie na część dłużną (m.in. obligacje). Ma to na celu połączenie ze sobą możliwości z jednej strony uzyskania jak największego zwrotu, z drugiej zaś tego, by inwestycje te były jak najbardziej bezpieczne. Zasadniczo zakłada się, że akcje – choć inwestowanie w nie jest bardziej ryzykowne – przynoszą w dłuższym terminie większy zysk: z biegiem czasu zysk ten rząd chce coraz bardziej „zabezpieczać” poprzez kupowanie obligacji.

Rząd pomyślał także o tym, na co fundusze mają wydawać te pieniądze. Przykładowo co najmniej 40 proc. części udziałowej ma iść na akcje przedsiębiorstw wchodzących w skład indeksu WIG20. To największe polskie firmy notowane na warszawskiej giełdzie, w których w większości swoje udziały ma państwo (głównie branże: energetyczna, bankowa i ubezpieczeniowa). Nie więcej niż 20 proc. środków może pójść na akcje „średnich” firm, notowanych z indeksu WIG40, nie więcej zaś niż 10 proc. – pozostałych

spółek z GPW (reszta ma być inwestowana w firmy notowane na zagranicznych giełdach). Jeśli dodamy do siebie to, że duża część omawianych spółek to firmy przynajmniej częściowo państwowe, że od samego początku co najmniej 20 proc. pieniędzy ma iść na zakup obligacji, a także że co najmniej 70 proc. tych wszystkich środków ma pozostać w kraju, to okaże się, że mamy w dużej mierze plan, ale budowy kapitału państwa. Tym bardziej że jeśli przedsiębiorca nie wybierze żadnego funduszu, to jego pracownicy zostaną przydzieleni do „wyznaczonej instytucji finansowej”, która będzie „TFI, w którym więcej niż 50 proc. udziału w kapitale zakładowym posiada Polski Fundusz Rozwoju”. Ten sam PFR,

Pieniądze mają być wypłacane przez 10 lat. Emerytury wielu Polaków zmaleją w okresie, w którym życie będzie dla nich coraz droższe

który będzie zawiadywał całym systemem. Funduszem, który spełnia warunki ustawowe, by być „wyznaczoną instytucją finansową”, jest... PFR TFI. Sytuacja, w której obsługujący system jest jednocześnie jednym z graczy, nie budzi zaufania – a więc zastanawia, w akcje konkretnie jakich przedsiębiorstw będzie inwestował podległy mu fundusz.

NBP PRZESTRZEGAŁ

Efekt będzie więc taki, że „rozwój lokalnego rynku kapitałowego” (to jeden z celów PPK) będzie polegał przede wszystkim na dokapitalizowaniu głównie największych państwowych spółek. Inwestycje przez fundusze należące do państwa mogą także służyć przekierowywaniu środków w stronę tych przedsięwzięć, które rząd w ramach Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju uzna za najważniejsze dla państwa. Z kolei strumień pieniędzy, który popłynie do rządu w postaci zakupu obligacji skarbowych, w dłuższej perspektywie zadłuży dodatkowo nasz kraj. Jak może wyglądać to w praktyce, pokazuje los Otwartych Funduszy Emerytalnych, które po reformie emerytalnej z 1999 r. otrzymały możliwość inwestowania środków pobieranych od osób pracujących. Wyrwę, którą w ZUS poczyniło przekierowanie którąś składki do OFE, łataną pieniędzmi pożyczanymi m.in.

od... OFE. W 2014 r., za rządów PO-PSL, zakazano inwestowania pieniędzy ze składek w dług publiczny – miało to jednak i złą stronę, ponieważ w efekcie fundusze pozostały tylko z możliwością bardzo ryzykownego inwestowania w akcje. Przykładowo w lutym 2018 r., który był najgorszym miesiącem na GPW od siedmiu lat, akcje kupione przez fundusze straciły na giełdzie ok. 5 proc., co przełożyło się na uszczuplenie wartości aktywów przyszłych emerytów łącznie o ok. 10 mld zł.

Powstawania baniek na giełdzie obawia się Narodowy Bank Polski, który skrytykował tak duży udział akcji największych spółek w portfelach inwestycyjnych. To niejedyne uwagi, które wyraził bank centralny wobec projektu ustawy. NBP skrytykował także m.in. zbyt wysokie opłaty, które fundusze będą musiały płacić PFR za udział w systemie, a także to, że pieniądze mają być wypłacane w założeniu przez 10 lat. Zważywszy na to, że mężczyźni żyją w Polsce średnio 74 lata, kobiety zaś 82, emerytury wielu Polaków zmaleją w okresie, w którym życie będzie dla nich coraz droższe.

Rząd zakłada, że z programu może skorzystać potencjalnie 8,5 mln z 11,5 mln zatrudnionych. Faktem jest, że obecnie w III filarze na emeryturę odkłada znacznie mniej osób – łącznie rachunków otwartych na Indywidualnych Kontach Emerytalnych, Indywidualnych Kontach Zabezpieczenia Emerytalnego i w Pracowniczych Programach Emerytalnych (już dziś istnieją i są zupełnie dobrowolne) jest mniej niż 2 mln, a faktycznie pieniądze odkłada na nich jeszcze mniej osób. Jednak nie tylko dlatego, że im się nie chce – jak piszą autorzy projektu w uzasadnieniu, powołując się na „Zieloną księgę”, „trzy czwarte Polaków w żaden sposób nie odkłada pieniędzy z przeznaczeniem na zabezpieczenie na starość, a dominującym powodem nieoszczędzania na cele emerytalne jest brak wystarczających środków finansowych, małe przychody lub ich brak. Osób, które nie odkładają pieniędzy na starość, mimo że mają odpowiednie na to środki, jest ok. 11 proc.”. Trudno zrozumieć, dlaczego rozwiązaniem problemu braku wystarczających środków finansowych miałyby być... dorzucanie pracownikom dodatkowych składek.

PPK pokazują, że niestety kolejni rządzący wciąż obracają się w starych schematach myślowych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u „Nowa Konfederacja”.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Internet równych praw

Proszę sobie wyobrazić, cokolwiek państwa robią zawodowo (i z tego żyją) – jako właściciele firmy lub jej pracownicy – że każdego dnia bez przeszkód może do państwa przedsiębiorstwa zajrzeć każdy, kto tylko chce – w tym biznesowi konkurenci – i bez ponoszenia kosztów (lub – w najlepszym razie – w istocie za grosze) skopiować sobie co smakowitsze kaski z oferty państwa firmy, które potem, a właściwie niemal równocześnie z państwem, może sprzedawać lub – uwaga! – rozdawać swoim klientom. I dzieje się tak każdego dnia, tygodnia, miesiąca i roku. Wiem, to trudne do wyobrażenia dla kogoś, kto wytwarza buty czy chleb – no bo jak je bez poniesienia kosztów, i do tego błyskawicznie, skopiować. Jest jednak biznes, w którym tak to właśnie wygląda – to wszelkiego rodzaju twórczość: artystyczna, dziennikarska itd.

Pisząc w sporym uproszczeniu, to właśnie w tej sprawie zagłosował niedawno Parlament Europejski, stając – też pisząc w niemającym uproszczeniu – po stronie twórców i ich wydawców. A także, w gruncie rzeczy, po stronie ich czytelników, słuchaczy i widzów. I choć to dopiero wstęp do zapewne długich i żmudnych negocjacji PE z Radą Europejską i Komisją Europejską – negocjacji, które być może zakończą się przyjęciem unijnej dyrektywy, a tę będzie jeszcze czekać

implementacja przez państwa członkowskie UE – to i tak decyzja europarlamentu do białości rozgrzała wiele internetowych forów.

Rzeczona dyrektywa UE ma doprowadzić do równowagi między wynagrodzeniem, które za swe utwory otrzymują autorzy i ich wydawcy (jeśli takich mają), a dochodami, które z ich udostępniania czerpią platformy internetowe. Wyłączne prawo do powielania utworów mają uzyskać wydawcy związani z autorami umowami, a wydawcy prasowi zostaną oficjalnie uznani za podmioty praw autorskich. Natomiast wyszukiwarki internetowe, portale itd. będą musiały monitorować publikowane u nich treści i blokować te, które łamią prawa autorskie.

Czekając więc proces długi, a to oznacza, że niektóre ofiary trwającego od lat procederu odzierania ich w sieci z ich własności mogą nie dać rady przetrwać na takim „wolnym” rynku do tego czasu. Na domiar złego, jeśli tylko próbują podzielić się publicznie swymi poglądami w tej sprawie, muszą się mierzyć z wylewającą się na nie falą zarzutów o co najmniej sprzyjanie cenzurze w Internecie – w końcu nie przez przypadek szykowane rozwiązanie jego przeciwnicy okrzyknęli mianem ACTA 2, dopatrując się w nim próby ograniczenia wolności słowa.

Cóż to jednak za wolność słowa, która ogranicza wolność korzystania z własnych praw autorskich? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Z końskiej perspektywy

Siwiek do Karego: „Wiesz, obawiam się, czy te pojazdy z silnikiem spalinowym nie doprowadzą do sytuacji, że w ogóle nie będziemy potrzebni”. – „Nie martw się. Przecież nasi przodkowie mieli takie same obawy, gdy w XIX w. pojawił się silnik parowy i pociągi napędzane lokomotywami parowymi zaczęły wozic towary zamiast pojazdów konnych. I co? I teraz mam więcej pracy niż kiedykolwiek, i jest to o wiele lepsza praca. Bo ja osobiście to wolę być zaprzęgnięty do lekkiej karocy, niż ciągnąć wóz pełen worków z mąką albo

balnemu boomowi gospodarczemu, a potem dramatycznie spadła do ok. 3 mln w 1960 r., czyli o prawie 90 proc. Na szczęście konie w USA nie wyginęły, ale były utrzymywane prawie wyłącznie ze względów rekreacyjnych i ich populacja obecnie wynosi ok. 10 mln.

W tej „końskiej” historii jest jeden ciekawy wątek, który może być istotny dla zrozumienia, jaki będzie wpływ sztucznej inteligencji i robotyzacji na rynek pracy ludzkiej. Gdy pojawiła się przełomowa innowacja, silnik parowy, nie wpłynęło to istotnie na populację koni, a praca przez nie wykonywana stała się łatwiejsza, bo najcięższe towary były wożone parowozami. Gdy pojawił się silnik spalinowy, to przez pierwsze dwie dekady nie było spadku populacji koni, dopiero potem zaczęła się prawdziwa katastrofa. Co było przyczyną tej opóźnionej końskiej rzezi? Jednym z czynników stały się problemy sanitarne. W 1908 r. 120 tys. koni codziennie zostawiało na ulicach Nowego Jorku 60 tys. galonów moczu i 2,5 mln funtów odchodów. Jakby tego było mało, w rolnictwie zaczęto odchodzić od nawożenia końskimi odchodami na rzecz nawozów sztucznych. Nastąpiły też zmiany w infrastrukturze miast, drogi gruntowe, po których konie mogły się swobodnie poruszać, zostały stopniowo zastąpione zbyt śliskimi dla koni asfalem.

Tak było z końmi i silnikiem. A jak będzie z ludźmi i ze sztuczną inteligencją? ©©

**Na szczęście konie
w USA nie wyginęły
i ich populacja
obecnie wynosi
ok. 10 mln**

cały dzień chodzić w kółko w kieracie, napędzając pompy w kopalni. Poza tym dzięki silnikowi parowemu mieliśmy olbrzymi postęp, ludzie stali się bogatsi i znacznie więcej osób mogło sobie pozwolić na dorożkę lub karocę”. – „No nie wiem. Jednak boję się, że te silniki spalinowe nas zastąpią i wtedy ludzie nie będą chcieli nas karmić i utrzymywać”. – „Ty nie bądź takim luddystą, przecież Ci pokazałem, że historycznie rzecz biorąc, postęp technologiczny jest dobry dla koni”.

Cóż, koń sceptyk miał rację. Populacja koni w USA wzrosła z 21 mln w 1900 r. do 26 mln w 1915 r. dzięki glo-

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.



15-16 listopada 2018

G2A Arena
Rzeszów-Jasionka

Kongres 590
w liczbach

4 000
uczestników



400
dziennikarzy



424
panelistów



74
panele
dyskusyjne



Zapraszamy do rejestracji

Ponad 8,6 tys. osób odebrało numery startowe podczas Festiwalu Biegowego w Krynicy-Zdroju. To o blisko pół tysiąca biegaczy więcej, niż ruszyło na trasy przed rokiem

Jesteście wyjątkowi. Jesteście najtwardsi, najwytrwalsi. Jesteście szczególni! – mówił dyrektor sportowy krynickiej imprezy Marek Tokarczyk do uczestników Brubeck Iron Run. I te słowa dobrze oddają charakter tej konkurencji. Biegać trzeba na ulicy i w górach przez trzy dni, aby pokonać w dziewięciu biegach w sumie 141 km.

W kategorii poniżej 40 lat po raz drugi z rzędu triumfował Artur Jendrych. W kategorii powyżej 40 lat po raz trzeci wygrał Radosław Ślaski. Wśród kobiet najlepsza była Aneta Ściuba z Lublina. Jej droga na najwyższy stopień podium wiodła przez pechowy upadek w biegu ultramaratońskim na 64 kilometrów.

BOHATEROWIE SĄDECKICH DOLIN

W Biegu 7 Dolin na dystansie rozgrywanym w ramach Ultramaratonu Wyszehradzkiego im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego nie było mocnych na duet Ewa Majer i Bartosz Gorczyca. Para ultramaratończyków z Krynicy zdominowała zmagania na 100-kilometrowej pętli wytyczonej w Beskidzie Sądeckim.

– Na tej trasie biegam i trenuję. Mógłbym ją przebiec nawet bez oznaczeń. To daje mi przewagę, wiem, jak ułożyć bieg – mówił na mecie Bartosz, który przeżywał ciężkie chwile, gdy wybiegał z Piwnicznej i w drodze do Wierchomli. Na mecie Gorczyca uzyskał czas 9:03:45 – o ponad 20 minut lepszy od ubiegłorocznego. Niestety, nie udało się pobić rekordu trasy Węgra Németha Csaby i sięgnąć po dodatkową premię finansową ufundowaną przez organizatora – Fundację „Festiwal Biegów”.

Ewa Majer – partnerka życiowa Bartosza – nie chciała być gorsza. Celem była wygrana, ale i należący do niej rekord trasy (9 godzin i 41 minut – przyp. red.). Zabrakło 40 minut. – Od 50. kilometra kolano bolało mnie tak bardzo, że myślałam już tylko o tym, czy wytrwam, czy nie wytrwam. Na szczęście się udało – mówiła Ewa Majer.

Niespodziewanie trzecie miejsce w biegu mężczyzn wywalczył maratończyk Wojciech Kopeć. Dla biegacza



z Olsztyńka był to debiut na dystansie 100 kilometrów.

Towarzyszące zmaganiom górskich ultramaratończyków biegi na 64, 34 i 22 kilometrów wygrywali: Artur Jabłoński, Katarzyna Solińska, Kacper Kościelniak i Marta Kaźmierczak oraz Ukrainiec Paweł Oliński i Dominika Wiśniewska-Ulfik. Ta ostatnia zawodniczka zaliczyła ponadto solidny start w Biegu na Jaworzynę Krynicką – zajęła drugie miejsce za inną krynicką, Natalią Tomasiak.

W sumie na górskich trasach Biegu 7 Dolin, Runek Run i biegu na Jaworzynę pojawiło się blisko 2 tys. osób z Polski i zagranicy.

SPECJALIZACJA RODZINNA

W Krynicy ważne są też biegi uliczne. Rafał Czarnecki udowodnił, że na trasie Koral Maratonu czuje się jak ryba w wodzie. Biegacz z Bliżyna powtórzył swój

sukces z 2016 r. i w pięknym stylu wygrał królewski dystans 9. Tauron Festiwalu Biegowego. Radość była podwójna, bo rywalizację kobiet wygrała jego żona, Lidia Czarnecka.

Na metę ulicznego Konspol Półmaratonu pierwsza trójka biegaczy wbiegła w takiej samej kolejności jak dzień wcześniej w Muszynie podczas Życiowej Dziesiątki im. Tadeusza Mazowieckiego – najszybszego biegu na 10 kilometrów w Polsce. Wygrał Kenijczyk Silas Mwetich, przed rodakiem Nelsonem Kipkoge i Ukraińcem Bohdanem-Ivanem Horodyjskim.

Nieco urozmaicenia wprowadziły panie: triumfatorzy zamieniły się miejscami w obu startach. Główne nagrody rozdzieliły między sobą Kenijki Ruth Nundu i Christine Mora Oigo. Polski rekord trasy Życiowej Dziesiątki wybiegała Katarzyna Rutkowska. Reprezentantka Polski



i rodzinnie

FOT. JACEK DUBIEK

w biegach na 5 tys. i 10 tys. metrów, na opadającej w całości trasie z Krynicy do muszyńskiego Centrum Rekreacji i Sportu Zapopradzie, uzyskała wynik 33 minuty i 4 sekundy, bijąc o ponad minutę rekord olimpijki z Rio z przeszko-
dami Matyldy Kowal. Trzecie miejsce w półmaratonie zajęła najszybsza z Polek – Angelika Mach.

ZABAWA I PATRIOTYZM

Biegi nocne w Krynicy na 5 i 7 kilometrów pokazały, że rywalizacja po zmroku dostarcza niezapomnianych emocji i wizualnych wrażeń. Bieg „1 km dalej od cukrzycy” czy marsz nordic walking „Przełoń zawał” – że wystarczy niewiele, by poprawić stan swojego zdrowia. Bieg w krawacie czy Bieg Przebierańców – że nie zawsze liczy się miejsce, czas i „życiówka”. W kategorii zespołowej jury zachwyliła rodzina Egipcjan. Półnago

wnieśli w lektycę skrzącą się od złota Kleopatry. Towarzyszyli im cała świta oraz bardzo młody faraon.

W Biegu Przebierańców pojawił się też specjalny akcent związany z setną rocznicą odzyskania niepodległości. Zapewnił go stały bywalec tej konkurencji, Józef Gucwa z Bobowej, który co roku przyjeżdża do Krynicy z wnukami i obmyśla specjalne przebrania. – Jestem marszałkiem Piłsudskim. Pomysł wpadł mi do głowy wczoraj wieczorem. Wykorzystałem mundur ze swojego stowarzyszenia historycznego. Biorę w nim udział w rekonstrukcjach historycznych. Wnu-
kom zorganizowałem czapki maciejówki, przygotowaliśmy też tablicę w kształcie Polski – opowiadał.

Biało-czerwone barwy miał też „Polonia dla Niepodległej” – bieg na 1918 metrów. To wspólna inicjatywa Fundacji „Festiwal Biegów” i Senatu Rzeczypospo-

litej Polskiej, wpisująca się w narodową rocznicę. Tutaj zwycięzców było czworo. Cezurą był wiek 40 lat uczestników. Triumfowali Katarzyna Broniastowska i Walentyna Połtawska z Ukrainy oraz Adam Czerwiński i Sergii Krowladis, który także przyjechał do Krynicy znad Bugu.

Swoje biegi w Krynicy miały też dzieci (od 300 do 600 metrów). – Deszcz nas nie przstraszył, jesteśmy zahartowane. Bawiliśmy się świetnie! Córeczka ma mniej niż 1,5 roku. Trochę jej pomogłam, ale tylko za rączkę. Sama przebiegła – chwaliła na mecie Barbara Korcz, mama małej Joasi. – Jesteśmy tu całą rodziną. Tata właśnie biegnie półmaraton, a mama wczoraj pokonała Życiową Dzie-
siaćkę. Tak bardzo nam się podoba, że na pewno wrócimy za rok! – obiecywała.

GWIAZDY I MUZYKA

Jak co roku kryniccy organizato-
rzy zaprosili do uzdrowiska gwiazdy polskiego sportu. Z biegaczami spotkali się m.in. brązowa medalistka w pięcio-
boju z Rio de Janeiro Oktawia Nowacka, pięściarka Iwona Guzowska, mistrz olimpijski w wioślarstwie Adam Korol (udanie zadebiutował w Biegu 7 Dolin na 34 kilometrów, kończąc rywalizację po nieco ponad czterech godzinach), le-
genda polskiego szczypiorniaka Bogdan Wenta czy aniołki Matusińskiego – Iga Baumgart-Witan i Małgorzata Hołub.

Festiwal okraszony został też wystę-
pami muzycznymi. Publiczność porwa-
ły m.in. eklektyczna formacja Magda Navarette i Caravana Band, ukraińskie ska-funk spod znaku DrymbaDaDzyga, folkowo-popowa Kruca Banda i Freeborn Brothers z melancholijnym akordeonem. Znakomitościom estrady towarzyszyła utalentowana polska młodzież.

Oprócz muzycznej rozrywki podczas festiwalowego Expo można było zapo-
znać się z najnowszym sprzętem czy kolekcjami ubrań i butów do biegania. Stoiska odwiedziło ponad 15 tys. osób.

W Krynicy rekordowa była nie tylko liczba uczestników, lecz także pula nagród. Do biegaczy trafiły nagrody rze-
czowe o wartości aż 650 tys. zł. Nagrodę główną festiwalu – samochód osobowy od firmy Koral, partnera i sponsora Fe-
stiwalu Biegowego od pierwszej edycji – wylosowała Sabina Bartecka, czwarta na mecie Biegu 7 Dolin na 64 kilometrów.

(jm)

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z prof. Wojciechem Młynarskim, pediatrą, onkologiem i hematologiem dziecięcym z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi rozmawia Katarzyna Pinkosz

Wyleczyć niewyleczalne

KATARZYNA PINKOSZ: „Dwa tygodnie po maturach syn usłyszał druzgocącą wiadomość: białaczka wróciła. Konieczne są kolejne chemioterapia, przeszczep szpiku i leczenie nierefundowanym lekiem, którego koszt jest bardzo wysoki. Nie mamy takich pieniędzy” – tak dramatyczne apele pojawiają się w serwisach społecznościowych. Piszą rodzice, znajomi 20–30-latków, u których wróciła ostra białaczka limfoblastyczna (ALL). Co to za choroba?

PROF. WOJCIECH MŁYNARSKI: To najczęstszy nowotwór złośliwy u dzieci: pośród ok. 1,1 tys. dzieci, które co roku zaczynają chorować na nowotwory, 200–250 ma ostrą białaczkę limfoblastyczną. U dorosłych natomiast ta choroba występuje niezmiennie rzadko: na ponad 160 tys. zachorowań na nowotwory na ALL zapada rocznie ok. 250 dorosłych. Do powyższej wzmiankowanego leczenia kwalifikuje się zaledwie 30–40 osób rocznie.

To choroba w jakiś sposób „zawiniona”? Do zachorowania przyczynia się np. styl życia?

Nie, styl życia nie ma nic wspólnego z zachorowaniem. Przypuszcza się, że być może ma znaczenie jakiś czynnik wirusowy lub bakteryjny, na razie jednak nie wiadomo jaki. Jedną z przyczyn zachorowania są na pewno czynniki genetyczne, jednak nie do końca zostały one poznane, choć znamy zespoły uwarunkowane genetycznie, które predysponują do wystąpienia białaczki.

W nazwie tej choroby jest słowo „ostra”. Czy to znaczy, że przebiega gwałtownie i szybko może skończyć się zgonem?

Wielu osobom wydaje się, że „ostre” białaczki to są te złe, źle rokujące, a „przewlekłe” – bardziej łagodne. Nie zawsze tak jest. W przypadku ALL objawy są charakterystyczne (szybkie męczenie się, ciężka niedokrwistość, częste infekcje, bladeść skóry, dziąseł, siniaki bez wcześniejsze-

go urazu). Jest to spowodowane tym, że bardzo szybko namnażają się nieprawidłowe limfoblasty (niedojrzałe krwinki białe zmienione nowotworowo). Rokowanie w dużej mierze zależy od podtypu białaczki, których jest bardzo wiele – tylko u dzieci jest ich co najmniej 50. Chory jak najszybciej powinien rozpocząć leczenie.

Jakie są szanse na wyleczenie?

W przypadku „ostrych” białaczek, takich jak ALL, jest duża szansa na całkowite wyleczenie. W Polsce wyleczalność ostrej białaczki limfoblastycznej u dzieci jest bardzo duża – sięga 90 proc. U dorosłych to ok. 50 proc. Różnice, jeśli chodzi o wyleczalność, między dziećmi a dorosłymi w dużej mierze zależą, po pierwsze, od podtypu białaczki, po drugie, chemioterapia u dorosłych jest bardziej łagodna niż u dzieci.

Dzieci mają cięższe leczenie niż dorośli?

Tak. Dziecko najczęściej zaczyna chorować w wieku ok. sześciu lat, nie ma zwykle żadnych chorób współistniejących, dlatego leczenie może być agresywniejsze. Jeśli chodzi o dorosłych, to choroba najczęściej występuje u osób powyżej 65. roku życia, które zwykle oprócz białaczki mają też choroby współistniejące, takie jak nadciśnienie, cukrzyca, choroba niedokrwienna serca. Dlatego leczenie nie może być zbyt agresywne.

Jednak te dramatyczne apele w sieci dotyczą zwykle osób młodych, w wieku 20–30 lat. ALL to też choroba młodych dorosłych?

Tak, młodzi ludzie, którzy zachorowują na ostrą białaczkę limfoblastyczną, często mają inne jej podtypy. Niestety, często jest to podtyp źle rokujący. Młodzi dorośli potencjalnie mogliby być leczeni podobnymi schematami jak dzieci. Niestety, w Polsce są leczeni mniej agresywnie – schematami przeznaczonymi dla osób dorosłych. Fakty są takie: jeśli młody dorosły, chory na ostrą białaczkę limfoblastyczną będzie leczony w ośrodku dla dzieci, to ma nawet o ok. 20–30 proc. więcej szans na wyleczenie niż wtedy, gdy będzie leczony tak jak dorośli w ośrodku dla dorosłych.

W Wielkiej Brytanii zalecenia już się zmieniły: młodzi dorośli dostają leczenie podobne jak w przypadku dzieci, do takiej dawki, jaką są w stanie tolerować.

W Polsce NFZ nie zapłaci jednak za leczenie dorosłego w ośrodku dla dzieci?

Niestety, nie. My w naszym ośrodku pediatricznym możemy leczyć dorosłych tylko wtedy, jeśli mieli rozpoznaną białaczkę przed 18. rokiem życia, a potem nastąpił jej nawrót. Uważam jednak, że powinny być stworzone oddziały dla młodych dorosłych albo ścieżki terapeutyczne, według których można by było leczyć dorosłych schematami podobnymi do tych, jakimi leczy się dzieci. Przyniosłoby to lepsze efekty.

„Znowu jestem w szpitalu, białaczka wróciła, a wraz z nią koszmar walki o życie. Boję się tak samo jak wtedy, gdy rak przyszedł po raz pierwszy, i tak samo nie chcę umierać. Teraz moje szanse są mniejsze, a jedynym ratunkiem jest przeszczep i terapia niezwykle drogim lekiem” – pisze 30-letni Dominik. Ten lek to lek z zakresu immunoterapii. Na czym takie leczenie polega?

Wskazaniem do tego typu leczenia – zarówno u dzieci, jak i u dorosłych – jest nawrót ostrej białaczki limfoblastycznej lub jej oporność na stosowane leczenie. Ko-

nieczna jest też obecność antygenu CD19 na powierzchni komórek nowotworowych.

Komórka nowotworowa ma na swojej powierzchni antygeny, które wygaszają odpowiedź układu odpornościowego. Przez to właśnie przestaje on atakować komórki nowotworowe. Lek, o którym mówimy, to bispecyficzne przeciwciało. Przyciąga on do komórki nowotworowej aktywne limfocyty T, które niszczą komórkę nowotworową. Dzięki temu jest szansa na całkowite wyleczenie pacjenta, u którego choroba powróciła.

Leczył pan już chorych w ten sposób?

Tak, efekty są bardzo dobre. Walczymy o całkowite wyleczenie tych chorych – a przypomnijmy, że chodzi o osoby, u których po standardowym leczeniu, którego wyniki zwykle są dobre, białaczka wróciła. U wielu chorych dzięki dołączeniu tego leku do chemioterapii jest szansa na całkowite wyleczenie. Pacjent powinien być potem jeszcze zakwalifikowany do przeszczepienia szpiku.

Jedną z pacjentek, którą w ten sposób leczyliśmy w naszym ośrodku, była dziewczynka, która zachorowała na ALL w wieku kilkunastu lat. Już po wykonaniu badań genetycznych widzieliśmy, że jest u niej ryzyko nawrotu choroby. Rzeczywiście, doszło do nawrotu po niecałych dwóch latach od rozpoznania choroby. Zastosowaliśmy u niej standardowe leczenie, jakie stosujemy w takim przypadku, czyli chemioterapię. Dziewczynka miała remisję, jednak w jej organizmie pozostały pojedyncze komórki nowotworowe. Było ich bardzo niewiele, jednak z tych pojedynczych komórek mogłoby dojść do kolejnego nawrotu białaczki.

Czy ten lek to dziś jedyna szansa dla chorych z nawrotową ostrą białaczką limfoblastyczną?

Nie, niedawno została zarejestrowana w leczeniu ALL terapia CART. To też immunoterapia, tylko prowadzona w inny sposób. Od chorego pobiera się limfocyty, a następnie tak modyfikuje, by niszczyły komórki białaczkowe, namnaża i z powrotem podaje pacjentowi. To terapia komórkowa zmodyfikowanymi komórkami chorego. Można powiedzieć: ostatnia szansa dla chorych, którzy w ogóle nie zareagowali na leczenie, oraz dla tych, którzy mają nawrót białaczki w ośrodkowym układzie nerwowym. Ta terapia wiąże się jednak z ciężkimi działaniami ubocznymi, które mogą wymagać leczenia na oddziale intensywnej terapii.

Leczenie immunologiczne jest obecnie przełomem w wielu nowotworach, także w białaczkach?

Tak, to bardzo ważny kierunek leczenia. Polega na odblokowywaniu i modyfikowaniu układu odpornościowego, by był w stanie sam zwalczać komórki nowotworowe. Drugi kierunek nowoczesnego leczenia nowotworów to terapia celowana ukierun-

Młodzi dorośli potencjalnie mogliby być leczeni w podobny sposób jak dzieci. Niestety, w Polsce są leczeni mniej agresywnie – sposobami postępowania przeznaczonymi dla osób dorosłych

Zdecydowaliśmy się na zastosowanie u niej bispecyficznego przeciwciała, a potem na przeszczepienie szpiku. Dziewczynka czuje się bardzo dobrze. Mam nadzieję, że zostanie całkowicie wyleczona.

Te terapie nie są jednak w Polsce refundowane. Pana zdaniem powinny być?

Uważam, że tak, jeśli są wskazania do zastosowania takiego leczenia. Przede-

kowana molekularnie, czyli poszukiwanie defektu w komórce, który prowadzi do nowotworu, i wybranie leku, który ten defekt naprawi. To takie leczenie szyte na miarę każdego pacjenta.

Patrząc optymistycznie w przyszłość, w ostatnich latach pojawia się wiele terapii skutecznych dla osób, które wcześniej nie miały szans na wyleczenie.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Szablą i piórem

Przypadek Jana Szczęsnego Herburtu pokazuje, że w dawnej Polsce inteligencja i wykształcenie nie przeszkadzały w jawnym warcholstwie. Urodzony w 1567 r., zdobywał edukację na dworze Jana Zamoyskiego. W 1595 r. brał udział w wyprawie do Mołdawii na czele własnej chorągwi, rok później prowadził wraz z komisarzami Rzeczypospolitej układy z legatem papieskim w sprawie utworzenia ligi przeciwko Turcji. I wszystko po to, aby w końcu zerwać z Zamoyskim, stać się awanturnikiem uprawiającym politykę na własną rękę; „małym Stadnickim”, jedynym przyjacielem Diabła Łańcuckiego. W 1601 r., po śmierci stryjecznego brata Stanisława, zajął zamek w Dobromilu, wyrzucając wdowę i przejmując klucz liczący kilka wsi. Żył jak wielki pan, gromadząc majątek, zachwycając się dziełami sztuki, podczas gdy w lochach dźwięczeli łańcuchami więźniowie. Herburt był niezwykle megalomanem, uznając się za inteligenta, patriotę, piewce szlacheckich cnót, czemu dał wyraz w autobiografii opatrzonej aż nadto wymownym tytułem: „Herkules”.

W roku 1603 rozpoczął wojnę z Porudeńskimi z Bonowa, która trwała sześć lat. Napadł na Stanisława Korytkę w Dmytrowicach, a kiedy ten odparł pierwszy zajazd, przeprowadził drugi szturm na czele sabatów, zaciągniętych żołnierzy i zmobilizowanych własnych chłopów. Zdobył dwór, złupił go i spalił.

Kolejną awanturę wywołał z jednym z najspokojniejszych mieszkańców ziemi przemyskiej – Stanisławem Wapowskim. Zajął Wapowskiego, powywracał słupy graniczne, włączył spory szmat ziemi do swojego klucza. Wapowski uciekł się do trybunałów, jednak Herburt tylko szydził z wyroków. Zajazd na Wapowskiego spowodował jed-



FOT. WIKIPEDIA

nak, że miarka się przebrała. Jan objęty został ostracyzmem przez swój ród. Starszy brat Mikołaj wysłał listy z napomnieniami, na które Herburt odpowiedział z erudycją. „Ja nie wojuję – pisał – teraz doma mieszkam, według stanu i powołania mego zacnego; przestrzegam, aby nic mi gwałtem nie brano, gdyż ja też nic nikomu nie odbiorę. Brat, choć starszy, nie ma się rzucać z ostrością niebraterską. Uczyłem się z młodu i teraz się uczę tego, co Africanus umiał, co Temistokles, co Consalvus, co Philibertus Sawojczyk, co naszych wieków i tych dni u nas kanclerz, a w Rzeszy Georgius Basta umie”.

Kolejnym wrogiem Herburtu stał się... król Zygmunt III Waza, bohater przystąpił bowiem do rokoszu sandomierskiego i był jednym z najbardziej zajadłych przeciwników władcy. Kiedy jednak rokosz się rozpadł, zaatakował Stanisława Stadnickiego, kasztelana przemyskiego (nie był to oczywiście stary Diabeł z Łańcuta, ale jego krewny), schwytał go i osadził w loszku. Trafiła jednak kosa na kamień – Stadnicy nie byli byle dworskimi polewkami. Kasztelan wprawdzie odstąpił Herburtowi duże sumy pieniędzy i włości, zaprzysiągł też, że nie będzie podejmował żadnych kroków przeciwko prześladowcy. Kiedy jednak został uwolniony, co duchu pognał do grodu przemyskiego

wnieść protestację. A po jego stronie opowiedział się brat kasztelan sanocki Adam, który zebrał solidną partię po przemyskich zaściankach i ruszył na Dobromil.

Uczony warchoł umknął do Lwowa, tymczasem Stadnicki złupił zamek, spustoszył włości, a potem podszedł pod miasto, do którego jednak nie został wpuszczony. Nie mając siły, by wydobyć Herburtu ze Lwowa, zadowolili się protestacjami. Jan Szczęśny powetował sobie zrazu klęskę, dopadając kasztelana w Nizankowicach. Jednak kilka dni później Adam Stadnicki pobił Herburtu, schwytał go i wsadził do wieży. 16 lutego 1607 r. bohater za ogromne sumy wykupił się z niewoli, miał też odsiedzieć dwa lata w więzieniu.

Herburt jednak do wieży nie poszedł, ponieważ rokosz wybuchł znowu ze zdwojoną siłą, pojawił się więc w obozie przeciwników króla. Jednak Herkules z Dobromila nie okazał się bohaterem. W bitwie pod Guzowem pierwszy rzucił się do ucieczki. Schwytyany przez żołnierzy Zygmunta III Wazy został osadzony w więzieniu, gdzie przebywał opuszczony przez wszystkich i zrujnowany. Nikt, absolutnie nikt, nawet jego teść, kasztelan krakowski Jerzy Zbaraski, nie śmiał ująć się za wichrzycielem. W zamknięciu napisał autobiografię, żebrał też u Zygmunta III o przebaczenie. „Spróbować przeciwko uniwersałom dobrociwości, przeciwko zajazdom miłości, przeciwko wojskom niewinności, a poddanym okowy zdjęć z nóg, a włożyć na serca” – napominał delikatnie. Król znudził się suplikami Herburtu, w roku 1609 ułaskawił go w końcu, jednak narzucając mu areszt domowy w Dobromilu.

Opuszczony przez wszystkich, zrujnowany, umarł Jan Herburt 31 grudnia 1616 r., nie dożywając 50 lat. ©©

TATAR ZE ŚLEDZIA POŚŁA RZYMKOWSKIEGO

Uwielbiam piec i gotować do tego stopnia, że dwa razy do roku – na Boże Narodzenie i Wielkanoc – staję się pełnoetatowym kucharzem i przygotowuję na święta wszystkie potrawy. Bardzo lubię ostre potrawy, a jedną z moich ulubionych jest tatar ze śledzia na ostro. To oczywiście zupełnie inna potrawa, ale im bardziej przypomina wyglądem tatar wołowy, tym lepsze walory smakowe i wizualne. Jeśli ktoś nie jest miłośnikiem aż tak pikantnej kuchni, to powinien użyć mniej papryki.

Składniki:

- ok. 200 g fileta ze śledzia
 - 2 cebule
 - 3 ogórki kiszone
 - 3 jajka ugotowane na twardo
 - 2 duże czerwone papryki
 - łyżka kaparów (jeśli ktoś lubi)
 - ok. 5 grzybów marynowanych (najlepsze podgrzybki albo borowiki)
 - 1 łyżka miodu
 - 2 łyżki ostrej musztardy
 - 4 łyżki gęstego przecieru pomidorowego
- przyprawy: ostra papryka (ok. 15 g – cała torebka), sól, pieprz, odrobina tartego świeżego imbiru

Przygotowanie:

Zaczynamy od pieczenia papryki – trzymamy je w piekarniku rozgrzanym do ok. 150 st. C przez ok. 20 min. Uważamy, aby się nie spaliły, ale żeby się upiekły. Gotujemy jajka na twardo i czekamy, aż jajka i papryki ostygną. Kroimy w kostkę wszystkie składniki stałe. Następnie przygotowujemy sos. Mieszamy przecier pomidorowy z ostrą czerwoną papryką,

ze szczyptą soli, z pieprzem, musztardą, ze szczyptą startego imbiru świeżego i z dużą łyżką miodu. To wszystko mieszamy razem z pokrojonymi wcześniej w kostkę produktami. Przed podaniem odkładamy do lodówki na ok. 1 godz., żeby danie się „przegryzło”. ☺☺

oprac. raw

**Tomasz Rzymkowski jest
posłem Kukiz'15, wiceprezesa
Unii Polityki Realnej.**



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FOTURA



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Utracona **część** mielonego



FOT. FOTOLIA

W czasach liceum marzyłam, żeby jadać obiady w stołówce. Na dużej przerwie jadały tam wszystkie koleżanki, ale moja mama nie pracowała i niestety codziennie czekał na mnie w domu świeży domowy obiad. Czasem zdarzało się, że musiałam zjeść w szkole, to był dzień jedności z otoczeniem, a smak kotleta z marchewką i groszkiem oraz kartoflami wspominam do tej pory. Jednak dziś to już nie to. Nostalgiczny stołówkowo-barowy zestaw – mielony z buraczkami, kapuśniak i leniwe – trafił na śmietnik historii, przynajmniej w niektórych szkołach. Dzisiaj zamiast jarzynowej w szkole dają karmelizowane buraczki, krem z dyni, zestawy wegetariańskie. Nie tylko to. Szkolne jedzenie nie mogło pozostać obojętne wobec najnowszych zdobyczy dietytyki oraz food trendów.

Nie mamy wprawdzie lokalnego Jamiego Olivera, który zreformowałby stołówki, za to mamy ministerstwa, które troszczą się o stan zdrowia milusińskich. Jakiś czas temu minister zdrowia nakazał, żeby gotować z naturalnych składników, ograniczyć tłuszcz, sól i cukier. Koniec z gazowanymi napojami i ze słodkimi przekąskami w sklepikach.

Wszystko po to, żeby walczyć z pandemią otyłości – na Mazowszu ponoć połowa dzieci ma nadwagę. Troskę doceniamy, ale wyszła sytuacja komediowa. O ile kompoty słodzone miodem

są całkiem OK, o tyle niesłownej zupy i kalafiora żadne dziecko nie tknęło... I tak, co każdy rodzic dobrze wie, przekonać dzieci do warzyw nie jest łatwo, bo najchętniej na śniadanie, obiad i kolację jadłyby chipsy i popijały coca-colą. A tu dają zupy bez soli.

Od tego czasu sytuacja się uspokoiła. W szkołach nie ma słodkich napojów, z solą się opamiętano. Stołówkowe jedzenie się urozmaiciło, dajemy radę. Nawet mielony z marchewką i groszkiem w ramach nostalgii za PRL zaczyna powoli odzyskiwać utraconą część...

Przypomina mi się, gdy parę lat temu do redakcji, w której pracowałam, w ramach modernizacji zwyczajów zatrudniono nowoczesnego kucharza. Nastąpiło nowe: warzywa z grilla, zupa z dyni, faszerowany bakłażan. Pracownicy z entuzjazmem rzucili się na nowe menu. Jednak po pewnym czasie zauważyliśmy, że część osób w porze obiadu dyskretnie wymyka się z zakładu pracy, aby udać się do mieszczącego się w pobliżu urzędu gminy. Tam funkcjonowała stołówka na dawnych zasadach: stoły przykryte ceratą, serwetki pocięte w trójkąt, w ofercie schabowy na smalcu i zasmażana kapusta.

Ciekawe, czy w szkołach będzie podobnie. ☺☺

NASZ TEST: LEXUS LS 500

Model LS 500 to dowód na to, że Japończycy doskonale wiedzą, czym jest prawdziwy luksus. Świetnie wyglądająca, prestiżowa limuzyna z charakterystycznym grillem jest rewelacyjnie wyciszona i wręcz perfekcyjnie wykończona. Szkoda tylko, że interfejs systemu multimedialnego jest nieco irytujący.

W KABINIE

Wystarczy dotknąć klamki, a limuzyna delikatnie się uniesie, aby łatwiej było zająć miejsca.

Po wejściu do środka poziom wykończenia wnętrza rzuca na kolana. Japończycy zadbałi o najdrobniejsze szczegóły, dzięki czemu pod względem poziomu luksusu w kabinie Lexus LS 500 wyrósł na lidera rynku premium, wyprzedzając nawet niezwykle mocno dbające o jakość materiałów Audi. Auto ma 5,23 m długości. Miejsca we wnętrzu jest więc sporo zarówno z przodu, jak i z tyłu. Fotele



są świetnie wyprofilowane, a funkcja masażu shiatsu pozwala szybko rozluźnić mięśnie przed kolejnymi negocjacjami na szczycie.

Jeśli jadący z tyłu prezes ma ochotę na drzemkę, a na fotelu pasażera z przodu nie siedzi akurat ochroniarz, to może zdalnie złożyć oparcie fotela pasażera, przesunąć go do przodu, a swój fotel ustawić w pozycji półleżącej. Piętą achillesową japońskiej limuzyny jest system multimedialny, który jest mało intuicyjny i irytujący w obsłudze.

Bagażnik ma 480 l pojemności – wystarczająco, aby prezes z rodziną mógł spokojnie wyjechać na weekend.

JAZDA

LS 500 to limuzyna dla prezesa, który lubi czasem dać szoferowi wolne i sam zasiąść za kółkiem. Pod maską Japończycy zamontowali sześciocylindrowy 3,5-litrowy silnik z podwójnym doładowaniem o mocy 417 KM, który ważącą ponad 2 t limuzynę od zera do pierwszej setki rozpędza w 4,9 s. Prędkość maksymalna została przez producenta ograniczona do 250 km/godz.

Na pochwałę zasługują również 10-stopniowa automatyczna skrzynia biegów oraz znakomity układ kierowniczy. Auto świetnie radzi sobie zarówno na autostradach, jak i na wąskich, krętych drogach.

Bardzo wygodnym rozwiązaniem jest też zamontowanie pokręteł służących zmianie trybu pracy układu napędowego i zawieszenia tuż przy kierownicy, po prawej stronie od zegarów. Dzięki temu gdy nagle potrzebujemy przemienić limuzynę w sportową bestię i zmienić tryb jazdy z Eco na S+, nawet na sekundę nie musimy odrywać wzroku od drogi.

Bardzo wyraźny jest również wyświetlacz projekcyjny HUD, który na przedniej szybie wyświetla najważniejsze informacje dotyczące jazdy na powierzchni o przekątnej aż 24 cali.

Nawet w trybie sportowym, przy prędkościach, które na polskich autostradach są już zakazane, we wnętrzu wciąż panuje błoga cisza. Auto jest bowiem nie tylko świetnie wytłumione, lecz także do walki o spokój w kabinie zaprzęgnięto system, który emituje z głośników fale dźwiękowe o przeciwniejszej fazie, co pozwala na aktywne tłumienie hałasu. W takich warunkach można szczególnie docenić dźwięki płynące z głośników cenionego przez audiofilów systemu Mark Levinson.

Minusem jest stosunkowo długa droga hamowania, na którą wpływ ma spora waga pojazdu.



A jak ze spalaniem? Japońska limuzyna wypija od 12 l benzyny/100 km przy spokojnej jeździe w cyklu mieszanym, do niemal 20 l, gdy prowadzi się ją bardzo dynamicznie.

BEZPIECZEŃSTWO

Japońska limuzyna nie została poddana testom zderzeniowym Euro NCAP. LEXUS LS 500 jest jednak wyposażony w wiele elektronicznych asystentów, którzy mają za zadanie sprawić, aby jazda była bezstresowa i bezpieczna: rozpoznają znaki drogowe, zapobiegają kolizjom z samochodem poprzedzającym oraz ostrzegają przed pieszymi tak chętnie wchodzącymi tuż przed cofające auto. Lexus ostrzega także kierowcę przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu, a także – wykorzystując system radarowy – alarmuje przed pojazdami szybko nadjeżdżającymi z boku, jeszcze zanim znajdą się one w polu widzenia kierowcy.

Komputer pokładowy potrafi również w razie nagłej potrzeby autonomicznie zatrzymać limuzynę. A w sytuacji, gdy nie uda się zatrzymać auta, Lexus samodzielnie spróbuje ominąć przeszkodę, bez opuszczania swojego pasa ruchu.

CENA

Lexus LS 500 kosztuje co najmniej 510 tys. zł. Limuzyna w najwyższej wersji wyposażenia Omotenashi (z masażem dla pasażerów zarówno z przodu, jak i z tyłu) to już wydatek 690 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A8, BMW serii 7, Cadillac CT6, Hyundai Genesis, Mercedes klasy S, Porsche Panamera ©

Jacek Przybylski



TEST „DO RZECZY”: TABLET Z PROJEKTOREM

Lenovo Yoga Tablet 3 Pro to jeden z najbardziej innowacyjnych tabletów na rynku i model, który może stać się ulubionym gadżetem dla często podróżujących kinomanów. Ma bowiem wbudowany projektor, który ułatwia komfortowe oglądanie filmów z ukochaną lub nawet z grupą przyjaciół.

Projektor o jasności 50 lumenów to najbardziej rewolucyjna cecha testowanego gadżetu i jego największa zaleta. W zaciemnionym pomieszczeniu pozwala on rzucić na ścianę lub sufit obraz o wielkości aż 70 cali (178 cm). Oczywiście podczas podróży samolotem czy pociągiem filmy można też oglądać po prostu na dotykowym ekranie o przekątnej 10,1 cala i rozdzielczości wynoszącej 2560 x 1600 pikseli. Kąty widzenia są szerokie.

Drugim ważnym plusem nietypowego tabletu od Lenovo jest solidne wykonanie oraz nietypowy pomysł na tablet, który sprawia, że ludzie albo od razu ten gadżet kochają, albo go nienawidzą.

Dzięki specjalnemu zawiasowi tablet możemy nie tylko trzymać w dłoni, lecz także wygodnie go postawić (co przydaje się np. do oglądania instrukcji z YouTube przy wykonywaniu ćwiczeń), położyć, a nawet – dzięki dziurce w zawiasie – powiesić na haczyku w kuchni, by podczas gotowania móc oglądać ulubiony



serial. Yoga Tablet 3 Pro jest też odporna na zachlapanie, czyli choć kąpiel w wannie byłaby już raczej zbyt dużym wyzwaniem, to delikatny deszcz czy rozbryzg wody z basenu nie powinny uszkodzić sprzętu.

Trzecia zaleta to dźwięk. Cztery zintegrowane głośniki JBL grają wystarczająco głośno i – jak na głośniczki w laptopie – dają stosunkowo głęboki i dynamiczny dźwięk.

Po stronie plusów można też zapisać baterię o pojemności 10 200 mAh, dzięki której tablet może pracować na jednym ładowaniu do 18 godzin.

Testowana wersja miała tylko 32 GB pamięci wewnętrznej – na szczęście można ją rozbudo-

wać o 128 GB za pomocą karty pamięci – oraz zaledwie 2 GB pamięci RAM. To wystarcza do wykonywania większości standardowych poleceń.

Niestety, to jednak za mało, żeby wszystkie aplikacje zawsze działały płynnie. Podczas testowego użytkowania tabletu zdarzały się zupełnie niespodziewane przycięcia. Zdarzało się też, że niektóre aplikacje otwierały się sporo dłużej, niż powinny. Na rynku jest dostępna wersja z 64 GB pamięci oraz 4 GB RAM i taka konfiguracja może być lepsza.

Minusy? Lenovo Yoga Tablet 3 Pro jak na tablet jest dość ciężki. 665 g to dużo, jeśli chcielibyśmy dłużej korzystać z tabletu, trzymając go w dłoni. Taka waga może być też istotnym minusem dla osób, które szukają lekkiego urządzenia, które zawsze i wszędzie można ze sobą zabierać. Jego wymiary – 247 x 179 x 4,68 mm – sprawiają zaś, że ten tablet zajmie w plecaku trochę więcej miejsca niż konkurencyjne gadżety. Nicco bardziej dopracowane mogłoby też być bazujące na systemie Android oprogramowanie służące do obsługi tabletu.

Cena: 1999 zł. ©©

Jacek Przybylski

MÓJ DOM, MOJA TWIERDZA



Ile razy cofaliście się spod domu, z pracy czy z drogi na wakacje, bo za diabła nie mogliście sobie przypomnieć, czy na pewno zamknęliście mieszkanie na klucz? Właśnie, słowo „klucz” jest tu kluczowe, gdy w grę wchodzi SureKey,

czyli nie byle jakie klucze. Nazwa jest łatwo przetłumaczalna i w zasadzie mówi wszystko. To gadżet, który przypomina właścicielowi, czy te drzwi w końcu zamknął, czy też nie, a wcześniej upomina go, by to jednak zrobił. Mimo że swoim wyglądem przypomina typowe klucze, w zasadzie jest dodatkiem do nich, czymś w rodzaju inteligentnej nakładki.

Działanie jest proste, trzeba nałożyć nakładkę (działa na baterię, której okres trwałości to pięć lat) na klucz, następnie zamknąć nim drzwi, a cały ruch zarejestrować w specjalnej aplikacji w telefonie. Dzięki czujnikom, m.in. akcelorometrowi, żyroskopowi i magnetometrowi, SureKey śledzi w 3D każdy ruch klucza, niezależnie od tego, jak mały by on był. Po włożeniu klucza do zamka czujnik MEMS budzi procesor do analizy ruchu, co oznacza, że żaden przypadkowy ruch nie może dokładnie powtórzyć obrotu klucza w zamku, więc ryzyko pomyłki jest minimalne.

Aby sprawdzić aktualny stan, wystarczy spojrzeć na urządzenie. MEMS wysyła do umieszczo-

nego w nim procesora powiadomienie, że pozycja została oznaczona jako zablokowana lub odblokowana. Jeszcze jedna sprawa. Po co w takim razie owa aplikacja smartfonowa? Między innymi także po to, by pokazać, gdzie znajdują się klucze, kiedy nie będziecie mogli ich znaleźć.

Zamawiać można na Kickstarterze w cenie ok. 110 zł. Dostawa w grudniu.

CIEMNO WSZĘDZIE...

Zauważyliście, jak szybko zaczął zapadać zmrok? Mam złą wiadomość. „Winter is coming” – jakby to powiedział Jon Snow. Co bynajmniej nie oznacza, że czas zrezygnować z wypadów w teren, pikników pod namiotem, ogniska i pieczonych ziemniaków. Za to przyda się małe światełko w ciemności. No, w tym przypadku wcale nie takie małe.

DanForce G1 Pro to pierwsza na świecie latarka modułowa dostosowująca się do potrzebnego poziomu oświetlenia. Chcesz sobie poczytać w namiocie – możesz ustawić bardzo intensywne światło, a czujniki latarki uwzględnią też poziom światła obecny na zewnątrz; chcesz się zakraść do obozu harcerek – ustawione światło będzie nikielne, a czujniki uwzględnią, że jednak ma ona tylko w niewielkim stopniu rozpraszać mrok. W dodatku DanForce G1

Pro można zamontować na kierownicy roweru albo kolbie broni palnej. Zawiera też kompas, barometr, może służyć jako latarnia czy też wysyłać w niebo sygnały alarmowe, gdyby ktoś w trakcie wspomnianych podchodów pobłądził.

Cena na Kickstarterze: ok. 200 zł. ©©

Wojciech Wybranowski



OKIEM JASTRZĘBIA

Potęga prostoty

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Z powodu potęgi prostoty. Z powodu siły i skuteczności prostoty. Z powodu tego szczerego dziecięcego „łol” w prostocie ukrytego. Z tych właśnie powodów zaimponowali mi znowu Babyface, czyli nasz niezwykły bokser Adam Kownacki, oraz już niebabyface – Krystyna Janda.

No, Adama Kownackiego to jednak uwielbiam. Nasz polsko-amerykański pięściarz niezepsuty przez ten świat, rzeczywiście posiadający twarz dziecka i urzekający sposób skromnego opowiadania o sobie, po prostu kradnie serca. Do tej pory wygrał na zawodowym ringu 18 walk, czyli wszystkie. Ostatnią w tym miesiącu, z Charlesem Martinem, byłym mistrzem świata. Zapewne wkrótce czeka go walka o mistrzowski pas którejś z federacji i sześciocyfrowe już apanaże, czego absolutnie mu życzę. Babyface jest fenomenem jeszcze z dwóch powodów. Wcale nie ma muskulatury wielkich wojowników ringu i wielu bardzo się na tym przejechało. Lekko

otłuszczony duży dzieciak (191 cm wzrostu) ze zwisającym brzuszkiem był przez jakiś czas traktowany z cieniem pobłażania przez swoich rywali.

Najlepszym przykładem takiego zgubnego zachowania była postawa Artura Szpilki, który walczył z Babyface’em w lipcu 2017 r. w Nowym Jorku. Szpilka pięknie zbudowany, wytatuowany, opalony, jeszcze przed

**Czułem się jak
Artur Szpilka
oszołomiony prostymi
ciosami-zdaniami naszej
szczerzej aktorki**

walką zaczął „fifokować” w swoim stylu. Nadmieniam tu, że nieco slangowy czasownik „fifokować” wydaje mi się tu najadekwatniejszy do tego, co Artur Szpilka wyrabiał. Oznacza on: chęptenie się, stoszenie piórek, poniżanie przeciwnika i taki tam inny w nie najlepszym stylu przedringowy show, będący w tej dyscyplinie tradycyjną częścią większej całości. Szpilka robił to jednak wulgarnie i bez klasy. A Kownacki przeciwnie, prezentował spokojną pewność siebie. No i weszli do ringu.

Teraz pora na drugi ważny czynnik fenomenu Kownackiego. Otóż on się słabo porusza po ringu, a jego styl boksowania jest jakby z podręcznika dla średnio zaawansowanych. I tu najważniejsze: w jego przypadku to absolutnie działa! Szpilka poruszał się widowiskowo, opuszczał gardę, balansował ciałem, wysuwał głowę do przodu, żeby cofnąć ją przed ciosem. Pokazywał lekceważenie i teoretycznie lepsze wykształcenie. Publikacja to lubi. Niestety, nasz pyskarty Artur miał przed sobą

bardzo skuteczną górę, uderzającą prosto: lewy, prawy, lewy. Tylko że te piekielnie silne ciosy trafiały w głowę Szpilki. Trafiały i trafiały. Niby nic wyrafinowanego, ale jednak silne ciosy zawsze robią wrażenie. Spotkanie miało trwać 10 rund, skończyło się w czwartej, bo „fifok” Szpilka po ciosach w głowę zapomniał nazwę planety, na której nieumiejętnie uprawiał chęptenie, i sędzia musiał go kołowego wziąć w objęcia. Babyface nie uderzyła przez to sodówką. Zachował swój urok. Urzekające.

Teraz trochę z innej rzeczywistości, ale też o urzekaniu. Otóż coraz bardziej urzekające wydają mi się wypowiedzi naszej wybitnej aktorki, Krystyny Jandy. W felietonie dla Onetu pod tytułem: „Uważam, że Polska się wali” zaprezentowała z aktorską wprost wirtuozerią potęgę prostoty. Napisała między innymi: „Jestem tylko aktorką, a wielkie zdania i myśli, które wypowiadałam i wypowiadam z ekranu i sceny, nie są mojego autorstwa, mam tylko obowiązek je rozumieć i przeżyć. Mam obowiązek »prawdy« aktorskiej, która szczęśliwie nie kłóciła się nigdy z moimi przekonaniami i moją prawdą osobistą, ludzką, obywatelską”. Przyznać trzeba, że z tymi słowami zgodzą się nawet podli wrogowie aktorki, a to nie lada sztuka pisać w ten sposób. Czytając dalej, czułem się jak Artur Szpilka oszołomiony prostymi ciosami-zdaniami naszej szczerzej aktorki, chociaż to bynajmniej nie ja „fifokowałem”.

Czyż nie jest potęgą prostoty publiczne przyznanie się wykształconej, bywałej przecież i doświadczonej kobiety, że elokwencję czerpie z Wikipedii? To trochę tak, jakby ktoś pracę magisterską napisał w jednym SMS-ie, czyli nowatorsko, szczerze i odkrywczco. Nasza pani Janda kochana odkryła się jak Szpilka. Jaki sędzia weźmie ją teraz w objęcia? ©©



FOT. ROBERT CARDONKA

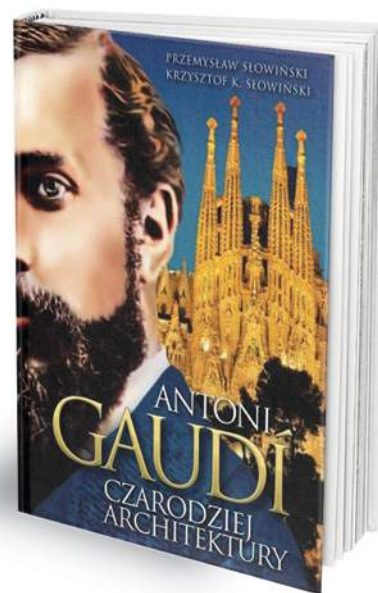
CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

KSIAŻKA
P i K. SŁOWIŃSKICH
„ANTONIO GAUDI
- CZARODZIEJ ARCHITEKTURY”

+



Cena: 140 zł

Oszczędność: 79 zł

PRENUMERATA ROCZNA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ MIESIĘCZNIK „HISTORIA
DO RZECZY” + KOSZULKA
PATRIOTYCZNA**



Cena: 280 zł

Oszczędność: 263 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 25454ef676



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Pedofil, ale swój

„GAZETA WYBORCZA”: Rozmawiałem z rodzicami molestowanego chłopca. Nie mieli wątpliwości, że psychoterapeuta je skrzywdził. Rozmawiałem z Andrzejem Samsonem – zaprzeczał. Mówił o „terapii”, nowatorskiej metodzie wyprowadzania z autyzmu. Nie ma wątpliwości, że nawet jeśli działał w dobrej wierze, pogwałcił zasady etyki. Znam ludzi, którzy nie wierzą w winę Andrzeja Samsona. Są wśród nich także rodzice, którzy na terapię przyprowadzali mu swoje dzieci. Wiem, że spośród setek jego pacjentów prokuraturze udało się wyłowić ledwie cztery przypadki potwierdzające oskarżenie. Żaden wyrok, nawet najsurowszy, nie naprawi krzywd, które według sądu wyrządził swoim malutkim pacjentom. Ale skazując Andrzeja Samsona, także na cywilną śmierć, nie powinniśmy zapominać też o tych, którym pomógł, przyjmując ich w swoim domu czy dedykując ich rodzicom takie książki, jak „Dobre rozmowy”.

To obszerny fragment komentarza Bogdana Wróblewskiego do wyroku, który 10 lat temu zapadł w procesie nieżyjącego już Andrzeja Samsona – „gwiazdy mediów i wziętego terapeuty warszawskiej elity (nie tylko jej dzieci)” – jak o nim pisał. Samson został skazany na osiem

lat za molestowanie seksualne swoich małych pacjentów, sądząc po wyroku zbliżającym się do górnej granicy przewidzianej za to przestępstwo kary, dowody musiały być jednoznaczne i porażające. Jeśli z zacytowanego fragmentu odnoszą państwo wrażenie, że dziennikarz skazanemu za pedofilię współczuje, to zachęcam do lektury jego innych tekstów w tej samej sprawie, zwłaszcza zaś wywiadu z samym Samsonem, w którym zdaje się przyjmować wszystkie sprzedawane mu przez Samsona bajki. „Miałem poczucie, że robię nowe rzeczy. Jest faktem, że na kilku zdjęciach znalazły się wibratory, które ja miałem w domu. Nie pamiętam, które z tych dzieci je dopadło, wyciągnęło, bo są to dzieci dość specyficzne, zachowują się dziwnie. Starałem się dokumentować te zachowania” – tłumaczył się dziennikarzowi ze zdjęć, na których jego mali pacjenci pozują z wibratorami. Tłumaczenia Samsona jako żywo przypominały tłumaczenia księdza pedofila z Tylawy, który rzekomo też tylko leczył dzieci, bo miał zdolności bioenergoterapeutyczne. I tak jak prok. Piotrowicz chciał uwierzyć księdzu,

tak Wróblewski zdawał się wierzyć Samsonowi bardziej niż prokuratorowi prowadzącemu jego sprawę.

Nie wiem, czy naprawdę można uwierzyć, że obmacywanie dzieci przez księdza to bioenergoterapia, a wsadzanie dzieciom wibratora przez psychologa to nowatorska terapia wyprowadzania z autyzmu. Faktem jest niestety, że pedofilia jest zboczeniem bardzo demokratycznym i zdarza się w każdym środowisku. I każde środowisko „radzi sobie” z nią w bardzo podobny sposób – wyparciem. I każde ma skłonność do chronienia swoich przed oskarżeniami z zewnątrz. A przecież akurat pedofilia to jedno z tych zjawisk, dla których nie ma żadnych okoliczności łagodzących, nawet jeśli dopuszcza się jej autor wspaniałych książek, porywających kazań czy genialnych filmów. Jeśli coś dobrego ma wyjść z motywowanej w dużej mierze prymitywnym antyklerykalizmem krucjaty przeciwko księżom pedofilom, to niech będzie to chociaż ponadśrodkowa zgoda, że tego akurat zjawiska nie wolno niczym usprawiedliwiać. © ©

PODSŁUCHANE

Ładowanie

Jadzia, jak tam idzie z tą elektromobilnością? Muszę zdać sprawę Jar-kowi, jak dzisiaj u niego będę, żeby spytać, jaki krawat mam założyć jutro. On ostatnio często o to pyta. O elektromobilność, nie o krawat. Mateusz, znakomicie! Świetnie po prostu! Rozwija się, aż miło.

To wspaniale. Ale potrzebuję jakiegoś konkretnego.

Konkretnie to wczoraj byłam na kolejnej konferencji o elektromobilności. Sala pełna, bardzo ciekawa dyskusja, wszyscy się zgodzili, że to przyszłość.

O, to bardzo dobrze, bardzo. A przyjechałaś może na tę konferencję tym elektrycznym autem, które kupiliście do ministerstwa?

No... nie, bo akurat się rozładowało. I nie zdążyło się naładować.

Myslałem, że macie to opanowane?

Niby tak. Podłączyliśmy do tej szybkiej ładowarki, którą zainsta-

lowaliśmy na parkingu, ale niestety bezpieczniki wywaliło. W całym budynku.

To może chociaż rowerem przyjechałaś?

Nie dałabym rady. To było tysiąc dwieście metrów od ministerstwa.

A nie, to faktycznie... Ale postaraj się naładować to wasze auto na jutro.

Jasne. Podłączyliśmy przedłużaczem do kontaktu w moim gabinecie. Za dwanaście godzin będzie gotowe. © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ludowców nie da się złamać, ludowców nie da się zastraszyć ani przekupić”.

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ,
lider PSL, na konwencji partii

Wypróżnianie słów (1) — Polska



fot. Jerzy Gumiński

Chodzi mi, rzecz jasna, o epitety. Królestwem słowa wypróżnianego bezkonkurencyjnym jest oczywiście „Sieć”, gdzie bluzg się bluzgiem zbliżuje nieustannie (u wielu internetowych popaprańców — ewidentnych psychopatów bądź menelskich urków—siurków — nie widać hamulców językowych absolutnie żadnych), lecz ciekawszym dla mnie tematem są bluzgi, jakimi politycy rażą swych adwersarzy z publicznych ambon. I tu przeżyłem konfuzję, bo ostatnia kampania prezydencka (2015) była bardzo skromna pod tym względem, można rzec: purytańska, wbrew soczystym ewenementom z dwóch (i pół) dekad minionych. Tylko poseł PO Stefan Niesiołowski nie zmienił swego „emploi”, plując: „— Pokłady chamstwa, które wypływają ze szpary oralnej pana Dudy...”, itd. Pokłady elokwencji wypływające ze szpary oralnej pana Niesiołowskiego zostały zbilansowane przez tygodnik „Gość Niedzielny” cztery lata temu (2014): „PiS-owskie śmiecie”, „malpiarnia”, „plugawe i obrzydliwe zbydlęcenie”, „plankton w wysychającej kałuży”, „frustraci”, „kanalie”, „paranoicy”, „pornogrubby”, „ćwoki”, „karaluchy”, „cymbały”, „załgani hipokryci”, „bydło”. Będąc całe lata członkiem Platformy, „Niesioł” wyróżniał się w niej niby ów bablowski cham, co „wśród furmanów uchodził za gburą”. Dopiero niedawno przelicytowany został w Bolesławcu, gdzie mikrofony wychwyciły jak tuż po życzeniach wielkanocnych złożonych Radzie Miasta przez jej przewodniczącego, radny Arkadiusz Mucha burknął: „— Ch... ci w dupę!”.

Kiedy to się u nas rozpoczęło? W „międzywojniu”, gdy toczyły się nieustanne walki międzypartyjne i międzyfrakcyjne. Antoni Słonimski parsknął wówczas:

„Lecz gdy grzeczność się kończy,
to mocno wystrzeli
ten zwrot co sugeruje
nierząd po kądzieli”.

Ów popularny i dziś „zwrot” na literę k nie był jedynym i nie był najostrzejszym spośród epitetów miotanych przez politycznych adwersarzy z trybuny sejmowej i z łamów gazet — wypróżnieniowy cuchnący „wokabularz” miał wiele stron. Nad czym ubolewał wtedy Kornel Makuszyński:

„Słowa dziś polskie biją się po pysku!

W błocie się grząskim polska mowa tarza,
A gdy spotkają się dwa w wielkim ścisłu,
To jedno drugie trądem wnet zaraża...

Albo jak cepy walą na klepisku...
A gdy fontanną trysną z kałamarza,
To wtedy cuchnie, psi wyją — niestety,
To się o Polskę tak klócą gazety!
Niejeden z kału robi pocisk twardy
I przed się ciska z okrzykiem pogardy”.

Gdy już mowa o „pociskach z kału”, warto zacytować trzeciego ówczesnego rymopisa wysokich lotów, Mariana Hemara:

„Jak przysłowie uczy:
Fortuna kalem się tuczy”

Szło mu o fortunę polityczną. W II RP panowały demokracja plus wolność słowa nie mniejsze niż w III RP. I wtedy, i dziś politycy, stanowiąc swoistą elitę, winni dawać społeczeństwu przynajmniej poprawne wzorce werbalne/retoryczne, dawali jednak i dają niedobre. Cóż, stymulowana przez zapasy polityczne wulgarność kolokwialna elit jest rytualnym objawem demokratyzowania się państwa (w PRL-u tego nie było), a panująca wolność słowa „z definicji” uskrzydla nieodpowiedzialność pyskaczy. Całkowicie nieskuteczne są tu wszelkie nawoływania do kultury słownej, np. Jana Sztaudyngera „Prośba o godność”: „Bądźcie godni — nie wychylajcie się ze spodni”.

Bluzg się bluzgiem odciska

Grzech, któremu poświęcam niniejszy felieton, demonstrowany bywa, oczywiście, tylko przez część klasy politycznej (tę gorzej wychowaną) — przez niektórych. Komentator polityczny Michał Radgowski: „Opluwanie się było zawsze ulubioną czynnością niektórych polityków (...) Człowiek opluty jest w fatalnej sytuacji. Jeśli przejdzie nad tym do porządku dziennego, straci część godności i honoru. Jeśli odpowie podobną procedurą — oskarż go, że brak mu kultury politycznej. Kulturalny politycznie jest osobnik, co nie oczernia swych bliźnich” (1996). Do tego nawoływał wówczas w TV (1994) A. Michnik, pouczając, że nie wolno „żyć naszych adwersarzy”, co nie przeszkadzało mu określać swych przeciwników per: „kurwiozum”, „faszyści”, „świnie” itp., a jego gazecie nazywać poetę Zbigniewa Herberta „potworem”, „wampirem” i „alkoholikiem”. Salonowy „Adas”, tak chętnie wdziewający szaty anioła (spod których wystaje ogon), to klasyczny przykład niespełnionego trybuna ludzkości, o jakim przedwojenny literat i satyryk Marian Józefowicz pisał:

„Znany z krzyku i głupoty
(jak to bywa u holoty)
chciał być indyk panem wszęgo
rodu ptasiego”.

W III RP klasykami miotania inwektyw są (obok „Adasia” i „Niesioła”) Władysław „Bydło” Bartoszewski (prawicowców okre-

ślał terminem „bydło”, Jarosława Kaczyńskiego mianował „politycznym nekrofilem”) i paranoiczny lewak Wojciech Sadurski, któremu „Rzeczpospolita” wytknęła (2016), iż „popelniał samobójstwo rzucając miast argumentów tylko wyzwiska, więc teraz służby asenizacyjne mają więcej roboty”. Wspomnianych klasyków się cytuję, nowelizuję, adaptuję, jednak większą chwałę przynosią wypróżnieniowe (epitetowe) nowinki. Leszek Miller przezwiał członków Ruchu Palikota „naćpaną holotę”, a sam Palikot przezwiał Jarosława Gowina „katolicką ciotą”. Nieokrzesany buractwo zapelniające Sejm miało wyzwiska wielce perfidne („ścierwojady”, „karły moralne”, itp.), czemu próbowała zapobiec specjalnymi ustawami (trzy projekty) i karami finansowymi premierzycka Ewa Kopacz (którą, notabene, Ludwik Dorn zbieszał jako „chodzącą nicość”).

Prezes Kaczyński obrywa nie tylko od polityków (Palikot nazwał go „dziadowską postacią”), lecz i od satyryków (szczególnie obrzydliwy był estradowy bluzg J. Kryszaka w 2007 roku: „— Mam nadzieję, że mama daje Jarosławowi... he! he! he!”). Ludzie o dużych nazwiskach są bezpiecznie opluwani przez knajactwo, tak rodzimi (endeck S. Suchodolski nazwał Marszałka Piłsudskiego „kobotynem”), jak i cudzoziemscy (E. Wójciak, dyrektorka poznańskiego Teatru Ōsmego Dnia, nazwała papieża Franciszka „chujem”). Nawet filozofowie się w ten sposób zabawiają, exemplum doktor filozofii S. Magala recytujący wierszyk (swój?) „Zimne nóżki księdza Popiełuszki”. Jezuita Dariusz Kowalczyk: „Najbardziej się obawiam nie hejtowania w internecie, ale po prostu mowy diabelskiej”. Tymczasem trzeba się bać nie tylko słów, lecz i obrazków. Red. Monika Olejnik przykleiła prezydentowi Dunia twarz Breivika (norweskiego mordercy) i wrzuciła na Facebook ten fotomontaż wypróżnieniowy.

Wszystkim wielbicielom wypróżnień (obrazkowych i słownych) polecam paszport („passe-partout”) czyli „bilet wejścia” do „wszystkich ustępów na terenie całego kraju”, który kilka lat temu został zlicytowany przez rodzimy dom aukcyjny.

Za tydzień cudzoziemskie (też soczyste) wypróżnienia słów. ©©

Waldemar Łysiak

PASSE-PARTOUT (BILET WEJŚCIA)

dla WP.

na bezpłatne wypróżnianie się we wszystkich ustępach miejskich i prywatnych na terenie całego kraju (za wyjątkiem strychów, piwnic, spodni, majtek i t. p.).

Ważny aż do odwołania.

Uprasza się PP. dorozórow o okazanie wszelkiej pomocy wyżej wymienionemu.



Twoje bezpieczeństwo to teraz Santander Bank Polska

**Bank Zachodni WBK
to teraz Santander Bank Polska**

 **Santander**
bank jaki chcesz

Bank Zachodni WBK S.A. zmienił nazwę na Santander Bank Polska S.A. Santander Bank Polska S.A. z siedzibą w Warszawie, przy al. Jana Pawła II 17, 00-854 Warszawa, zarejestrowana w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod nr. KRS 0000008723, utworzona na podstawie Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 11 kwietnia 1988 r. w sprawie utworzenia Banku Zachodniego we Wrocławiu (Dz. U. z 1988 r. Nr 21, poz. 142), NIP 896-000-56-73. Wysokość kapitału zakładowego 993 334 810 zł. Wysokość kapitału wpłaconego 993 334 810 zł.



1 9999



santander.pl

Koszt połączenia zgodny z taryfą danego operatora.